

JENNY LECOAT

A woman in a dark green coat is walking away from the viewer down a street. To her left, a red flag with a white swastika symbol hangs from a building. The street is lined with buildings and other people in the background, suggesting a wartime setting.

**MIŁOŚĆ
NA WOJENNEJ
WYSPIE**

Oparta na faktach opowieść o sile i nadziei
w najtrudniejszych czasach

Prószyński i S-ka

JENNY LECOAT

**MIŁOŚĆ
NA WOJENNEJ
WYSPIE**

Przełożyła
Magdalena Moltzan-Małkowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
HEDY'S WAR

Copyright © Jenny Lecoat, 2020
All rights reserved

Projekt okładki
Birlinn Ltd

Zdjęcie na okładce
TopFoto 3342402,
TopFoto 1674917,
Bert Hardy/Stringer
Csaba Deli/[Shutterstock](#)

Redaktor inicjująca
Magdalena Gołdanowska

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8295-557-6

Warszawa 2022

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

PRZEDMOWA

Niniejsza powieść jest oparta na prawdziwych wydarzeniach. W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, po ucieczce przed anszlusem, młoda Żydówka Hedwig Bercu utknęła na wyspie Jersey w przededniu hitlerowskiej okupacji Wysp Normandzkich. Niezwykła historia jej walki o przetrwanie, a także roli, jaką odegrał w niej niemiecki oficer, po raz pierwszy ujrzała światło dzienne blisko sześćdziesiąt lat później i stanowi kanwę tej fabularyzowanej opowieści.

Dodatkowe informacje na ten temat znajdują się w podziękowaniach.

Dla bohaterских wyspiarzy,
których życzliwość, determinacja i opór w obliczu okupacji uratowały wiele ludzkich
istnień.

I dla Gary'ego.

Jersey, Wyspy Normandzkie

lato 1940

Gdy skwar nieco zelżał, a mewy ruszyły na ostatni połów, rozległo się wycie syreny. Dźwięk unosił się i opadał, płynąc ponad bezładem łupkowych dachów oraz iglicami kościołów aż po rozpostarte dalej kartoflisko. W zatoce St Aubin, gdzie fale musowały na piasku, dotarł w końcu do uszu Hedy drzemiącej obok falochronu i raptownie wyrwał ją ze snu.

Uniosła się w zwolnionym tempie i potoczyła wzrokiem po niebie. Teraz słyszała też cichy, metaliczny jęk na wschodzie. Próbowwała uspokoić oddech. Może to kolejny fałszywy alarm? Syrena wyła ostrzegawczo dzień w dzień od dwóch tygodni, a samoloty zwiadowcze kołowały tylko, po czym znikwały za horyzontem, unosząc zamazane obrazy portów i głównych dróg. Jednak tym razem coś się zmieniło. Szum silników skrywał złowrogi wydźwięk, a w oddali pojawiło się kilka czarnych punkcików w błękicie. Jęk przeszedł w buczenie, buczenie w przeraźliwy warkot. Wtedy zrozumiała. To nie była misja zwiadowcza, tylko początek.

Od kilku dni wypiarze patrzyli, jak z wybrzeży Francji wzbijają się wstęgi dymu, a dalekie echo wybuchów wprawiało w drżenie ich wnętrza. Kobiety godzinami przeliczały puszkę w spiżarni, mężczyźni zaś tłoczyli się w bankach, żeby wypłacić rodzinne oszczędności. Dzieci krzyczały, kiedy siłą wkładano im maski przeciwgazowe. Porzucono nadzieję: nie było nikogo, kto odparłby najeźdźcę, którego dzieliła od łupu jedynie połać niezmaczonej wody oraz pustego nieba. A teraz lecą tu samoloty. Hedy widziała je jak na dłoni, wciąż w pewnej odległości, ale po kształcie rozpoznała stukasy. Bombowce nurkujące.

Odwróciła się w poszukiwaniu schronu. Od najbliższej nadmorskiej kawiarni dzieliło ją blisko półtora kilometra. Porwała z ziemi swój koszyk, po czym rzuciła się w stronę kamiennych schodków na promenadę i pokonała je w trzech susach. Na górze znowu się rozejrzała: sto metrów dalej znajdował się mały, nabrzeżny daszek. Po każdej z czterech odsłoniętych stron widniała tylko drewniana ławka, ale to musiało wystarczyć. Hedy pognęła w jego stronę i padła na ławkę, zdzierając sobie skórę o niski próg. Po chwili

dołączyła do niej przerażona młoda matka, zapewne niewiele starsza od niej, z bladym chłopczykiem, którego trzymała za nadgarstek. Samoloty dotarły już nad port St Helier, jeden poszybował nad zatoką w ich stronę i ryk silnika zagłuszył krzyk chłopca, przypartego do ziemi przez kobietę. Klekot karabinu maszynowego zakłuł Hedy w uszy, gdy część pocisków trafiła w falochron i rozprysła się w różne strony. Chwilę później budką wstrząsnęła potężna eksplozja, jakby dach miał się zawalić.

– Czy to była bomba? – Twarz kobiety zszarzała pod opalenizną.

– Tak. Zdaje się, że niedaleko portu.

Kobieta omiotła ją zdziwionym spojrzeniem. Hedy wiedziała, że sprawił to akcent: nawet w takich chwilach odgradzał ją od ludzi, nadawał piętno inności. Ale kobieta ponownie skupiła uwagę na dziecku.

– Boże jedyny – wymamrotała. – Co myśmy najlepszego zrobili? Mąż mówił, że trzeba było wyjechać, kiedy mieliśmy okazję. – Wbiła wzrok w niebo. – Jak pani uważa?

Hedy w milczeniu podążyła za jej spojrzeniem. Pomyślała o swoich chlebobawcach, Mitchellach, którzy wsiedli na obskurną barkę z wrzeszczącym maluchem, zabierając tylko brązową walizkę z prowiantem i bielizną na zmianę. Czując w nosie gryzącą woń paliwa, oddałaby teraz wszystko, żeby im towarzyszyć. Zaciśnęła palce na listwach ławki, aż zbieleły. Nad zatoką dryfowały spirale czarnego dymu, chłopiec szlochał wniebogłose. Hedy z wysiłkiem przełknęła ślinę i skupiła się na pytaniach, które cisnęły się nieubłaganie. Ile czasu zostało, nim pojawią się Niemcy? Czy urządują łapankę i postawią ludzi pod ścianą? Jeśli przyjdą po nią, to czy...? Nie było sensu kończyć tej myśli. Anton, jedyny człowiek na wyspie, którego mogła nazwać przyjacielem, nie byłby w stanie jej pomóc. Budka ponownie zadrżała, Hedy poczuła jej kruchość.

Siedziała skulona, wsłuchana w wybuchy i samoloty, które kołowały i nurkowały nieopodal, aż w końcu warkot się oddalił. Pod daszek zajrzał starszy pan o siwych, rozwianych włosach.

– Odleciały! – zawołał. – Zmykajcie do domu, bo niedługo wrócą. – Hedy utkwiała wzrok w jego zakurzonej marynarce, pokrytej plamami krwi. – Spokojnie, to nie moja – zapewnił. – Jeden starszy jegomość oberwał w nogę, musieliśmy odprowadzić go do szpitala.

– Jest wielu rannych? Albo...? – Zerknęła na chłopca, nie chcąc kończyć pytania.

– Kilku, tak. – Głos mu się z lekka załamał i Hedy poczuła przypływ lęku. Przycisnęła pięść do ust i znowu przełknęła, a on mówił dalej. – Zbombardowali rząd ciężarówek z ziemniakami, czekających na rozładunek. I po co, na miłość boską? – Potrząsnął głową i machnął ręką. – Pospieszcie się, nie ma na co czekać.

Odszedł, a Hedy podniosła się chwiejnie i pożegnawszy kobietę, ruszyła promenadą w stronę miasteczka, zastanawiając się, jak dotrze do domu Mitchellów, jeśli jeszcze stoi. Usiłowała przyspieszyć, ale nogi miała jak z waty. Wyobraziła sobie, jak Hemingway chowa się pod kanapą w pustym salonie, zjeżony ze strachu. Prawie pożałowała, że nie uspiła go na polecenie pani Mitchell: na widok ufnych oczu zwierzęcia serce stopniało jej

w piersi przed wejściem do weterynarza. Teraz nie była pewna, co włoży do garnka, a co dopiero do kociej miski.

Zanim dotarła na obrzeża St Helier, powitały ją dzwonki karetek i bezładne krzyki ludzi próbujących zdziałać coś wspólnymi siłami. Z łodzi i budynków wznosiły się słupy dymu w nieruchomym, wieczornym powietrzu, porzucone auta stały na drodze pod dziwnym kątem. W okolicy kręciła się garstka osób, niektóre szukały zaginionych, inne krążyły bez celu, a starsze małżeństwo siedziało na ławce, zanosząc się płaczem. Szła dalej, noga za nogą, z wolna uświadamiając sobie, co zaszło. Wokół wyspy pewnie roi się od łodzi podwodnych. Niedługo znów otoczą ją szarozielone mundury, usłyszy wyszczekiwane rozkazy. Wyobraziła sobie, jak wałą w drzwi i ją wywlekają, a na stole zostają brudne naczynia. Wszystko jest możliwe. Pamięta aż za dobrze, jak zachowywali się w Wiedniu.

Zwłaszcza wobec Żydów.

Z wysiłkiem parła naprzód, do domu. Chciała jak najszybciej dotrzeć do Hemingwaya i go przytulić.

*

– Mam coś takiego. Ale czy nie ściągniemy sobie przez to na głowę kłopotów?

Anton stanął w progu sypialni, trzymając w ręku parę niegdyś białych, obecnie poszarzałych majtek z prążkowanej bawełny. Hedy z daleka widziała, że nie były prane. Uśmiechnęła się lekko na dźwięk słowa „kłopoty”: Anton wykazywał czasem przesadną ostrożność, tak jak bywał niepoprawnym optymistą. Jego twarz, podobnie jak jej własna, gdy widziała w przelocie swoje odbicie, pobladła z lęku i wyczerpania. Mieszkał sam i przypuszczała, że też zarwał ostatnie cztery noce, wpatrując się w wyludnione ulice i odliczając z niepokojem godziny policyjne.

– Nie czas się tym przejmować – odpowiedziała. – Biała flaga, mówili. Nie sprecyzowali, z czego ma być. Patrz, każdy coś wywiesił. – Wyjrzeli przez okno na pierwszym piętrze, wystawiając głowy na słońce. W dole biegła schludna uliczka z domami po obu stronach, sklepy i warsztaty mieściły się na parterze, a mieszkania nad nimi. W każdym oknie wisiała tkanina domowego użytku, fartuch, pieluszka bądź wiekowe galoty. Bunt w obliczu klęski. Anton przytaknął i Hedy wzięła majtki w dwa palce, po czym przywiązała je do kija od miotły i wystawiła przez okno, opierając drugi koniec na krześle i obciążając go ręcznikiem. W tej samej chwili rozległ się warkot silników.

– Jada – mruknęła.

U wylotu ulicy pojawił się pierwszy samochód, widoczny jak na dłoni, elegancki bentley bez dachu, pełen starszych oficerów w pełnym umundurowaniu. Drugim był lśniący daimler, którym jechało kilku następnych. Za nimi podążało kilkanaście mniej efektownych fordów i morrisów z żołnierzami niższymi rangą, a także kilka motorów

z bocznymi wózkami – przypuszczała, że skradzionych z miejscowych garaży, gdyż Niemcy raczej nie mieliby czasu przewieźć takich pojazdów z Francji. Z daleka widziała radość na ich twarzach: po wielu miesiącach na zimnych, grząskich polach Europy białe plaże i wysadzone drzewami aleje malowniczej wyspy musiały stanowić dla nich miłą niespodziankę, tak jak kiedyś dla niej.

– Spójrz tylko na nich. – W głosie Antona czaił się gniew. – Pomyślałby kto, że podbili całą Anglię, a nie kilka brytyjskich wysp u wybrzeży Saint-Malo.

– Dla nich to pierwszy krok – mruknęła.

– Chyba nie musimy im salutować, co?

Hedy spojrzała na okna naprzeciw. Ujrzała w nich zasepione twarze, wpatrzone z nienawiścią w nowych panów. Od piątkowego wieczora nie było żadnych bombardowań, a większość szkód wokół portu i Weighbridge naprawiono, wszyscy wiedzieli jednak, że dzisiejszy dzień wyznacza prawdziwy początek podboju. Zaciętość była jedyną formą buntu, na jaką mogli się zdobyć, całą wściekłość ukryli w sercach.

Potrząsnęła głową.

– Nie każą nam tego robić. Będą chcieli pokazać, jacy są cywilizowani, niech świat zobaczy, jak będą rządzić Wielką Brytanią. Jak to ujęli? – Wzięła ze stolika ulotkę i strzepnęła grudki zaschłego błota z klombu, na który spadła. – No właśnie: „Gwarantujemy swobody obywatelskie mieszkańcom, którzy nie zakłócają spokoju”. – Prychnęła. – Zobaczymy, jak długo to potrwa.

Anton uściśnął krzepiąco jej ramię. Poczuła ciepło jego ręki, pierwszy kontakt fizyczny z drugim człowiekiem od czasu pożegnania z córeczką Mitchellów, i musiała przygryźć wargę, żeby się nie rozpłakać. Stali tak przez dłuższą chwilę, dopóki samochody nie znikły i okna nie zaczęły się zamykać. Oczywiście w najbliższych dniach pojawi się więcej żołnierzy – znacznie więcej – ale wyspiarze mieli pierwszą styczność z wrogiem, wystarczającą jak na jeden dzień. Anton wrócił na swój fotel przy kominku, ustawiony strategicznie, żeby zasłonić dziurawe linoleum. Mieszkanko było małe i zagracone, lecz znacznie przytulniejsze od wielkiego, opuszczonego domu jej pracodawców, a zapach z piekarni na dole podsycił jeszcze swojską atmosferę. Zawsze czuła się tu bezpiecznie.

– Nie ma sensu zakładać najgorszego – oznajmił, jakby czytał jej w myślach.

– Dobrze ci mówić. – Opadła na drugi fotel, jak zwykle wsuwając pod siebie jedną nogę. Miętosła w palcach tasiemkę sukienki. – Ależ jestem niemądra! Dlaczego nie wyjechałam do Ameryki, kiedy miałam okazję?

– Wiesz, dlaczego.

– Pieniądze jakoś by się znalazły! Zbyt łatwo dałam za wygraną.

Anton nachylił się w jej stronę.

– Słuchaj, na wyspie jest niewiele Żydów, może kilkunastu... Szwabom nie będzie chciało się ich tropić. – Chyba zauważył cyniczny błysk w jej oczach, ponieważ mówił dalej: – Naprawdę nie sędzę, żeby było tak źle jak w Wiedniu.

Hedy potrząsnęła włosami.

– Nie? Nawet jeśli masz rację i nie wezmą nas na celownik, to czy zdajesz sobie sprawę, co nam teraz grozi? Jesteśmy tu obcy, cudzoziemcy, którzy znają niemiecki! Wezmą nas pod lupę.

– Miejscowi nie zwrócą się przeciwko nam, dobrze wiedzą, dlaczego tu jesteśmy.

– Nie dalej jak sześć tygodni temu wpakowali cię do obozu dla internowanych jako przedstawiciela wrogiej nacji!

– Po czym sytuacja się wyjaśniła i mogłem wrócić do domu. Właśnie o to mi chodzi: tutaj da się przemówić do rozsądku.

– Wy, katolicy! – wyrwało jej się piskliwie. – Myślicie, że świat jest pełen świętych! Czy ci się zdaje, że miejscowi nie pamiętają, jak Austriacy hucznie witali Niemców, gdy ci przekroczyli naszą granicę?

Anton odgarnął z oczu gęstą, ciemną grzywę i zapadł głębiej w fotel. Mimo ciepłych uczuć, jakie w niej wzbudzał, co rusz stwierdzała z rozczarowaniem, że Anton stroni od kłótni, co wynikało po części z niechęci do robienia ludziom przykrości oraz unikania konfrontacji. Może dlatego nie czuła do niego nic prócz sympatii, na przekór wszystkiemu, co ich łączyło. O ileż bezpieczniejsza czułaby się w tej chwili, gdyby sprawy między nimi wyglądały inaczej.

Zmienił pozycję, nieskory do kontynuowania tematu.

– Muszę się wyspać – oświadczył w końcu. – Od jutra znów otwieramy piekarnię, pan Reis przewiduje, że ludzie będą kupować na zapas, ale ja nie byłbym tego taki pewny. Moim zdaniem postarają się zachowywać jak gdyby nigdy nic.

Hedy zaśmiała się z goryczą.

– O tak, no przecież. Jak mówisz, sklepy się otworzą, bo komendant tak kazał. Życie potoczy się jak co dzień. Tak robią ludzie, nie? Zasłonimy szyby, przesuniemy zegary o godzinę naprzód, na czas niemiecki, i wmówimy sobie, że wszystko będzie dobrze. – Z trudem łapała oddech.

Anton przysunął się bliżej.

– Hedy, nie.

– Będą chodzić po mieście, udając, że nie boją się aresztowania. A ja poczekam, aż wywozą mnie Bóg wie gdzie następnym promem. Ale masz rację, poza tym nic się nie zmieni. – Ostatnie słowa prawie wykrzyczała, po czym osunęła się na kolana, wstrząsana szlochem. – Drugi raz tego nie wytrzymam, Antonie. Nie pozwól, żeby mnie zabrali, proszę.

Objął ją delikatnie, mamrocząc słowa otuchy, i podał chustkę. Hedy płakała w nią całe dziesięć minut, podczas gdy on zaparzył herbatę, a następnie posadził ją w swoim fotelu, żeby wypić. Potem włączył Rachmaninowa i siedzieli w przyjacielskiej ciszy, wsłuchani w szybującą melodię, aż słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Hedy patrzyła, jak blade złote niebo nad dachami staje w pąsach, i błędziła myślami. Rozmyślała o rodzicach

w Wiedniu, których wyczekiwane listy już do niej nie docierały. Myślała o Rice, z perlistym śmiechem i rozwianymi włosami, o odwadze siostry, która wepchnęła do majtek kopertę z pieniędzmi, kiedy wpychali starego steyra w gęste zarośla dwa kilometry od szwajcarskiej granicy. Ciekawe, czy udało jej się dotrzeć do Palestyny. Potem zamknęła oczy i zdrzemnęła się chwilę. Kiedy się obudziła, Anton ponownie napoił ją herbatą i nakarmił suchymi makaronikami z piekarni. Dał jej resztkę sardynek z puszki dla Hemingwaya. W końcu, gdy niebo przybrało odcień kobaltu, zebrała się do wyjścia.

– Wezmę kurtkę i cię odprowadzę – powiedział Anton. – Lepiej, żebyś nie szła sama.

Wydmuchała nos i przyglądała palcami włosy. Pora zrobić porządek i domknąć zaległe sprawy. Jutro kupi rygiel do drzwi wejściowych, duży, z czarnej stali, zasuwany z krzepiącym szczękiem. Metal, oto czego teraz potrzebuje.

Za oknem rozbłysły najsilniejsze, najjaśniejsze gwiazdy. Ich widok nasunął jej wspomnienie demonstrantów na ulicach Wiednia, którzy zmywali na kolanach wolnościowe hasła z chodników. Szwaby udawały z uciechą, że niechcący przewracają wiadra i depczą palce, a farba i kreda w końcu się zmyły. Ale słowa i barwy wryły się w jej pamięć, a w oczach demonstrantów malował się niezłomny upór i determinacja.

Wrócił Anton z kurtką. Hedy oddała mu chustkę.

– Możesz ją zatrzymać.

Potrząsnęła głową.

– Nie, dzięki. Nie będzie mi już potrzebna.

*

Ranek szesnastego sierpnia, dzień zaznaczony w jej kalendarzu czarną obwódką, wstał pogodny, choć od portu silnie wiało. Ostatnio żywioły były nieprzewidywalne: do zatoki St Malo nadciągnął sztorm znad Atlantyku, niosąc ulewy i wichry, który hulał po ulicach miasteczka, zrywał kapelusze z głów i łopotał swastyką zawieszoną przed ratuszem. Takie szkwały nie zdarzały się często w łagodnym klimacie wyspy, zwłaszcza gdy liście zieleniły się jeszcze na drzewach, a wieczory nie odstraszały chłodem. Mimo to Hedy nie słyszała, żeby ktoś narzekał, może dlatego, że nie było już turystów, których mogła zniechęcić pogoda, a może stanowiło to odzwierciedlenie ogólnego przygnębienia. Zeszłego wieczora, gdy spacerowała nad zatoką, patrząc, jak Niemcy rozciągają drut kolczasty wzdłuż plaży, odniosła wrażenie, że nawet fale cofają się w większym niż zwykle popłochu, jakby nie chciały zabawić dłużej w tym skażonym miejscu.

Otuliła się szczelniej swetrem i ruszyła w stronę głównej ulicy handlowej, zachodząc w głowę, dlaczego obcasy jej sandałów z odkrytymi palcami tak głośno stukają: przechodnie odwracali się wręcz w jej stronę, jakby ów odgłos stanowił dla nich osobisty afront. Kiedy wkraczała w King Street, z wolna dotarło do niej, że to kwestia braku pojazdów. Wyjąwszy nieliczne samochody Niemców, na ulicach St Helier ponownie

zapanował ruch pieszcy i każdy głośniejszy dźwięk odbijał się rykoszetem od murów jak za dawnych czasów. Zanotowała w duchu, żeby nie nakładać więcej pantofli na obcasach. Nie po to przez ostatnie tygodnie przemykała jak duch, wychodząc jedynie na zakupy bądź krótki spacer, żeby teraz zwracać na siebie uwagę.

Cieszyła się jednak, że znalazła lokum w centrum miasteczka, w pobliżu sklepów i targowiska na Beresford Street. Wprawdzie daleko mu do przestronnego domu Mitchellów, obecnie zarekwirowanego, ale wyziębiona kawalerka na piętrze kamienicy to lepsze rozwiązanie, niż mieszkać kątem na prowincji. W sklepach wyprzedano rowery i Hedy widziała już kilka steranych koników zaprzężonych do starych, edwardiańskich wózków pełnych towarów z St Mary i St Martin. Na nowoczesnych, asfaltowych drogach ponownie zagościł koński nawóz; jeszcze trochę i ulice Jersey będą pachnieć jak ulice dzieciństwa Hedy i rozbrzmiewać ich dźwiękami.

Spojrzała na zegarek: był kwadrans po dziewiątej, zdąży kupić pończochy przed umówionym spotkaniem. Rano goniła Hemingwaya po mieszkaniu z gazetą, po tym jak podarł jej ostatnią parę, usłyszał od niej kilka gorzkich słów. Gołe nogi nie wchodziły w rachubę, na pewno nie dzisiaj, kiedy musi wyglądać i czuć się nienagannie. Pospieszyła w stronę domu towarowego De Gruchy'ego, mijając po drodze kilka miejscowych gospodyń, na których twarzach malował się wyraz lęklivego wyczekiwania. Wszystkie przyspieszały kroku, mijając grupki hałaśliwych Niemców: bały się przebywać tak blisko wroga, drżały przy tym, że bieg mógłby zostać źle odebrany. A żołnierzy było mnóstwo, być może setki, oglądali witryny i szwendali się po parkach. Hedy nie mogła się nadziwić, skąd Rzesza wzięła tyle statków, żeby przewieźć ich wszystkich. Przeszła na drugą stronę ulicy, aby ominąć gromadę szeregowców na przepustce, którzy palili i poklepywali się po plecach, po czym pchnęła ciężkie, szklane drzwi sklepu i ruszyła wśród wytwornych stoisk do działu pończoszniczego.

– Przepraszam panią. – Usiłowała zapanować nad akcentem, żeby nie zabrzmiał przy tym jak parodia. – Chciałabym kupić pończochy.

Ekspedientka, czterdziestolatka z kokiem na czubku głowy, pochyliła się, aby przekazać klientce złą wiadomość.

– Przykro mi, ale nie mamy nic na stanie.

Hedy spojrzała na prawie puste szuflady pod szklanym blatem.

– Może znajdzie się coś na zapleczu? – Uśmiechnęła się sztucznie w obawie, że zniechęci tamtą natarczywym pytaniem, lecz kobieta pokręciła głową.

– Przepraszam, ale nie pomogę. – Nachyliła się konspiracyjnie, aż Hedy zakręciło w nosie od jej mdlących perfum. – To oni. Przyjeżdżają niby tacy mili, a sama pani widzi. Są jak szarańcza, niczego nie zostawili, wszystko wysłali do rodzin, ich sklepy od miesięcy świecą pustkami. Płaszcz zimowy, przybory kuchenne, tkaniny, długo by wymieniać. Próbowала pani kupić ostatnio ser? Nie dostanie go pani za żadne skarby świata.

Hedy również ściszyła głos.

– Nie możecie im odmówić?

– Przyszedł tu jeden szkop i zagroził, że mamy być grzeczni, bo kierownicy pójdą siedzieć. Ale ja się pytam, skąd weźmiemy towar? Widziała pani, że posłali wszystkie ziemniaki do Francji? Co będziemy jedli? Coś pani powiem... – Ożywiła się, tknięta jakąś myślą, i zniżyła głos prawie do szeptu. – Oddam pończochy, które mam na sobie, jeśli załatwi mi pani na wieczór dwa schabowe. Stary ma urodziny, a mnie zostało tylko trochę flaczków.

Hedy wpatrywała się w nią z namysłem. Nie uśmiechało jej się wkładać nieświeżych pończoch obcej kobiety, lecz bardziej przygnębiająca była myśl, że nie może dobić targu, nawet gdyby chciała. Nie dalej jak dzisiaj rano rzeźnik z jej ulicy wywiesił kartkę z napisem „Tylko dla stałych klientów”. Cóż, znajomości są na wagę złota, a ona ich nie miała. Oczami wyobraźni ujrzała swoją przyszłość w kolejce bez końca i siebie w jej ogniu, zdaną na czyjąś łaskę albo ochłapy.

– Dziękuję za propozycję, ale jeszcze poszukam.

Ekspedientka wzruszyła ramionami na znak, że Hedy traci czas. I miała rację. Wszędzie usłyszała to samo, w Voisins, pasmanterii, a nawet w sklepiku za targowiskiem, gdzie starsze panie kupowały wzorzyste fartuchy i nocne koszule z flaneli. Za dziesięć dziesiąta szła pokonana na spotkanie, wciąż z gołymi nogami i niezadowolonym głosem matki w uszach, że porządne dziewczęta nie chodzą tak do ludzi.

Kiedy skręciła na rynek, wciąż z wielkim, białym krzyżem kapitulacji wymalowanym na różowym granicie, jej oczom ukazał się tłum mężczyzn, bezładna kolejka sięgająca w głąb Church Street. Stali dwójkami lub trójkami i szurali nogami, mląc przekleństwa w oczekiwaniu na wejście do prowizorycznego urzędu statystycznego zainstalowanego w bibliotece. Hedy zrozumiała, że odbywa się spis miejscowych mężczyzn w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu pięciu lat, przejaw niemieckiej potrzeby klasyfikowania i numerowania, mający ułatwić przyszłą identyfikację. Odtąd będą mieć jak na widelcu wszystkich mieszkańców Jersey. Jak to mówią Anglicy? Mysz się nie prześlizgnie. Wiatr dmuchnął ponownie i zadrżała.

W tłumie rozległy się gniewne okrzyki i zobaczyła młodego mężczyznę w kaszkiecie, który wyrzucał dwóm niemieckim szeregowcom, że nie mają prawa traktować tak porządnymi obywateli. Patrzyła, jak go odprowadzają, serce tłukło jej się w piersi i na chwilę przymknęła oczy. Następnie przygładziła sukienkę i ruszyła przed siebie. Skręciła w Hill Street, by z podniesioną głową wkroczyć do urzędu do spraw cudzoziemców.

*

Porucznik Kurt Rümmele cisnął torbę na wyfroterowaną posadzkę nowego mieszkania i skierował się do drzwi balkonowych na końcu słonecznego pokoju. Poczul, że cieszy się jak dziecko w wesołym miasteczku. Ależ widok! Szkoda, że nie ma aparatu. Ogród był

przepiękny, białe róże w pełnym rozkwicie i egzotyczne, nadmorskie krzewy wokół schludnego trawnika. Na końcu znajdowała się ozdobna, żelazna furtka, a dalej – morze. A dokładniej wybrzeże. Nie był to ocean, do którego przywykł, złowroga, wzburzona połąć, gotowa połykać statki i wciągać żołnierzy na dno. Rozmigotane, szafirowe fale lizały usiany wodorostami płowy piasek. Plaża aż się prosiła, żeby zrzucić buty i pobiec boso po piasku. I Kurt nie omieszkałby tego zrobić, gdyby nie odprawa za dziesięć minut. Potrząsnął głową z zachwytu i wdzięczności, że może tu stacjonować.

Unterfeldwebel, który o świcie odebrał ich z portu, zaproponował wycieczkę po wyspie przed odstawieniem każdego oficera do wyznaczonej kwatery. Na tylnym siedzeniu lśniącego morrisa eight sąsiad Kurta, niejaki porucznik Fischer, który z dumą oznajmił trzykrotnie, że pochodzi z Monachium, rozłożył na kolanach mapę i zasypał kierowcę pytaniami o położenie geograficzne oraz plany umocnień. Kurt jednak, od czasu do czasu markując zainteresowanie, rozparł się na skórzanym siedzeniu, rozglądał i słuchał jednym uchem. Na pracę przyjdzie czas, na razie chłonał każdy szczegół.

Wydawało się, że wyspa ma z grubsza kształt prostokąta. Najpierw pojechali wzdłuż zatoki St Aubin od strony południowej, obok intrygującej, granitowej przystani z rozkołysanymi kutrami, a następnie za wzgórze do St Brelade, gdzie bujna roślinność przechodziła w piaszczystą zatokę. Droga zaprowadziła ich do części zachodniej, z rozległą plażą i pofałdowanymi wydymami, następnie dziesięć kilometrów wzdłuż północnego wybrzeża z majestatycznymi klifami i malowniczymi zatoczkami z lazurową wodą. Na wschodzie odpływ odsłonił księżycowy krajobraz skalistego brzegu, a wspaniały, wiekowy zamek Mont Orgueil piął się ku niebu. Na każdym wirażu i spadku krętej drogi, pod baldachimem szmaragdowej zieleni, Kurt czuł dreszczyk podniecenia. Ale Fischer i pozostali oficerowie zaczęli się niecierpliwić, spieszyli się do swoich kwater. Kurt przytaknął, myśląc, że po wojnie chciałby przywieźć tu mamę: ponoć Wyspy Normandzkie mają stać się wojskowym kurortem, gdy będzie po wszystkim. Mógłby zabrać ją na podwieczorek do jednego z wielkich hoteli na promenadzie, a potem pokazać jej operę. Na pewno byłaby zachwycona.

Jego kwatery mieściła się w ładnym bliźniaku po wschodniej stronie, w okolicy zwanej Pontac Common. Wnętrze pachniało lawendą i pastą do podłóg, a poprzedni właściciele urządzili je gustownie w stonowany, kwiatowy deseń. Stojąc w ogrodzie i patrząc na morze, zastanawiał się, gdzie obecnie mieszkają. Słońce babiego lata grzało go w twarz mimo zimnego wiatru, pszczoły brzęczały wokół kwiatów. Fischer, który miał zostać jego współlokatorem, stanął obok i uśmiechnął się z aprobatą.

– Niczego sobie, prawda?

– Pięknie – przyznał Kurt.

– Ale trzeba zaprowadzić porządek. Będzie z tym sporo roboty.

– Naprawdę? – Wzrok Kurta padł na jego Odznakę Szturmową Piechoty i brązową Szpangę za walkę wręcz.

– Zarządzenie z Berlina. – Fischer pociągnął nosem i zgasił cygaro na trawniku. – W pierwszych tygodniach nawiązaliśmy współpracę z lokalnymi władzami, co osobiście uważam za niewskazane.

Kurt skinął głową, zastanawiając się, o co tamtemu chodzi.

– Wygląda na to, że nawet nie wyłapali jeszcze Judenschweine.

Kurt głęboko się zaciągnął w przeczuciu, że miła część dnia dobiega końca.

– A mają taki zamiar?

– W tym tygodniu ich spisują. Potem się zobaczy. – Fischer zaczerpnął haust morskiego powietrza. – To miejsce ma potencjał, zdecydowanie.

*

Hedy patrzyła, jak Clifford Orange, nadinspektor do spraw cudzoziemców w Jersey, mości się za biurkiem i wodzi rękami po blacie, jakby napawał się jego solidną konstrukcją. Był mężczyzną w średnim wieku, o zaczerwienionych, łuszczących się policzkach, miał przerzedzone włosy, ale nosił mały wąsik, a jego krzaczaste brwi wyglądały tak, jakby zaraz miały odpełznąć. Z sufitu zwisał żyrandol, o wiele za duży, słońce wpadało przez okno i odbijało się od lśniącej podłogi. Hedy widziała za szybą drzewa miejscowego cmentarza. Usiadła na obitym krześle naprzeciw Orange'a i splótła ręce na torebce w nadziei, że jej postawa dowodzi uległości i posłuszeństwa. Przywołała na twarz lekki uśmiech, ale Orange zatonął już w kartotece, która przed nim leżała.

– A więc, panno Bercu. Pozwoli pani, że odświeżę sobie pamięć. Lat dwadzieścia jeden, przybyła pani na Jersey piętnastego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku i obecnie mieszka pani przy New Street pod numerem dwadzieścia osiem, zgadza się?

– Tak jest, w kawalerce na górze.

Rzucił jej zaciekawione spojrzenie. Przypuszczała, że zaintrygował go jej akcent. Może myślał, że będzie szczekać jak pies.

– W chwili przybycia dysponowała pani niedawno otrzymaną wizą brytyjską na nazwisko Hedwig Bercu-Goldenberg, zagranicznym paszportem wydanym w Wiedniu poprzedniego roku oraz dowodem potwierdzającym obywatelstwo rumuńskie, wystawionym w Wiedniu w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku na nazwisko Hedwig Goldenberg. – Odłożył pismo i spojrzał jej w oczy. – Zechce mi pani wyjaśnić, skąd te rozbieżności?

– Już mówiłam: Bercu to nazwisko mojego ojczyma, a Goldenberg matki.

– Pani ojczyma?

– Nie wiem, kim był mój prawdziwy ojciec. Po moich narodzinach matka wyszła za Rumuna i przyjęłam jego nazwisko.

Hedy przełknęła ślinę, czując kropelki potu nad górną wargą. Przecwiczyla to kilkakrotnie z Antonem w swoim mieszkaniu, ale gdy przyszło co do czego, sytuacja ją

nieco przerosła.

Orange wyjął z etui wieczne pióro i skrupulatnie coś zanotował.

– Goldenberg to żydowskie nazwisko, a zatem jest pani Żydówką?

– Nie.

Ponownie zakręcił pióro i odłożył je na bok, równoległe z bibułą.

– Nie jest pani Żydówką?

– Wychowałam się w wierze protestanckiej. Mój ojczym jest Żydem i matka po ślubie przeszła na judaizm, ale nie mam żydowskich korzeni. – Próbowwała znów się uśmiechnąć, ale nie zdołała. Kłamstwo rosło jej w ustach. Orange taksował ją wzrokiem i zrozumiała, że wpatruje się w jej włosy, specjalnie upięte na tę okazję. Wiedziała, że ich jasnobrązowy odcień, prezent od babci, może okazać się dziś najlepszym alibi, zwłaszcza dla kogoś takiego jak Orange, który zapewne oglądał Żydów tylko na zdjęciach. Ale jego twarz zdradzała powątpiewanie. Może słyszał, że wszystkie Żydówki noszą peruki.

– Chce pani powiedzieć, że jej matka, która nazywała się Goldenberg, była tak naprawdę protestantką?

– Owszem. – Kurczowo ścisnęła torebkę, jakby ta miała odfrunąć jej z kolan.

Orange wstał i podszedł do okna, spoglądając na wieżę normańskiego kościoła z miną, która w jego mniemaniu wskazywała na pełne namysłu skupienie.

– Znalazłem się w trudnym położeniu, rozumie pani. Czy jest pani świadoma relacji między władzami Jersey a nowym dowództwem niemieckim?

– Nie bardzo.

Orange przygładził wąsik kciukiem i palcem wskazującym.

– Obawiam się, iż rzecz jest niezmiernie delikatna. Otóż władze Jersey urzędują jak do tej pory, musimy jednak uwzględniać i wypełniać rozkazy naszych nowych panów, Niemcy zaś poprosili o sporządzenie osobnego spisu Żydów zamieszkujących Wyspy Normandzkie. – Ponownie zwrócił się w jej stronę. – Zatem rozumie pani, że nie dopełniłbym swoich obowiązków, pomijając choćby jedną osobę narodowości żydowskiej.

Hedy próbowała ukradkiem odchrząknąć przed udzieleniem odpowiedzi.

– Ale ja nie jestem Żydówką.

Westchnął tak, żeby usłyszała.

– Wybacz pani, lecz w świetle przedstawionych faktów uważam jej tłumaczenia za nieprzekonujące. Gdyby mogła pani dowieść swojego pochodzenia...

– Dlaczego to ja mam czegoś dowodzić? Jeśli pan mi nie wierzy, może sami powinniście to sprawdzić, pan lub Niemcy. – Urwała i przygryzła wargę, pomna rady Antona, żeby nie prowokować, tylko łagodzić. Wbiła paznokcie w dłonie.

Orange zmroził ją wzrokiem i zasiadł za biurkiem, jakby chciał zakończyć rozmowę.

– Bynajmniej – odpowiedział. – Komendant powiedział wyraźnie, iż w razie jakichkolwiek wątpliwości co do pochodzenia danej osoby należy sklasyfikować ją jako Żyda.

Hedy wzięła głęboki oddech. Czuła, że zostało jej kilka sekund.

– Panie Orange... – Starannie wymówiła „g” miękko, z francuska, a nie twardo jak angielski owoc. – Widziałam w Wiedniu, jak Niemcy traktują Żydów. Jeśli spisz mnie pan jako Żydówkę, będę pod ciągłą obserwacją. Mogę trafić do więzienia lub jeszcze gorzej. Narazi mnie pan na poważne niebezpieczeństwo.

Orange obrzucił ją srogim spojrzeniem, jak ojciec niesforne dziecko.

– Nie podjęto żadnych kroków w stosunku do obywateli żydowskich.

– Co nie znaczy, że tak się nie stanie.

– Jeśli tak boi się pani Niemców, dlaczego nie wyjechała pani w czerwcu?

– Wyjechałabym, gdyby Anglia uznała moją wizę. – Przetarła wierzchem dłoni górną wargę. – Niemcy uwierzą panu na słowo, jeśli przekaże pan dane, które dziś panu podałam. Nie ma powodu, aby do końca wojny ktoś miał zakwestionować mój status. – Spojrzała na niego, podejmując ostatnią próbę, żeby go przekonać. Orange przeniósł wzrok na pismo, a potem znów na nią. Zamknął teczkę.

– Przykro mi, panno Bercu, ale w myśl obowiązujących przepisów i w świetle dostarczonych informacji nie mam innego wyjścia, jak uznać panią za rumuńską Żydówkę. Gdyby Niemcy odkryli, że nagiąłem prawo, naraziłbym na szwank nie tylko własną pozycję, ale całą współpracę władz Jersey z okupantem, od której zależy bezpieczeństwo wyspy. Z pewnością pani rozumie. – Pod jej baczny wzrok zaczął paplać ze sztucznym ożywieniem, porządkując papiery. – Ależ nie ma pani powodów do obaw. Bez względu na nieścistości, które zaistniały w pani kraju ojczystym, ten spis to jedynie formalność, Niemcy lubią mieć wszystko czarno na białym. To uprzejmi ludzie, da się z nimi dogadać. Póki co, trzeba jedynie postępować wedle ich zasad. – Wiedziała, że czeka, aż wstanie, lecz ani drgnęła, jakby jej upór mógł zmienić bieg przeznaczenia. – To wszystko z mojej strony.

I tyle. Podniosła się z trudem, próbując dostosować się do nowej sytuacji. Jej los został przypieczętowany, życie uległo zmianie za jednym pociągnięciem pióra. Rozejrzała się, zwracając uwagę na inne szczegóły – mosiężną lampę, ustawioną pod kątem czterdziestu pięciu stopni, półki ze zbiorem lokalnych przepisów w kolejności alfabetycznej. A w najdalszym, najciemniejszym kącie globus na stojaku, pokryty warstwą kurzu. Jak mogła mierzyć się z czymś takim?

Orange wyciągnął rękę.

– Miłego dnia, panno Bercu.

Hedy wpatrywała się w jego rękę, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

– *Fick dich selbst.*

Po czym obróciła się na pięcie i tyle ją widział.

2

1941

Zatoka St Ouen na zachodnim wybrzeżu była najdzikszą, najbardziej dramatyczną częścią wyspy. Pięć mil czystego piasku, wygięte w doskonały łuk, tworzyło otwarte cmentarzysko dla spienionych grzywaczy, które nadciągały znad Atlantyku, unosiły się i wzbierały, by wreszcie rozbić się o piasek z siłą nacierających czołgów, rozbryzgując białe kaskady. Linie brzegu przerywały tylko odkrywki skalne na obu końcach i wieża La Rocco kilometr w głąb morza, budowla z czasów Napoleona, wciąż nienaruszona, na przekór silnym prądom zatoki. Hedy uwielbiała tę wieżyczkę, to było jej ulubione miejsce spacerów, mimo że zimny wiatr na wskroś przewiewał jej wysłużone wełniane palto, a podeszwa lewego buta z jedynej posiadanej pary ledwo się trzymała.

Wiosna długo kazała na siebie czekać w tym roku. Słońce, które powinno już ogrzewać ziemię, przymilać się kwiatom oraz pomidorom i nadawać jedyny w swoim rodzaju, orzechowy posmak miejscowym ziemniakom, wręcz zniechęcało bladym, wodnistym obliczem. Hedy podążała ścieżką wśród ostrych źdźbeł trawy morskiej, czując między palcami stóp chropowaty piasek. Pofałdowane wydmy za otwartą połącią plaży przechodziły w łagodne zbocza pobliskich pól uprawnych. Alianci uderzyliby właśnie od tej strony, nic dziwnego zatem, że zatoka stała się obsesją Hitlera, który zapragnął wznieść tu zaporę z betonu i stali w przeczuciu nadciągającej nieubłaganej siły. Czując drżenie pod stopami, Hedy odwróciła się i ujrzała kawalkadę wojskowych ciężarówek na File Mile Road, wypełnionych cementem i metalem. Cały teren wzdłuż brzegu miał zostać zaminowany; od La Pulente na południu do Grosnez na północy wyrastały fortyfikacje, zwaliste, szare wieże strażnicze z otworami strzelniczymi, kanciaste, betonowe bunkry oraz stanowiska ogniowe. St Ouen zmieniało się nie do poznania.

Za dwadzieścia minut przyjedzie autobus do miasta. Zastanawiała się, czy zajrzeć jeszcze na plażę Le Braye, ale zrezygnowała: w razie spóźnienia nie miałyby siły podbiec do autobusu ani wracać sześć kilometrów na piechotę. W ciągu ostatnich miesięcy poznała rolę tłuszczu w diecie człowieka i przekonała się, czym grozi jego brak. Drżąc, wepchnęła rękę do kieszeni i powlokła się na przystanek, po czym z ulgą przysiadła na kamiennej ławce, żeby uspokoić oddech. Wtedy zauważyła wczorajszy numer „Evening Post”, leżący na trawie nieopodal.

Rozejrzała się ze zdziwieniem, wypatrując właściciela. Gazet używano na podpałkę, do uszczelniania drzwi albo mycia okien: wyrzucenie całej nie mieściło się w głowie; musiał być wściekły, że ją zgubił. Przejęta znaleziskiem, przerzuciła osiem dwujęzycznych stron z rozkazami i propagandą pod płaszczykiem informacji. Później wyszuka dla zabawy błędy w tłumaczeniu, pozostawione specjalnie przez miejscowych redaktorów, żeby czytelnicy nie mieli wątpliwości, które artykuły powstały pod dyktando. Przeczyta też ogłoszenia z działu sprzedaż oraz wymiana, choć dawno pozbyła się przedmiotów, które przedstawiałyby jakąkolwiek wartość i z którymi byłaby skłonna się rozstać.

Jej uwagę przykuł nagłówek na trzeciej stronie: „TRZECI ROZKAZ w nawiązaniu do środków podjętych przeciwko Żydom”. Ta sama odezwa ukazała się w zeszłym tygodniu. Hedy nie miała ochoty na ponowną lekturę i chciała przerzucić kartkę, jednak uległa, wiedziona upiorną fascynacją.

...otrzymują zakaz podjęcia pracy w niżej wymienionych branżach i zawodach:
handlu detalicznym i sprzedaży hurtowej;
branży hotelarskiej i gastronomicznej;
ubezpieczeniach;
nawigacji;
branży przewozowej i magazynowej;
agencjach turystycznych i przy organizowaniu wycieczek;
jako przewodnicy;
branży transportowej, z uwzględnieniem wynajmu samochodów oraz innych pojazdów;
bankowości i przy wymianie walut (...).

Lista ciągnęła się aż na sam dół strony, ale Hedy złożyła gazetę i wsunęła do wewnętrznej kieszeni palta. Najnowsze przepisy, choć przygnębiające, nie miały wpływu na jej życie, nikt i tak nie zatrudniłby Żydówki, żeby nie narazić się Niemcom. Ostatni chlebobawca – dyrektor szkoły, w której pracowała jako sprzątaczką – odprawił ją z tygodniową wypłatą pod pretekstem niedoczyszczonych toalet. Od trzech miesięcy żyła z oszczędności i na łasce Antona, który znosił jej przypalone okruchy z piekarni i często wciskał drobne, żeby kupić sobie kartki żywnościowe. Ale tego ranka, ubierając się na spacer, zauważyła, że odzież na niej wisi, a skóra, niegdyś pełna blasku i zdrowa, stała się ziemista i przesuszona. Czasami myślała, że tak to się skończy: nie zastrzela jej, tylko zagłodzą na śmierć.

Nadjechał zatłoczony autobus i Hedy wysupłała kilka monet na przejazd, po czym precyzyjnie się na sam koniec i usiadła. Mogła stąd podziwiać widoki, nie będąc przy tym wciągana w rozmowę. Nazbyt często widziała, jak ludzie wzdrygają się na dźwięk jej akcentu, biorąc ją za niemiecką sekretarkę, a nawet szpiega. Milczenie i niewidzialność

stanowiły ostatecznie łatwiejsze rozwiązanie. Autobus wspiął się na wzniesienie i wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, jak wieża La Rocco znika za tylną szybą, a woda kotłuje się u stóp skały.

Przynajmniej miała na co czekać: Anton zaproponował jej wyjście do kina na *Czarnoksiężnika z Oz* i choć widziała go już sześciokrotnie, odkąd trafił tu w zeszłym roku i już został, zawsze lepsze to od kolejnego samotnego wieczoru w domu. Dawniej w kinie sprzedawano w przerwach kakao, dziś nie było mowy o takich luksusach. Na samo wspomnienie zaburczało jej w brzuchu i ślinka napłynęła do ust, więc przez resztę drogi zmusiła się do liczenia ciężarówek wojskowych. Myśl o jedzeniu sprawiała jej udrękę i nic poza tym.

Wysiadła w Weighbridge i udała się prosto do kina, gdzie kolejka wychodziła już na ulicę. Bywali tutaj miejscowi, ponieważ Niemcy woleli filmy w swoim języku, wyświetlane w Forum, czasem tylko zaplątał się szpieg, żeby trzymać rękę na pulsie. Rozejrzała się za Antonem i przez chwilę myślała, że przyszła przed nim. Wtedy go zobaczyła. Stał w środku kolejki, z włosami zaczesanymi do tyłu, wtulony w kobietę nieco starszą od niego, o bladej, owalnej twarzy i jasnoniebieskich oczach. Z czarnymi włosami na Greer Garson wyglądała na mniej niż swoje trzydzieści kilka lat, wręcz bezbronne. Stali blisko siebie i Anton zaśmiewał się z czegoś, co powiedziała – gardłowym śmiechem, jakiego Hedy dawno nie słyszała. Ogarnęło ją zaciekawienie. Często widywała, jak Anton zerka nieśmiało na ładne dziewczęta w kawiarniach i parkach, lecz jak dotąd nie miał odwagi z żadną się umówić. Stała przed nimi w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

Rozpromieniony, wziął głęboki oddech, jak zawsze gdy miał mówić po angielsku.

– Hedy, to Dorothea. Poznaliśmy się w zeszłym tygodniu w piekarni.

Z ustami złożonymi do pocałunku Dorothea rzuciła się Hedy na szyję, nie zważając na jej wyciągniętą rękę.

– Anton tyle mi o tobie opowiadał! – wykrzyknęła. – Wiem, jak się przyjaźnicie. Mam nadzieję, że my też zostaniemy przyjaciółkami.

Hedy zwróciła uwagę na jej nerwowe ruchy i ogryzione paznokcie, najdziwniejszy jednak był silny wyspiarski akcent o dźwięcznych tonach, które Hedy znała już na pamięć. Zerknęła przelotnie na Antona, zdziwiona, że wybrał miejscową. Uśmiechnęła się do Dorothei.

– Ładna fryzura.

Dorothea pokraśniała z radości.

– Dzięki, mama mnie ostrzygła. Łatwiej ogarnąć krótsze włosy, gdy nie można dostać szamponu. – Hedy odruchowo dotknęła własnych wiotkich kosmyków. – Też przyjechałaś z Wiednia?

– Tak, ale pochodzę z Rumunii.

– I jesteś Żydówką?

Hedy cofnęła się pół kroku i wbiła oskarżycielski wzrok w Antona, lecz ten, ku jej irytacji, wpatrywał się w Dorotheę jak w obrazek. Rozejrzała się ostentacyjnie na znak, że nie czas i miejsce na taką rozmowę.

– Figuruję w spisie jako Żydówka, owszem – odpowiedziała wreszcie ściszym głosem. Dorothea potrząsnęła głową ze współczuciem, nieświadoma jej skrępowania.

– Moim zdaniem to podłe, że was tak traktują. Nie rozumiem, skąd u Hitlera taka nienawiść do Żydów. Jak macie sobie poradzić, jeśli odmawiają wam prawa do pracy? – Hedy poczuła się jak skończony obdartus, ale na twarzy tamtej odmalował się nagle wyraz olśnienia. – A wiesz, widziałam ostatnio ogłoszenie. Szukają tłumaczy.

– Tłumaczy? – Hedy spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Kojarzysz magazyn transportowy, który Niemcy budują w Millbrook? Podobno szukają osób znających angielski i niemiecki do pracy biurowej. Powinnaś się zgłosić, twoja angielszczyzna jest bez zarzutu! – dodała z szerokim uśmiechem.

Hedy otworzyła i zamknęła usta, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Spojrzała wyczekująco na Antona, lecz ten zainteresował się własnymi stopami, świadomy gradowych chmur, które się nad nim zbierały. Zapadła niezręczna cisza, po czym Hedy odchrząknęła.

– Chcesz powiedzieć – rzekła, starannie dobierając słowa – że Żydówka ma się zgłosić do pracy w niemieckiej kancelarii?

– Muszą być zdesperowani – skwitowała Dorothea tonem wyjaśnienia. – Niewielu miejscowych mówi po niemiecku, to bardzo trudny język, prawda? W ogłoszeniu napisali, że dobrze płacą.

W tej samej chwili chłopiec w zbyt obszernej, kasztanowej liberii otworzył drzwi kina i Anton zrobił krok naprzód.

– Mówiłaś, że musisz iść do łazienki, Dory? Idź, ja kupię bilety.

Dorothea cmoknęła go w policzek i poszła. Upewniwszy się, że nie słyszy, Anton zwrócił się w stronę Hedy z miną winowajcy.

– Proszę, nie bądź dla niej zbyt surowa – mruknął po niemiecku. – Ma złote serce, tylko brak jej obycia.

– Co ty wyprawiasz, Antonie? – syknęła w odpowiedzi. – Opowiadasz o mnie nieznajomej?

– Samo wyszło. Zwierzaliśmy się sobie. Spokojnie, można jej zaufać.

– Prawie się nie znacie! Zresztą to miejscowa, przypną jej łątkę, że spotyka się ze szwabem.

Anton unikał jej wzroku.

– Wie, że nie jestem Niemcem.

– Tylko nie zaczynaj! Boże jedyny, czy ty słyszałeś, co do mnie powiedziała? Czy ona ma w ogóle pojęcie, o co chodzi w tej wojnie? Co za *szojte*! – Przesunęła się, żeby stanąć w polu jego widzenia, lecz uparcie odwracał głowę.

– Mnóstwo ludzi musi pracować dla Niemców, czy im się to podoba, czy nie. W twojej sytuacji warto by to rozważyć.

– W mojej sytuacji? – W Hedy aż się zagotowało. – Moja sytuacja wygląda tak, że ci szubrawcy zmusili nas do opuszczenia kraju i jestem dla nich śmieciem! Twierdzisz, że mam pracować w ich administracji?

– Twierdzą, że potrzebujesz pieniędzy – oznajmił cicho, ale z przekonaniem. – Jesteś moją przyjaciółką, Hedy, martwię się o ciebie. Chcę ci pomóc, ale to coraz trudniejsze. Możliwe, że Dorothea ma rację... – Chciał dotknąć jej ręki, ale się odsunęła.

– Ach, tak? Czyli godzimy się z sytuacją i bratamy ze szkopami? – Bezsilnie rozłożyła ręce. – Nie do wiary, że bierzesz jej stronę. I że w ogóle interesujesz się kobietą, która tak wygląda. Wiesz co? – Owinęła się szczelniej płaszczem. – Idę do domu. I tak nie mam ochoty oglądać tego głupiego *Czarnoksiężnika*. – Po czym odwróciła się, żeby Anton nie widział bólu w jej oczach, i odeszła. Kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, żeby zerknąć przez ramię, ludzie zdążyli już wejść do kina.

*

Betonowe stopnie były mocno spękane, a drzwi wejściowe pod niegdyś ozdobnym portykiem tak spuchły od deszczu i braku farby, że ledwo się domykały. Hedy wślizgnęła się do budynku i rozpoczęła długą wspinaczkę szerokimi, nieoświetlonymi schodami do swojego mieszkania. Pokonując z wolna kolejne stopnie, słyszała skrzywienie starego, wyschniętego drewna, i miała poczucie, że te odgłosy płyną z niej samej. Uraza wezbrała w jej pustym brzuchu, podsycając gorycz, która paliła w gardle. Czym wypełni teraz wieczór? Wiadomościami BBC o dziewiątej, z jeszcze bardziej przygnębiającymi doniesieniami o klęskach aliantów w Afryce Północnej? Zagrzebie się w łóżku z Hemingwayem i książką, zaciągnie kotarę oddzielającą „sypialnię” i odetnie się od świata na kilka godzin? Wiedziała, że postąpiła pochopnie, odchodząc w ten sposób, że też musi być taka w gorącej wodzie kąpana, po ojcu. Ale co się stało, to się nie odstanie.

Tak jak się spodziewała, na pierwszym piętrze usłyszała skrzypnięcie drzwi pani Le Couteur i z ciemnej szpary wyjrzało oko z obwisłą powieką. W pierwszych tygodniach Hedy witała się z nią w nadziei, że uspi podejrzliwość starej wdowy i być może wzbudzi jej zaufanie, ale słyszała tylko burknięcie w odpowiedzi. A gdy przyłapała sąsiadkę na dole, jak podnosi do światła jej list, próbując rozszyfrować treść, dała za wygraną. Zignorowała staruchę i drzwi ponownie się zamknęły, kiedy je wyminęła.

W mieszkaniu panował półmrok, tylko ostatnie palce zmierzchu rzucały nieco światła na linoleum. Panował przejmujący ziąb. Hemingway przydreptał na powitanie i z ulgą wtuliła twarz w jego ciepłe futerko, ale niewdzięcznik zaraz się wywinął, ponieważ nic mu nie dała. Wrócił do swojego koszyka przy kominku i powąchał puste palenisko, patrząc na Hedy z nadzieją.

– Chciałbyś – mruknęła, zaciągając roletę. Następnie z ociąganiem wyjęła świecę z pudełka pod zlewem. Kupione na czarnym rynku, pochłonęło większość jej oszczędności i co wieczór skrupulatnie nacinała wosk nożem, aby jak najmniej zużyć. W tym roku nie będzie Chanuki. Wyjąwszy zapalną z pudełka na parapecie, zapaliła ją ostrożnie, żeby nie złamać draski. Knot zapłonął, a ona przyłożyła ręce do złotego ognika.

Kąsający ziąb ściągnął natłok powodów, dla których słusznie uniosła się gniewem. Miała prawo zdenerwować się lekkomyślnością Antona, prawda? Czy to nie zdrada, że powtarza takie brednie z ust ledwo poznanej kobiety? „Może warto rozważyć”? I kto to mówi, człowiek, który narzeka, że w piekarni musi obsługiwać Niemców. Kompas moralny Antona zawsze budził jej podziw – czyżby zrezygnował z niego dla ładnej buzi?

Na maleńkim piecu stał ronderek z resztką ugotowanej dzień wcześniej zupy z kapusty i brukwi, kwaśny zapach wisiał w powietrzu. Hedy zaświtała myśl, by zostawić ją na śniadanie, ale głód jak zawsze zwyciężył ze zdrowym rozsądkiem i po chwili zajadała łapczywie, połykając szybciej, niż to było wskazane. Wyskrobała całą zawartość, wylizała łyżkę i zgarbiła się na krześle przy stoliku, wpatrzona w pełgający płomyk. Następnie, świadoma, że to zły pomysł, sięgnęła do płytkiej szuflady pod blatem i wymacała w niej plik kartek. Przysunąwszy świecę, rozłożyła cienki papier i znalazła ostatni list, z kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, dokładnie sprzed roku.

„Kochana córeczko”, przeczytała nagłówek skreślony pajęczym pismem matki. Dalej kilka czczych i podejrzanie wesołych zdań o pięknej pogodzie i uczynnych sąsiadach i wreszcie złowrogi, zaszyfrowany ostatni akapit: „Ale podobno mamy jechać na wakacje”. Hedy ponownie utkwiała wzrok w płomieniu świecy. Przez wszystkie lata małżeństwa rodzice nawet nie zająknęli się o wyjeździe na wakacje. Przymknęła oczy i przywołała obraz matki, grzejącej dłoń przy starej kuchence. Pomyślała o Rice, czarnowłosej, roześmianej Rice w kapeluszu z szerokim rondem, uprawiającej ziemię w kibucu w Palestynie. Po chwili wygładziła kartkę, dołączyła ją do pozostałych i schowała z powrotem do szuflady, tym razem zamykając ją na metalowy kluczyk. Lektura listów nigdy nie dodawała jej otuchy, tak jak książka kucharska nie zabija głodu. Minie miesiąc, nim znów do nich zajrzy.

Usiadła wygodnie, lecz wciąż miała przed oczami Rikę. Rikę flirtującą z niemieckimi strażnikami, gdy przesłuchiowano je tamtej nocy opodal szwajcarskiej granicy, śmiejącą się zalotnie, żeby uniknąć okazania dokumentów, mrugającą do rozanielonego hitlerowca, by przejść na drugą stronę. Ależ była wtedy dumna z siostry. Rika nie cofnęłaby się przed niczym, żeby przetrwać. Inaczej nie potrafiła, była zbyt żywiołowa, zbyt śmiała.

„Jesteś moją przyjaciółką, Hedy. Martwię się o ciebie”.

Bardzo powoli, jak gdyby mimochodem, wyjęła z kieszeni gazetę i rozłożywszy ją na stole, przerzuciła kartki na sam koniec, do ogłoszeń.

Poszukiwani tłumacze z biegłą znajomością angielskiego i niemieckiego do pracy biurowej w NSKK Transportgruppe West, Staffel Vt. Wysokie stawki. Pisemne zgłoszenia do 15 maja.

Przeczytała to jeszcze raz, a potem trzeci. W mieszkaniu panowała niezmacona cisza, jarzyła się tylko świeca i jej żółte odbicie w nieruchomych, pytających oczach Hemingwaya. Do piątku musi zapłacić czynsz i zostanie bez grosza przy duszy. Z bólem serca wydarła ogłoszenie i położyła prostokącik na stole. W pomieszczeniu nadal panował chłód, ale spostrzegła, że się poci.

*

– Kapralu? Ta już gotowa.

Podszedł podoficer i zapisał numer rejestracyjny ciężarówki Opel Blitz. Następnie podsunął mu dokument do podpisu i zdarł kopię.

– Sprawdzić następną, poruczniku?

– Nie, idę na obiad. Dajcie mi pół godziny. – Kurt Rümmele wytarł zatłuszczone ręce w szmatę, po czym rozprostował plecy, przygładził włosy i skierował się w stronę kantyny. Dzisiaj gulasz z królika. Prawdziwy gulasz z tłuczonymi ziemniakami! W zeszłym roku o tej porze żywił się konserwami (mdliło go na samą myśl) i wstrętnym, żytnim chlebem, na którym można było połamać zęby. Zaburczało mu w brzuchu z radosnego wyczekiwania.

Idąc przez plac, odkaszlnął kurz, który mu zalegał w przełyku. Drobny, bledy pył pokrywał ubrania, wdzierał się do oczu, nawet skarpet, oto cena za budowę rozległego kompleksu w tak krótkim czasie. Skala przedsięwzięcia robiła wrażenie: rzędy prefabrykowanych budynków administracyjnych, magazyny i wzmocnione trasy dla ciężkich pojazdów, które od rana do nocy wjeżdżały i wyjeżdżały. Właśnie tu, według komendantury, powstaną plany „największych fortyfikacji, jakie widział świat”.

Kurt po cichu uznał to za niedorzeczne. Gdyby Churchill pragnął siłą odzyskać wyspy, chyba już by to zrobił, zatem po cóż trwonić czas i pieniądze na niszczenie pięknych okolic? Przezornie zachował ten pogląd dla siebie, zwłaszcza w obecności fanatyków pokroju Fischera z jego kwatery oraz ludzi zatrudnionych w tym miejscu. W Organizacji Todt albo OT, jak zwano wojskową sekcję budowlaną, przeważali prawdziwi szubrawcy, jakże różni od zdyscyplinowanych profesjonalistów, z którymi służył we Francji. Podczas posiłków siedzieli w zwartych grupach, kopcili na potęgę i rechotali z kawałów, które uważał za okrutne. Zobaczył raz, jak miejscowy chłopak, kuternoga zatrudniany do sprzątnięcia latryn, dostaje od jednego z oficerów kopniaka w krocze za rzekomy brak szacunku. Zmierzył go ten incydent, ale go nie zgłosił, wmawiając sobie, że to na nic, gdyż sprawca i tak nie zostałby ukarany. Koszmarna szkoła dla chłopców nauczyła go

przynajmniej tyle, że lepiej się nie wychylać, gdy nie sposób nic zyskać. A wyjąwszy chuliganów z OT, praca na wyspie mu się spodobała. Nadzorował pracę mechaników, wypełniał listy kontrolne, odprawiał transporty – wszystkie te czynności mógł wykonać z zamkniętymi oczami. Trochę zabawy z silnikami buicka, nieco papierkowej roboty: trudno nazwać to pierwszą linią frontu. Prawie jakby wrócił na inżynierię.

Ustawiła się kolejka do kantyny, więc postanowił iść na papierosa. Wyjął paczkę gauloise'ów, które ostatnio sobie upodobał, i już miał zapalić, kiedy ujrzał coś, co sprawiło, że znieruchomiał z zapalniczką w dłoni. Pomiędzy dwoma budynkami administracji stała blada, chuda blondynka i niepewnie się rozglądała. Miała schludnie upięte włosy, za to jej znoszony, wełniany płaszcz oraz buty pamiętały lepsze czasy. Sprawiała wrażenie onieśmiałej i z całą pewnością niedożywionej, ale jej oczy wywarły na nim największe wrażenie: były to wielkie, przerażone oczy dzikiego stworzenia, a zarazem skrywały coś buntowniczego. Już miał spytać, czy potrzebuje pomocy, kiedy pierwsza go zagadnęła.

– Przepraszam, szukam feldwebela Schulza z Bloku Siódmego.

Kurt uśmiechnął się ze zdziwieniem.

– Jest pani Niemką?

Zaprzeczyła.

– Przyjechałam z Austrii. Jestem tu w sprawie... – Zawahała się, jakby słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – W sprawie pracy, szukają tłumacza.

Wzroku nie mógł oderwać od tych oczu, w odcieniu morza w zatoce Rozel.

– Drugi budynek na lewo. Zaprowadzę panią.

– Dziękuję, nie trzeba. – W głosie czaił się chłód wymuszonej uprzejmości. – Sama znajdę. – Patrzył, jak stąpa chwiejnie po nierównym gruncie, aż znikła za rogiem.

Godzinę później mijał wejście do Bloku Siódmego z brzuchem pełnym gulaszu i plikiem podpisanych etykiet, kiedy znów ją zobaczył. Tym razem wychodziła z budynku, ściskając na pożegnanie dłoń pyzatego człowieczka w okularach w drucianej oprawie, Schulza zapewne. Był to dziwny, zdawkowy uścisk, jakby żadne z nich nie miało na niego ochoty i chciało jak najszybciej mieć to z głowy. Kurt patrzył, jak dziewczyna podąża ścieżką w stronę granicy wyznaczonej drutem kolczastym i bramy, po czym zawołał Schulza.

– Feldwebel? – Tamten potwierdził. Kurt górował nad nim wzrostem. – Tamta młoda kobieta przyszła w sprawie pracy tłumacza, tak?

– Tak, panie poruczniku.

– Przyjmiecie ją?

Schulz lekko się wzdrygnął.

– Obawiam się, że nie mamy wyboru. Zna biegle obydwaj języki, a zgłosiło się niewielu chętnych.

– Nie rozumiem. W czym problem?

Schulz zamrugał pospiesznie jak ktoś, komu ciśnięto piasek do oczu, a następnie podrapał się w nos.

– Właściwie żaden, panie poruczniku. Na pewno się sprawdzi. – Kurt wyczuł, że tamten coś ukrywa, ale nie drażył. Na poły zaabsorbowany oddalającą się postacią, uśmiechnął się na odczepne i dał Schulzowi znak, że jest wolny. Ściskając w rękach etykiety, poczuł przypływ zaciekawienia, które pchnęło go naprzód. Tak przynajmniej sobie później wmawiał.

Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, ruszył chyłkiem za dziewczyną, w bezpiecznej odległości. Za bramą skręciła w lewo w wąską, polną drogę. Kurt pozdrowił strażników i opuścił w ślad za nią teren budowy. Nadal trzymając się z tyłu – no bo cóż odpowiedziałby na pytanie, dlaczego ją śledzi? – dotarł za nią do kolejnego zakrętu, gdzie ujrzał coś, co kazało mu cofnąć się o krok i wcisnąć w trawiaste pobocze w obawie, że naruszy jej prywatność.

Dziewczyna oparła przedramiona o górną krawędź zardzewiałej furtki sąsiedniego gospodarstwa. Nie widział jej twarzy, lecz skulone ramiona wskazywały na dojmujący smutek, wręcz rozpacz. Uniosła białą, kruchą rękę do twarzy i wytarła policzki, a drugą wyciągnęła szpilki z włosów, które opadły miękkimi lokami. Potrząsnęła głową, by do końca je rozpleść, po czym zgarnęła szpilki i schowała je do kieszeni palta. Oczarowany Kurt patrzył z zapartym tchem; bał się, że dziewczyna odwróci się i go zobaczy, a zarazem tego pragnął. Lecz ona wciąż stała jak posąg, oparta o furtkę ze wzrokiem utkwionym w rozległe pole, jakby chłonęła widoki i zapachy otoczenia. Wiatr szarpnął jej włosami i połami płaszcza, zmieniając zarys postaci, i Kurt wyobraził sobie, że przymknęła oczy. Następnie, kiedy chmara jaskółek śmignęła nad nią w niebo, wychyliła się nad furtką i zwymiotowała.

*

W mieście panował gwar większy niż zazwyczaj, może z powodu pogłosek o francuskich serach na targowisku. Hedy stała na rogu ulicy, śledząc wzrokiem gospodynie domowe z pustawymi torbami na zakupy i rowerzystów z gumowymi wężami w miejsce opon wymijających dziury w asfalcie. Rozejrzała się z niezdecydowaniem. Od mieszkania Antona dzielił ją kawałek drogi na prawo, gdyby jednak skręciła w lewo ku New Street, znalazłaby się w domu za osiem minut. Kusiło ją, żeby czmychnąć do siebie i przytulić się do mruczącego Hemingwaya, ale wiedziała, że chłód między nią i Antonem trwa zbyt długo i czas położyć mu kres. Zwłaszcza dziś łaknęła jego towarzystwa i pociechy. Skręciła w prawo i zbliżając się do piekarni, przyspieszyła kroku. Bez pukania pchnęła drzwi wejściowe i ruszyła na górę, lecz zaraz usłyszała coś, co sprawiło, że stanęła jak wryta.

– Wdech nosem, wydech ustami... powoli. – Poprzez woń mąki i stęchlizny napłynął głos, męski i zdecydowany. Ruszyła na palcach, ze ściśniętym żołądkiem, próbując dociec, kto to taki. Głos na pewno nie należał do Antona ani jego szefa, pana Reisa. Próbowała iść bezszelestnie, na górze się zawahała.

– Anton? – Drzwi były uchylone, pchnęła je, aby zajrzeć w głąb mieszkania. Na środku pokoju siedziała na krześle Dorothea, wyprostowana jak struna i z przymkniętymi w skupieniu oczami. Oddychała płytko i pospiesznie, krótkie, ciemne włosy kleiły się do czoła. Dłonie trzymała przed sobą złożone jak do modlitwy, pierś podskakiwała jej od uporczywego kaszlu. Anton stał po prawej stronie z ręką opiekuńczo wspartą na jej barku, po lewej stronie zaś niski pan w średnim wieku, z włosami posrebrzonymi na skroniach i w okularach w rogowej oprawie. Skinął Hedy głową i ponownie odwrócił się do podopiecznej. Hedy ze zdziwieniem przenosiła wzrok z jednego na drugie, aż zauważyła dużą, skórzaną torbę, częściowo otwartą, i stetoskop pod flanelową kurtką nieznanego.

Anton zerknął w jej stronę.

– Dory miała atak astmy.

O zgrozo, aż się w niej zagotowało. Co ta kobieta tu robi, jeśli jest chora? I z jakiej racji uczepiła się Antona, skoro na pewno ma rodzinę? Ale widok zszarzałej skóry i spoconego czoła ostudził emocje. Jak powiedział kiedyś Albert Einstein, pusty brzuch nie jest najlepszym doradcą.

– Na szczęście – ciągnął Anton – doktor Maine zechciał przyjechać ze szpitala.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Hedy. Dorothea na chwilę rozwarła powieki i w odpowiedzi pomachała palcami. – Co się stało?

– Była zdenerwowana. – Anton lekko potrząsnął głową, żeby nie drażyła tematu. Hedy z wahaniem odłożyła torebkę na stół, niepewna, czy może zostać, a lekarz osłuchiwał Dorotheę. W końcu się wyprostował.

– Musi pani unikać sytuacji, które wyprowadzają panią z równowagi, panno Le Brocq – oznajmił. – Lepiej zapobiegać, niż leczyć, nieprawdaż? – Jego głos, z melodyjnym akcentem Jersey, był pełen życzliwości, choć podszyty znużeniem. Podkrążone oczy nasunęły jej wspomnienie wuja Ottona, a gdy spojrzał na nią z uśmiechem, odpowiedziała mu tym samym. – Zaczyna brakować epinefryny, tak jak wszystkiego – dorzucił. – Możliwe, że za kilka miesięcy w ogóle jej nie będzie. Istnieją domowe sposoby, które mogą pomóc, olej musztardowy, imbir, ale wątpię, czy są jeszcze do zdobycia w sklepach. Jeśli sytuacja się powtórzy, niech pan spróbuje przyprowadzić ją do szpitala. Wizyty domowe są ograniczane do minimum.

– Sądziłem, że lekarze mają samochody do dyspozycji – powiedział Anton.

– Owszem, ale przysługuje nam niespełna litr benzyny tygodniowo, co oznacza, że stajemy czasem przed trudnym wyborem. – Pospiesznie wypisał rachunek i podał Antonowi, który ze zdziwieniem spojrzał na świstek. Lekarz machnął ręką. – A cóż warte

są dzisiaj pieniądze? Bochenek z pana wspaniałej austriackiej piekarni wystarczy aż nadto. Miłego dnia wszystkim. – Z tymi słowy sięgnął po torbę i wymknął się z pokoju, pozostawiając mglisty zapach papierosowego dymu. Hedy odkryła ze zdziwieniem, że jego wyjście nieco ją zasmuciło.

Anton podszedł do umywalki w rogu, żeby nalać Dorothei wodę. Hedy poszła za nim.

– Co się stało? – zapytała cicho po niemiecku.

Odpowiedział w tym samym języku, nie odrywając wzroku od bieżącej wody.

– Jej ojczym dowiedział się o mnie i wyrzucił ją z domu. Dory pomieszka trochę z babcią, dopóki sytuacja się nie uspokoi. – Podchwycił jej spojrzenie. – Tylko daruj sobie „a nie mówiłam” z łaski swojej.

– Dobrze.

Anton zakręcił kran i odwrócił się w jej stronę.

– Przepraszam, ale ja ją lubię. A ona lubi mnie. Co mam zrobić, rzucić ją, żeby zadowolić innych?

Hedy dotknęła jego ręki.

– Znacie się dopiero kilka tygodni. Warto robić sobie tyle zachodu?

– Pewnie zależy, jak na to spojrzeć. Jej rodzina w końcu ochłonie. Jak mówi Dory, skoro jesteśmy szczęśliwi, na pewno obraliśmy dobry kierunek.

– A jeśli zostaniesz powołany?

– To niemożliwe, figuruję w spisie jako producent żywności. Chyba że wojna się przeciągnie. – Wzruszył ramionami na znak, że nie ma nic więcej do dodania, po czym zaniósł Dorothei wodę i przystawił jej szklankę do ust. Piła powoli, przytrzymując ręką jego dłoń. Hedy obserwowała ich od umywalki, wsłuchana w płytki, chrapliwy oddech kobiety. Okno było otwarte, brudna firanka lekko powiewała. Matka krzyczała gdzieś na płaczące dziecko.

Anton przerwał milczenie, z rozmysłem mówiąc po angielsku.

– Co się tak wystroić?

Wahała się, czy powiedzieć, z czym przyszła. Ale i tak się dowie, prędzej czy później.

– Dostałam pracę tłumacza w Lager Hühnlein. – Chwilę wpatrywała się w ich zdumione twarze, po czym dodała: – Mieliście rację, byli zdesperowani.

Twarz Antona rozjaśnił uśmiech, po raz pierwszy odkąd tu weszła.

– Ależ to cudownie. Słyszałaś, Dory?

Dorothea przytaknęła i odetchnęła głębiej, żeby odpowiedzieć.

– Wspaniała wiadomość, Hedy. Wiedziałam, że to coś dla ciebie. – Uśmiechnęła się serdecznie i Hedy zrozumiała, że – zapewne dzięki dyplomacji Antona – jest nieświadoma burzy, jaką wywołały jej słowa.

– Gdybym miała inne wyjście... – urwała. Płytko i żałośnie to zabrzmiało, nawet w jej uszach.

– Napijesz się kawy żołądziejowej? – Anton wskazał piecyk.

Hedy potrząsnęła głową.

– Może innym razem... masz tyle na głowie – odpowiedziała z tajoną urazą w głosie i zaraz tego pożałowała, gdyż jej słowa sprawiły mu przykrość.

– No cóż, dobrze, że ci się udało. Zajrzyj niedługo do piekarni, opowiesz mi wszystko ze szczegółami.

Dziecko za oknem rozplakało się wniebogłosy, w pokoju zrobiło się duszno. Hedy poczuła nagłą potrzebę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Zmusiła się do uśmiechu.

– Tak zrobię. To do zobaczenia.

Kiedy szła po schodach, dogonił ją głos Antona:

– Dobrze zrobiłaś!

Puściła to mimo uszu.

*

Zegar na ścianie wskazywał czwartą: stałą godzinę bólu, gdy od ślęczenia od rana nad wiekową maszyną do pisania marki Adler kłuło ją pod lewą łopatką, a ścięgną piekły od stukania w klawisze.

Hedy usiadła prosto, żeby się przeciągnąć i pomasować obolałe nadgarstki. Zastanawiała się, czy pozostałe dziewczęta w biurze przeżywają podobne męki. Hoże Bawarki, ściągane z Vaterlandu, aby przez cały tydzień chodzić jak w zegarku, a potem gzić się ze swoimi chłopakami żołnierzami aż do poniedziałku. Jeśli też cierpiały katusze, nie dawały tego po sobie poznać. Spojrzała na wąskie okno, przez które słońce zdawało się z niej drwić obietnicą pięknego popołudnia. W pomieszczeniu panował zaduch, jarzeniówki migąły bez sensu nawet w tak pogodny dzień, a od jej sąsiada Dereka, nerwowego młodzieńca, który jako jedyny prócz niej nie był Niemcem, napływał stęchły zapach. Hedy podejrzewała, że też nie ma gdzie suszyć prania. Od niej zapewne bił podobny smrodek, ale miała to w nosie. A niech wachają. Świadoma baczego spojrzenia fräulein Vogt, kierowniczkii bloku, wsunęła w maszynę formularz i wzięła do przetłumaczenia kolejną listę ofert niemieckiej firmy budowlanej.

Tego dnia, w sobotę, mijał pierwszy miesiąc jej pracy, a zarazem był to dzień wypłaty. Hedy miała nadzieję, że odbiór małej, brązowej koperty podniesie ją na duchu. Sama praca nie była wymagająca – tłumaczenie korespondencji, list płac, przydziałów – a stawka niczego sobie. Lecz jej znój doskwierał Hedy bardziej, niż się spodziewała. Długie godziny w biurze, zaduch, kurz, wyczerpujący, godzinny spacer dwa razy dziennie o pustym żołądku – już samo to dawało się we znaki. Okazało się jednak, że sumienie to nie buty, nie sposób go umyć i przywrócić mu dawny blask. Co rano widziała ciężarówki pełne robotników o pustym wzroku, jadące na plac budowy, gdzie umacniano mury przeciwpancerne i budowano pasy startowe dla samolotów. Wiedziała, że teraz jest tego częścią. Jak widać, przetrwanie wymaga pewnego uszczerbku na duszy.

Schulz, któremu brwi wystrzeliły w górę na widok czerwonego „J” w dokumentach Hedy, przydzielił jej biurko w najdalszym, najciemniejszym kącie, przypuszczalnie w obawie, że przynależność rasowa nowej pracownicy może wzbudzić sensację. Ale wkrótce stało się jasne, że kierownictwo OT zachowuje klasyfikację Hedy dla siebie, i za to była wdzięczna. Nudne, aryjskie maszynistki, które traktowały ją jak powietrze, niewątpliwie nabrałyby animuszu w zaciemionych przejściach między budynkami, gdyby poznały prawdę. Dlatego bez szemrania usiadła w swoim kącie i robiła, co do niej należy, ze spuszczoną głową, sprawnie i bez zbędnego gadania – choć tu przynajmniej jej akcent stanowił bardziej zasłonę dymną niż punkt zapalny. Jadała samotnie w kantynie, nie patrząc nikomu w oczy. Nie licząc przełożonej i czasami Dereka, gdy czegoś potrzebował, nie zwracała niczyjej uwagi. Gdyby nie plwocina, pozostawiana mściwie na posadzce latryny przy każdej okazji, jakby wcale jej tutaj nie było.

Jedyny wyjątek stanowił niemiecki porucznik, którego poznała w dniu rozmowy kwalifikacyjnej. Mijali się kilkakrotnie i za każdym razem witał ją szerokim uśmiechem i drobną uprzejmością w ojczystym języku. Odburkiwała mu pod nosem ze świadomością, że odpowiedź w jego mniemaniu niestosowna bądź opryskliwa może skutkować zwolnieniem. Lecz w tych oczach kryła się nieoczekiwana serdeczność, niemal figlarny błysk, który ją ujął. I gdy mijał tydzień bez jednej konstruktywnej rozmowy, wyczekiwała skrycie tych przelotnych chwil normalności. Samotność płała czasem najdziwniejsze figle.

Kiedy wyciągała wypełniony formularz z maszyny, podeszła Vogt, wynędzniała kobieta o niebywale długich, poźółkłych paznokciach. Położyła na biurku Hedy kopertę z wypłatą oraz listę adresów i nazwisk wraz z plikiem kuponów na benzynę.

– Listy przydziału – zaskrzeczała zduszonym, papuzim głosem. – Załatw to jeszcze dziś, kupony trzeba natychmiast rozesłać. Po uzupełnieniu każdej listy włóż do brązowej koperty formularz odbiorcy z odpowiednią liczbą kuponów i zapieczętuj.

– Każdy dostaje co tydzień tyle samo?

– Nie. Jeśli brakuje benzyny, mogą dostać mniej.

– Czy ta informacja ma znaleźć się na formularzu?

– Nie potrzeba wyjaśnień. Wyrówna się w przyszłym tygodniu lub po uzupełnieniu zapasów.

Hedy kiwnęła głową i przystąpiła do wypełniania formularzy zgodnie z przykazaniem, lecz w jej głowie zaświtała niebezpieczna myśl. Skoro odbiorcy nie wiedzą, ilu kuponów się spodziewać, teoretycznie mogła rozdzielić je wedle własnego uznania, a resztę zgarnąć. Serce zatłukło jej się w piersi. Kupon na benzynę były warte fortunę i stanowiły bezcenną walutę, a mięso, jaja i cukier na czarnym rynku osiągały niebotyczne ceny. To może być jej klucz do magicznego królestwa. Ale co, jeśli ktoś sprawdzi formularze przed wysłaniem? Na papierze rozkwitły szare, nieregularne plamy, a ona zorientowała się, że ma spocone ręce.

Próbowała się skupić, zebrać myśli. Wpadka nie wchodzi w rachubę: wielu wyspiarzy trafiło za kratki za kradzież niemieckiego mienia, a jako Żydówka z całą pewnością zostałaby wywieziona. Wizja jednak była kusząca, nie tyle sam zysk, ile satysfakcja. Punkt dla niej. Jedno małe zwycięstwo pośród wielu porażek. Oddychała powoli i głęboko, obserwując spod oka pozostałych pracowników.

Przez następną godzinę patrzyła, jak każdy zanosi papiery na biurko przełożonej i umieszcza kupony w przegródkach. Sterta ostemplowanych kopii rosła na biurku Vogt jak tort urodzinowy, lecz nikt nie zadał sobie trudu, żeby je sprawdzić. Hedy uznała, że jeśli w dziale zaopatrzenia przeliczą same koperty, nikt się nie połapie, a nawet gdyby jakiś kierowca poskarżył się na zmniejszony przydział, nie skojarzą tej zmiany z jej osobą.

Za dziesięć szósta wciąż była niezdecydowana. Z trudem panowała nad rozdygotanymi palcami. Wreszcie, kiedy duża wskazówka zbliżała się do dwunastej, ujrzała, jak Vogt przystępuje do oględzin podpisanych dokumentów. Hedy wzięła formularz dla irlandzkiej firmy budowlanej na trzydzieści kuponów i wkręciła go w maszynę. Mokra jak szczur wpisała w rubrykę dwadzieścia pięć sztuk, wsuwając przy tym pięć kuponów do wewnętrznej kieszeni płaszcza wiszącego na oparciu krzesła. Była pewna, że nikt niczego nie zauważył. Kiedy rozległ się dzwonek wieszczący koniec zmiany, wstała, zaniósła pozostałe formularze i koperty na biurko Vogt, po czym wyszła z budynku tak jak co dzień.

Nastał złocisty wieczór, słońce nadal wisiało wysoko na niebie i wiał lekki wietrzyk. Płaszcz właściwie był zbędny, lecz nie miała odwagi go zdjąć, zresztą większość mieszkańców wyspy ubierała się teraz grubo jak na panującą aurę i nikt się nad tym nie zastanawiał. Drobiniki pyłu zapiekły ją w oczy i gardło, a serce waliło w piersi, ale szła jak gdyby nigdy nic, wpatrzona przed siebie. Stwierdziła w duchu, że to przeznaczenie. Tylko Opatrzność mogła jej zesłać taką okazję, jakby wszechświat wymusił na niej działanie, które wyrówna rachunki. Podążyła w tłumie robotników ku południowej bramie, z łupem ukrytym bezpiecznie na sercu. Zewsząd napierały i trącały ją ciała złaknione powrotu do domu; lawirowała między nimi, stawiając pewnie nogę za nogą. Od bramy dzieliło ją tak niewiele. Już prawie była wolna. Wtedy poczuła na ramieniu czyjąś rękę.

Odwróciwszy się, ujrzała jego twarz tuż na wprost własnej. Przez chwilę nie widziała nic oprócz munduru i myślała, że zemdleje.

– Hedy, prawda? Kurt Rümmele, pamiętasz? Poznaliśmy się w dniu, kiedy zostałam zatrudniona. – Musiał zauważyć, że zbladła jak ściana, gdyż dodał pospiesznie: – Nie chodzi o pracę, bądź spokojna, nie należę nawet do OT. Chciałbym prosić cię o przysługę.

Wpatrywała się w niego w przekonaniu, że kupony wyfruną jej zza pazuchy i zostanie zdemaskowana. Z wolna nabrała powietrza, żeby się opanować.

– Tak?

– Wiem, że jesteś jedną z naszych tłumaczek. Mam artykuł z „American Journal of Science” o przyszłości motoryzacji. Czy zechciałabyś go dla mnie przetłumaczyć? – Hedy otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. – Owszem, znam angielski, ale

z pewnością władasz nim lepiej ode mnie! Z chęcią ci zapłacę albo kiedyś postawię ci drinka w podzięce. Może dasz się namówić na kolację? – Uśmiechnął się szczerze i był to ciepły uśmiech, pełen wiary w przyszłość i pomysłów, od którego twarz zmarszczyła się w kącikach oczu. Miał równe, białe zęby. Hedy poczuła, jak bulgocze jej w brzuchu.

– Kolację?

– Słuchaj, doskonale to rozumiem – zapewnił. – Nie chcesz pokazywać się publicznie z niemieckim żołnierzem, ale mamy własne zaopatrzenie. Mógłbym przynieść prowiant do ciebie. Lubisz ser?

– Ser? – Przekląła się w duchu. Jak będzie tak panikować, na pewno ją złapią.

– Może być coś innego. Żadnych numerów, masz moje słowo. Byłem w Deutsche Jungenschaft, tak na marginesie. Umiem się zachować. – Zaśmiał się lekko, na zachętę. Hedy wyartykułowała coś na kształt odpowiedzi. – Co ty na to?

– Nie ma sprawy. – Poczuła, jak przestrzeń wokół niej zaciera się i przesuwa, a na obrzeżach świadomości zamajaczyła myśl, że ten człowiek nie ma pojęcia o jej pochodzeniu. Każda cząstka ciała ponaglała ją do ucieczki. Kątem oka zbadła swoje położenie.

– Świetnie. Zostawię ci artykuł na biurku, a ty dasz znać, który wieczór ci pasuje, tak? Do zobaczenia.

Posłał jej kolejny promienny uśmiech i poszedł. Hedy odwróciła się, ruszając dalej w stronę bramy. Nogi niosły ją jak w stanie nieważkości, nie widziała ścieżki przed sobą. Odetchnęła dopiero na ulicy i przez resztę drogi powrotnej musiała kilkakrotnie stawać na poboczu, żeby złapać oddech. W domu raz jeszcze przeanalizowała wszystko, co zaszło, i gdy rzeczywistość dotarła do niej w całej rozciągłości, chwycił ją śmiech, histeryczny rechot, którym spłoszyła kota pod łóżko, i musiała usiąść przy stole. Przez dłuższą chwilę nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła się opanować.

Drżącą ręką wyjęła kupony z wewnętrznej kieszeni i utkwiała w nich wzrok. Uszło jej na sucho. Dlaczego znów miałyby się nie udać, cóż może ją powstrzymać, oprócz strachu? Może będzie to robić co tydzień. Poczuła przypływ dumy. Okpiła swoich panów, zwyciężyła. Przestała być kolaborantką, wstąpiła do ruchu oporu. Ukrywała się na widoku w gnieździe żmij i sączyła do niego jad, wypinając się na cały niemiecki naród.

Był tylko jeden problem. Zdaje się, że zaprosiła niemieckiego oficera na kolację.

1 Głupiec (jidysz).

3

Mieszkanie Antona było czyste i wysprzątane jak nigdy. Wszystkie powierzchnie wyszorowano gorącą wodą, a na stole stał nawet kieliszek na jajko pomalowany w jaskry i stokrotki. Dwa wyszczerbione talerze i zestaw blaszanych sztućców czekały już na blacie, na kuchence elektrycznej zaś bulgotał gulasz z kapusty i brukwi. Hedy pomieszała w garnku zgiętą, metalową łyżką, ubolewając, że Anton nie ma drewnianej. Gdyby wiedziała, że nie znajdzie żadnej w szufladzie kredensu, przyniosłaby z domu własną i oszczędziłaby sobie pęcherzy na palcach. Zmniejszyła ogień w chwili, gdy Anton wpadł do mieszkania z rękami w kieszeniach i niespokojnym wzrokiem. Hedy wytarła ręce w wystrzępioną ścierkę.

– Zapomniałeś czegoś?

– Wezmę sobie coś do czytania. – Spośród kilku książek na półce wybrał powieść Stefana Zweiga i przełożył ją z ręki do ręki. – Ile szwab tu zabawi, twoim zdaniem?

– Pewnie ze dwie godziny. Jeszcze raz dziękuję, że mi to zaproponowałeś. Naprawdę nie chciałam, żeby do mnie przyłąził.

– Na pewno chcesz w to brnąć? – upewnił się Anton ze szczerą troską.

– Gdybym teraz się wycofała, mógłby się zdenerwować, uznać, że go zwodziłam. Poza tym nie chcę wzbudzać podejrzeń.

– Ale co jeśli on, no wiesz...

– W razie czego zacznę tupać albo krzyczeć. Ale nic się nie wydarzy, on nie jest taki – powiedziała z przekonaniem i zrozumiała, że naprawdę tak myśli, choć nie wiedziała, na jakiej podstawie.

– Dopóki się nie dowie, że jesteś Żydówką. A jeśli zechce znowu się spotkać?

– Nie zechce. Mam zamiar zanudzić go na śmierć. Wiesz, że potrafię. – Wymienili blade uśmiechy, lecz Anton wciąż miał niewyraźną minę.

– I na pewno nie wie o kuponach?

Stanowczo potrząsnęła głową.

– Nadal uważam, że straciłaś rozum. Żeby kraść tuż pod ich nosem...

– Zależy, jak na to spojrzeć. – Celowo zawiesiła głos w oczekiwaniu, aż podchwyci aluzję. – Jak tam Dorothea? Wciąż mieszka z babcią?

Anton zacisnął wargi, ale nie dał się sprowokować.

– Tak, tymczasowo.

– Atak się nie powtórzył?

– Nie, chwała Bogu. Co zrobisz z kuponami? Chcesz je sprzedać?
Pozwoliła sobie na triumfalny uśmieszek, to było silniejsze od niej.

– Myślałam o tym, ale postanowiłam dać je doktorowi Maine'owi.
Anton osłupiał, tak jak się spodziewała.

– Dać?

– Wtedy stanie się to aktem czystego oporu, a nie drobną kradzieżą lub przejawem egoizmu. Muszę odpokutować za to, że biorę pieniądze od szwabów. To moja osobista micwa.

Anton pokręcił głową.

– Może jednak nasze religie nie różnią się aż tak bardzo. – Pomachał książką. – Idę na dół.

Słuchała, jak tupie na schodach, idąc do piekarni. Poprawiła nakrycia na stole i wyjęła z torebki dwie kartki z tłumaczeniem artykułu. Następnie wyłączyła kuchenkę i wygładziła spódnice, bawiąc się guzikami bluzki. Odbiło jej się potężnie od gwałtownych sensacji w żołądku.

O szóstej podeszła do okna, w którym blisko rok temu wywiesili z Antonem prowizoryczną białą flagę. Nadchodził Rümmele z płócienną torbą. Uśmiechnął się na jej widok. Dała mu znak, żeby wszedł na górę, a on po chwili stanął w progu z zakłopotanym uśmiechem. Zrobiła, co w jej mocy, aby odwzajemnić uśmiech, choć widok mężczyzny w niemieckim mundurze w swojskim mieszkanku Antona ją przytłoczył. Zaprosiła go do środka, usuwając się na bok, żeby jej przypadkiem nie trącił. Grzecznie przystanął tuż za progiem, jakby nie chciał sprawiać wrażenia, że czuje się nazbyt swobodnie; jasnobrązowe włosy zaczesał do tyłu i przygładził pomadą, oczy błyszczały mu dziecięcą ekscytacją. Przywitani się i stali w niezręcznej ciszy.

Wreszcie Rümmele wskazał na kartki na stole.

– Czy to moje tłumaczenie? – Potwierdziła. – Dziękuję, przeczytam po powrocie. Masz bardzo ładne pismo.

– Mogę zobaczyć, co pan przyniósł?

Rümmele stawiał już torbę na stole i rozpinął sprzączkę. Wyjął ze środka dwa małe, oskubane kurczaki, camembert, duży, biały bochenek, paczkę prawdziwej francuskiej kawy, tabliczkę czekolady oraz dwie butelki bordeaux. Hedy patrzyła na te wspaniałości, czując, jak ślina napływa jej do ust.

– To dla ciebie, ma się rozumieć. Nie musisz się ze mną dzielić – zapewnił Kurt.

– Dziękuję, poruczniku – odpowiedziała Hedy zgodnie z powziętym postanowieniem, że będzie zachowywać się nienagannie.

– Proszę, mów mi Kurt.

Hedy zgarnęła prowiant ze stołu, pozostawiając tylko wino oraz chleb, po czym schowała wszystko do kredensu i kategorycznie zatrasnęła drzwiczki. Wskazała gościowi krzesło i wyłożyła mizerny gulasz na talerze z dwóch różnych kompletów. Kurt otworzył

wino i nalał po trochu do wyszczerbionych kubków, oboje wymamrotali toast za rychłe zakończenie wojny, a Hedy pokroiła chleb. Jedli, siedząc w ciszy. Hedy wytarła talerz do czysta przepyszными skrawkami chleba. Zapomniała już, jak smakuje prawdziwe pieczywo. Raz czy dwa zerknęła na niego i zobaczyła, że ją obserwuje, ale była zbyt głodna, żeby się tym przejąć.

Wreszcie zapytał uprzejmie o jej życie w Austrii: odpowiedziała półgębkiem, udając, że przeniosła się na Jersey z powodu pracy. A co sądzi o posadzie w Lager Hühnlein? Jest w porządku, odparła, choć pył bywa dokuczliwy. Minęło męczące pół godziny, rozmowa toczyła się zrywami, jak samolot, który nie może wystartować. Hedy niespiesznie sączyła wino; od miesięcy nie miała w ustach alkoholu i tylko tego brakowało, żeby rozwiązał jej teraz język. Gdy Kurt wspomniał o swoim zainteresowaniu amerykańskimi samochodami, podchwyciła temat, zakładając słusznie, iż zapełni tym kilka minut. W końcu jednak dopił drugi kubek i z rozmysłem odstawił go na stół.

– Hedy, nie chcę być niegrzeczny, ale wolałbym nie spędzić wieczoru na rozmowie o zakładach Forda.

Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

– A o czym?

Niemiec spróbował przybrać wygodniejszą pozycję na krześle.

– Chciałbym, żebyśmy się lepiej poznali.

Włożyła naczynia do zlewu, stając do niego plecami.

– Nie ma we mnie nic szczególnego. Na pewno w biurze jest całe mnóstwo niemieckich dziewcząt, które okazałyby się znacznie ciekawsze. – Przygryzła wargę ze świadomością, że przytyk nie ujdzie jego uwadze. Miała rację.

– Wiesz co, wbrew temu, co mówi Hitler, nie wszyscy Niemcy, nawet wojskowi, są entuzjastami teorii o rasie panów.

– Naprawdę? – Przejechała palcami po brudnych talerzach, żeby na niego nie patrzeć. – Myślałam, że był to jeden z głównych powodów, dla których wasz kraj przystąpił do wojny. Nie uważacie się za lepszych od Słowian? Albo Żydów? – Zerknęła w zawieszony nad zlewem odłamek lustra, którego Anton używał przy goleniu, i ujrzała, że ma rozpłomioną twarz. Chyba jednak za dużo wypila, skoro wkracza na grząski grunt.

– Mogę wyznać ci coś w tajemnicy? – zapytał Kurt. Nie odpowiedziała, co chyba uznał za przyzwolenie. – Między nami mówiąc, moim zdaniem Hitler atakuje te grupy, żeby wzmocnić własną pozycję, to kozły ofiarne i nic poza tym. Osobiście nigdy nie miałem problemu z żadnym Rosjaninem czy Żydem. – Westchnął cicho. – Słuchaj, usiądziesz na chwilę? Trudno się rozmawia z czyimiś plecami. – Hedy wytarła ręce i przycupnęła na krawędzi krzesła. – Dziękuję. – Nachylił się tak blisko, że zobaczyła siateczkę zmarszczek wokół jego oczu. Zapachniało winem. – Żaden ze mnie żołnierz, Hedy. Kiedy byłem mały, chciałem zostać inżynierem. Odbyłem staż w stoczni, po czym któregoś dnia zamiast statków kazano nam produkować czołgi i nosić to. – Wskazał gabardynową bluzę

od munduru, rozpiętą pod szyją. – Ani się obejrzałem, jak wybuchła wojna i zacząłem jeździć wozem pancernym. Nie mieliśmy wyboru, ja i moi rówieśnicy.

– I przystałeś na to, tak po prostu?

– W przeciwnym razie trafiłbym za kratki. Czasem stajemy w obliczu siły, z którą nie ma sensu się mierzyć, byłby to wręcz przejaw arogancji. Jak król Knut, który utonął, ponieważ myślał, że zdoła powstrzymać fale mocą swojego autorytetu. Znasz tę opowieść?

Pociągnęła nosem.

– Każdy ją zna. Zresztą wcale tak nie było. Knut nie utonął i nie próbował powstrzymać fal.

– Nie?

– Był dobrym królem. Chciał pokazać nadętym dworzanom, że nawet władza króla ma swoje granice. To akt pokory. – Stłumiła pokusę, żeby znów stanąć przy zlewie. Czuła się tu zbyt odsłonięta, siedział za blisko niej.

Kurt zaśmiał się, miał ładny śmiech.

– No to czegoś się dzisiaj dowiedziałem. – Uśmiechnął się pojednawczo, ale nie odwzajemniła uśmiechu. – Chcę tylko zaznaczyć, że zmusiły mnie okoliczności. Nie miałem innego wyjścia.

– Czyli uważasz, że nie ponosisz odpowiedzialności za to, co robi twój kraj, ani za cierpienie, którego jesteście przyczyną? – Słowa padały bez udziału jej woli.

– Próbuję tylko wyjaśnić...

– A ludzie, których widziałam w Wiedniu, pakowani do ciężarówek i wywożeni?

Sięgnął przez stół i przez chwilę myślała, że chce wziąć ją za rękę, ale wziął butelkę z winem i wylał resztę do swojego kubka.

– Zgadzam się z tobą, że to złe. – Pociągnął długi łyk. – Traktowanie ludzi jak bydło jest okrutne i niepotrzebne. Ale znajdują się na gospodarstwach, wśród swoich.

– Gospodarstwach? Myślisz, że wywożą ich na wieś? – Wino przemieszało się z furią, lawina ruszyła i Hedy zapomniała o rozwadze i uprzejmości, które sobie przykazała. – O większości tych ludzi słuch zaginął! Chcesz mi wmówić, że nie zostali wywiezieni do lasu i rozstrzelani?

– Większość tych historii to czysta propaganda. – W jego głosie pobrzmiwała lekka irytacja. – Myślisz, że alianci nie są zdolni do rozsiewania takich plotek? Co o nas słyszałaś, zanim tu przyjechaliśmy? Ani chybi, że gwałcimy kobiety i pożeramy żywcem niemowlęta! Jasne, że po mojej stronie nie brakuje głupich i ciemnych ludzi, tak samo jak po twojej. Ale to nie znaczy, że wszyscy jesteśmy ulepieni z jednej gliny.

Hedy wstała i spostrzegła z lękiem, że zrobił to samo. Był o dobrą głowę wyższy od niej i zrozumiała, że mógłby ją powalić jednym ciosem. Gdzieś na dole trzasnęły drzwi i przyszło jej do głowy, że może Anton biegnie na odsiecz. Ale słowa płynęły niepowstrzymanym strumieniem.

– Dlaczego miałabym ci uwierzyć? Nosisz hitlerowski mundur, płacą ci hitlerowcy i wypełniasz ich rozkazy. Kimże miałbyś być, jeśli nie jednym z nich?

Wpatrywał się w nią z nieprzeniknioną miną. Nie był to gniew ani pogarda, których się spodziewała, bardziej rozczarowanie. Podniósł rękę i pomyślała, że cios jednak padnie, lecz on tylko sięgnął po płócienną torbę i przerzucił ją przez ramię.

– A ty? – burknął. – Jesteś Austriaczką, w zasadzie jesteśmy rodakami. Pracujesz dla tych samych ludzi, co ja, bierzesz od nich wypłatę. Zapraszasz mnie tu i częstujesz się moim prowiantem, a nadal traktujesz mnie jak wroga. I wiesz co... – Wcisnął czapkę na głowę. – Jeżeli wrzucasz wszystkich do jednego worka i twierdzisz, że wszyscy są tacy sami, nie jesteś lepsza od Hitlera.

Hedy utkwiała w nim wzrok. Ręce jej dygotały, ale zapanowała nad głosem.

– Lepiej już idź – powiedziała.

– Pójdę. – Ruszył do drzwi, po czym odwrócił się do niej. – Mimo wszystko chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

– Dziękuję za prowiant. – Zadarła podbródek, żeby nie okazać słabości.

Kurt wyglądał na zgnębionego, ale tylko wzruszył ramionami.

– Dziękuję za tłumaczenie. I za kolację. – I poszedł. Hedy stała przez chwilę, przytrzymując się blatu. Wpadł zaniepokojony Anton i otoczył ją opiekuńczym ramieniem.

– Już dobrze. Poszedł sobie.

– Nakrzyczałam na niego. – Trzęsa się teraz na całym ciele.

– Nie przejmuj się, nie zgłosi tego. Na kogo by wyszedł, skarżąc się na dziewczynę? Nie puści pary z ust.

Hedy kiwnęła głową, ale wciąż drżała, jeszcze długo po tym, jak Anton otworzył drugą butelkę wina, nalał jej pełen kubek i zmusił, żeby wypić, a ona zrelacjonowała mu przebieg spotkania. Wciąż była roztrzęsiona i trochę ją mdliło, gdy podziękowawszy Antonowi za wszystko, przekradła się do swojej kawalerki z łupem zawiniętym w gazetę pod płaszczem i z ulgą zasunęła rygiel. Zapaliła ogarek i głęboko odetchnęła, usiłując przemówić sobie do rozumu. Może przeraziła ją własna zapalczliwość i śmiałość wobec niemieckiego oficera? Może po prostu ma słabą głowę. Napiła się zimnej wody prosto z kranu. Trochę się wstydziła, w końcu zachowała się tak wobec człowieka, który traktował ją życzliwie i z szacunkiem.

O trzeciej nad ranem obudził ją sen i zrozumiała, że wychodzi szydło z worka. Sen był tak sugestywny, że mokra na całym ciele zrzuciła koc, którym była przykryta. Czuła na sobie ręce Kurta, jego wargi na ustach. Naprężyła biodra.

Hemingway syknął w głębi mieszkania i cały się zjeżył.

– Ponoć wreszcie konfiskują *Judenschweine* odbiorniki. – Fischer ostro wrzucił trójkę, aż dźwignia zazgrzytała z pretensją. Kurt się wzdrygnął. – Nie do wiary, że tyle to trwało. No bo któż inny mógłby informować Brytyjczyków, jeśli nie podstępne żydki, mam rację? Było to załatwić w pierwszej kolejności.

Kurt zdawkowo skinął głową, w milczeniu wpatrując się w widok za oknem. Dzień był ciepły, a niebo bezchmurne. W zatoce kołysały się kutry, w oddali widniał zarys Elizabeth Castle. Odkrył, że najlepszą strategią na poranne dojazdy jest skupić się na krajobrazie. Początkowo bawiły go tyrady Fischera, wręcz lubił go podpuszczać i patrzeć z lubością, jak tamten poci się i czerwieni. Obecnie jednak typ działał mu na nerwy, w dodatku prowadził służbowe auto, jakby ujeżdżał dzikiego rumaka: gnał na złamanie karku i hamował w ostatniej chwili przed znakami stopu. Może mógłby zabierać się z którymś z pozostałych kolegów z kwatery. Popyta wieczorem.

Ten ranek był szczególnie przykry, gdyż na tylnym siedzeniu zasiadł oślizgły funkcjonariusz Tajnej Policji Polowej, Erich Wildgrube. Przynajmniej wszyscy uważali go za tajniaka, on sam unikał bowiem odpowiedzi na wszelkie pytania. Snuł się po koszarach i klubach towarzyskich, biorąc ludzi na spytki pod płaszczykiem niezobowiązującej rozmowy. Miał rozbiegane, świńskie oczka, zawsze nosił skórzany płaszcz z filcowym kapeluszem do kompletu i używał wody kolońskiej, od której Kurtowi przewracało się w brzuchu. Kurt nie mógł pojąć, dlaczego ktoś, kto w zamyśle winien wtopić się w tłum, z premedytacją zwraca na siebie uwagę. Nie ufał Wildgrubemu za grosz.

Fischer wskazał duży, biały znak zwycięstwa namalowany na murze.

– Następny. Widziałeś, ile takich pojawiło się w mieście? Bóg jeden wie, skąd biorą farbę. – Pokręcił głową nad uporem miejscowych.

Wildgrube nachylił się do przodu i jego jęśliwy, dziewczynski głosik przedarł się przez warkot silnika.

– To czysta niesubordynacja, którą trzeba zdusić w zarodku, w przeciwnym razie rozniesie się jak zaraza. Nie sądzisz, Rümmele?

Od smrodu jego wody kolońskiej Kurt omal nie zwrócił śniadania.

– Jasne – odrzekł. – Nic nie roznosi się tak szybko jak zaraza.

Zapadła cisza i Kurtowi zaświtało, że przeszarżował, ale zbliżali się do Millbrook, gdzie miał wysiąść, wyskoczył więc z ulgą z auta, dziarsko zabębnił w dach i ruszył biegiem na plac budowy. Przy odrobinie szczęścia czeka go dużo zajęć i nie będzie miał czasu myśleć o Fischerze, Wildgrubem, a nawet... Nie było sensu się w to zagłębiać.

Dzień okazał się jednak do bani. Przez cały ranek użerał się z wadliwie umiejscowionymi czopami na wale korbowym gazika Horch 108, przez które nie zdążył na obiad, całe popołudnie zaś tropił etykiety, które jego młodszy mechanik umieścił nie tam, gdzie należy. Zanim wybiła szósta, był brudny i spocony, toteż uznał, że wieczorem rozerwie się w nowym klubie oficerskim. Zazwyczaj stronił od takich przybytków, przygnębiał go widok młodych, francuskich dziwek. Ale wyśmienita, lokalna brandy

jabłkowa wespół z widokiem życzliwych twarzy pozwalała mu zapomnieć o problemach. Już miał prosić inżyniera o podwiezienie, kiedy ją zobaczył.

Wychodziła z Bloku Siódmego, ubrana w to, co zawsze: znoszone, sznurowane trzewiki oraz – nie wiedzieć dlaczego – ciężkie, zimowe palto, które rozłaziło się w szwach. Podążała równym, zdecydowanym krokiem, w rozwianych włosach lśniły złociste refleksy. Kurt zwolnił, zachodząc w głowę, czy przepuścić ją przodem. Nie rozmawiali ze sobą od tamtego okropnego wieczora, mimo że kilkakrotnie widział ją z daleka i wyobrażał sobie ich kolejne spotkanie częściej, niż byłby skłonny przyznać. Zastanawiał się, czy jej nie przeprosić, ale po co miałyby to robić? Ostatecznie nie zrobił nic złego, a jeśli ona rzeczywiście nienawidzi Niemców tak, jak dała to do zrozumienia, sprawa jest z góry przegrana. Najlepiej uznać to za nauzkę i dać sobie spokój, mógł mieć dziewcząt na pęczki. Sęk w tym, iż żadna inna go nie interesowała, zielone oczy Hedy zaś tak wryły mu się w pamięć, że zasypiał co wieczór z ich obrazem pod powiekami.

Ściągnął łopatki. Koniec ze sztubackimi podchodami, raz na zawsze oczyści atmosferę. Ruszył śmiało w jej stronę. Hedy się odwróciła, jakby wyczuła jego obecność, po czym stało się coś niesamowitego. Ku zdumieniu Kurta, uśmiechnęła się do niego. Był to pierwszy szczery uśmiech, jakim go uraczyła, i ten widok wywarł na nim piorunujące wrażenie. Odpowiedział jej tym samym w nadziei, że inna, równie spontaniczna reakcja jego ciała przejdzie niezauważona. Przeciskając się w jej stronę, uczył przyływ optymizmu, a wachlarz możliwości, jaki się przed nim roztoczył, dodał mu skrzydeł. Kiedy nabierał tchu, żeby się odezwać, z tyłu rozległ się ostry głos po niemiecku.

– Co to ma być? Czyje to?

Kurt się odwrócił. Za nim stał feldwebel Schulz, trzymając w prawej ręce plik kuponów na benzynę, podeptanych i zabłoconych. Potoczył rozbieranym, nerwowym wzrokiem w oczekiwaniu na odpowiedź. Kurt też się rozejrzał i jego spojrzenie padło na Hedy, która zbladła jak płótno i odruchowo wsunęła dłoń do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Poszperała wewnątrz, ale nic stamtąd nie wyciągnęła. W tej samej chwili ich spojrzenia się zetknęły i Kurt wszystko zrozumiał. Następnie usłyszał własny głos, dochodzący z bardzo daleka.

– Tak, to moje. Dziękuję, musiały mi wypaść.

Dalej wszystko potoczyło się w zwolnionym tempie i wspominając później tę scenę, Kurt widział ją w blasku reflektorów, jak na planie filmowym. Hedy wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Z wysiłkiem oderwał od niej wzrok, a Schulz ruszył w jego stronę.

– Jakim cudem znalazły się w pana posiadaniu, poruczniku? Czy ma pan przydział? – Wieczne słońce odbijało się w okularach Schulza, nadając mu wygląd ślepego robota.

Pospiesznie zebrał myśli.

– W zasadzie nie. Dostałem od jednego z kierowców w zamian za tytoń.

– Od którego kierowcy, panie poruczniku? – Schulz przestąpił z nogi na nogę, niezręczne okoliczności zbiły go z tropu.

– Sam nie wiem, jest ich tylu. Nie odróżniam jednego od drugiego. Czy to jakiś problem?

– Owszem, panie poruczniku. – Schulz poczerwieniał. – Doszło do bezprawnego kupczenia własnością Rzeszy! – Głos zniżył mu się o ton. – Przykro mi, ale będę musiał to zgłosić.

Kurt poczuł, że pot ścieka mu po plecach.

– Ejże, Henriku, mówisz poważnie? Chodzi o kilka kuponów, wszyscy to robią.

– Być może, ale pan się przyznał. – Schulz zwiesił głowę, wyraźnie przygnębiony tym, co go czekało. – Muszę porozmawiać z przełożonym. Proszę przyjść do mnie za pół godziny. – I odszedł, upychając dowody w kieszeni munduru.

Ludzie się rozprasiali i szeptali między sobą. Kurt zmusił się, by odczekać kilka sekund, zanim ponownie skierował wzrok na Hedy. Jej twarz wciąż zdradzała niedowierzanie, lecz pojawiło się na niej coś jeszcze, nieokreślone wzruszenie, od którego nogi się pod nim ugięły. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, lecz powstrzymał ją lekkim potrząśnięciem głową i mrugnął okiem. Następnie obrócił się na pięcie i ruszył do klitki, gdzie mieściło się jego biuro. Tylko raz się obejrzał i z ulgą stwierdził, że Hedy znikła.

Żandarmeria wojskowa pojawiła się w ciągu godziny. Chwilę po ósmej odprowadzono go do więźniarki, gdzie jeden z dwóch strażników otworzył przed nim drzwi i poczęstował go papierosem na drogę. Wydmuchując przez kraty idealne kółka dymu, patrzył, jak Lager Hühnlein znika w oddali. Jednego nie mógł pojąć: jak to możliwe, że od miesiący nie czuł się tak spokojny.

– Dwa tygodnie?

– Tak twierdzą wszystkie maszynistki. Ponoć chcą ukarać go dla przykładu.

Anton zrobił minę.

– Sąsiad pana Reisa w zeszłym miesiącu poszedł siedzieć za handel na czarnym rynku. Chodzą słuchy, że ten areszt to nic przyjemnego.

– Lepszy niż zsyłka do Francji, jak mniemam. Zaniósłabym mu coś do jedzenia, ale...

– Nie! – Anton wzniosł palec. – Nie mieszaj się, bo nabiorą podejrzeń. I uważam, że powinnaś rozejrzeć się za inną pracą.

Hedy usiadła w kucki, patrząc, jak Anton manewruje wędką pod skałą. Był to genialny wynalazek: wieszak do ubrań przywiązany do starego węża gumowego i wzmocniony złamanym kijem od miotły. Przy odrobinie szczęścia dało się wyłuskać z głębin słuchotki, a nawet małe homary.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że innej nie dostanę.

– Lepiej dmuchać na zimne. A jeśli Rümmele uzna, że nie da rady, i wyśpiewa prawdę?

Hedy zamruwała w blasku zbiegającego nieba i spojrzała ponad księżycową dziczą skał oraz lśniących zatoczek ku plaży La Roque. Byli daleko, ludzie na odległym brzegu wyglądali

jak kolorowe plamki. Jedną z nich była Dorothea, wyczekująca przy falochronie ich powrotu.

– Gdyby miał na mnie donieść, już by to zrobił. – Miała nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco.

– Możliwe, ale czego zażąda w zamian, kiedy wyjdzie? Na pewno wpadłaś mu w oko, a teraz ma na ciebie haka. Mógłby to wykorzystać. – Anton gmerał coraz bardziej zaciekle, jakby poczuł smak owoców morza. W wodzie nie ruszało się nic prócz miniaturowych, przezroczystych rybek wielkości paznokcia, śmigających na wszystkie strony, i garstki krabów mniejszych od monet, które czmychały po piaszczystym dnie do kryjówki pod najbliższym kamieniem. Takie maleństwa, pomyślała Hedy, mogą jedynie schować, a nie bronić. Wstała, żeby rozprostować nogi.

– To co mam robić? Gdybym teraz odeszła, byłoby to jeszcze bardziej podejrzane. Na dodatek mają mój adres: jeśli zechce mnie szantażować, nic na to nie poradzę. – Starła pot z nad górnej wargi i zmięła w palcach skraj wypłowiałej tkaniny, którą związała włosy zamiast szala. Dzień był upalny, każdy nerw w jej ciele zdawał się zbyt blisko powierzchni skóry. – Ile mamy czasu przed przyływem?

– Jakieś dwadzieścia minut, potem musimy zawrócić. – Anton spojrzął na zegarek. – Dorothea mówi, że przychodzi tu naprawdę błyskawicznie. Na wyspie są największe przyływy w Europie, sięgają dwunastu metrów, są naprawdę mocarne.

Hedy przytaknęła.

– Dobrze, spróbujmy więc zebrać trochę skałoczepów, żeby nie wrócić z niczym.

Ruszyła w stronę poszarpanych skał z drugiej strony żlebu i przykucnęła w cieniu. Następnie ujęła prowizoryczne dłuto – fragment łupka skradziony z placu budowy – i podważyła żółte piramidki z podbrzusza skały. Kilka wpadło jej do koszyka. Anton spróbował w innym miejscu i przez chwilę słyhać było tylko skrobanie i przyspieszone oddechy. Nad nimi wznosiła się sylwetka Seymour Tower, pomnik innych zmagani i wojen. Hedy kilkakrotnie zerknęła na przyjaciela, lecz był skupiony na wykonywanej czynności. Niebawem palce im zdrętwiały i zaczęły krwawić od pokrytej pąklami skały. Uzbierali wspólnie dwadzieścia siedem skałoczepów, ledwo na przekąskę.

Anton bezsilnie westchnął.

– Dajmy sobie spokój. Wolę nie ryzykować. – Ruszyli mozolnie w stronę brzegu i ślizgając się na mokrych kamieniach, czepiali jedno drugiego dla utrzymania równowagi.

W miarę przedłużającego się milczenia Hedy wybrała bezpieczny temat.

– Co podała wczoraj BBC?

– Niemcy zbliżają się do Leningradu. Jeśli Ruscy ich nie powstrzymają i Roosevelt nie wkroczy wkrótce do akcji, do świąt może być po sprawie. – Przystanął i wyjąwszy z kieszeni mały kapciuch, skręcił jak najcieńszego papierosa. – Czy to znaczy, że oddałaś radio?

Potwierdziła.

– Gdybym nie oddała, zrobiliby mi rewizję. Nie ma sensu głupio ryzykować.
– I rozumiem, że to wszystko ukróciło twój proceder z kuponami na benzynę?
– Masz mnie za idiotkę? Zresztą nic by się nie wydarzyło – dodała po chwili – gdybym wiedziała, że mam rozdartą kieszeń.

– Co z doktorem Maine'em?

– Żal mi go, ale na czarnym rynku jest wiele osób, do których może się zwrócić.

Bliżej brzegu skały się wypłaszczyły i szli teraz po podsuszonych wodorostach. Hedy uniosła głowę i dostrzegła drobną postać Dorothei na starym kocu przy falochronie; siedziała boczkiem w spódnicy własnej roboty i machała do nich. Hedy wyrwało się mimowolne westchnienie, które dotarło do uszu Antona, sądząc po jego minie. Potrząsnął skałoczepami w koszyku i spojrzał na nią.

– Pójdę je opłukać przy kranie, zaraz wrócę. Posiedź z Dorotheą. – Hedy popatrzyła mu w oczy i dostrzegła w nich upór. – No idź. Długo nie zabawię.

Zrozumiała, że nie ma wyjścia. Czując się jak skarcona uczennica, podreptała po suchym piasku. Dorothea przesunęła się na kocu i poklepała miejsce obok siebie.

– Jak wam poszło?

– Marnie. Dwadzieścia siedem skałoczepów.

Dorothea się roześmiała.

– Głowa do góry. Dodam je do zapiekanki z ziemniaków, dla smaku. O, patrz, skaleczyłaś się w rękę! – Wyjęła z torebki koronkową chusteczkę i zanim Hedy zdążyła zaprotestować, wytarła draśnięcie. – Łowienie na płyciźnie jest uciążliwe, ale warto zadać sobie nieco trudu, aby zdobyć coś na kolację. Spójrz, co dzisiaj dostałam. – Wyszperała z torebki czarny pojemniczek, przekręciła i zaprezentowała kikut różowej pomadki. – Babcia mi dała. Chcesz się pomalować?

Hedy zerknęła tęsknie na Antona, który zamarudził przy kranie.

– Nie, dzięki.

– Na pewno? Co ty, pierwszorzędna jakość. Pasuje do ciebie.

– Nie, naprawdę. – Hedy otrzepała gołe nogi palcami. Szorstki piasek przywarł do wilgotnych stóp i łydek, drażniąc skórę. Najchętniej poszłaby pod kran, żeby się opłukać, czuła jednak, że nie wypada zejść z posterunku.

Już miała spytać grzecznie o rodzinę Dorothei, gdy ta rzuciła od niechcenia:

– Anton wspomniał, że wsadzili twojego porucznika do więzienia.

Hedy popatrzyła na nią w osłupieniu. Dostrzegła kątem oka, że Anton kieruje się w ich stronę. Najchętniej by mu przyłożyła.

– Anton tak powiedział?

– No przecież. Jakie to romantyczne – zaszczębiotała Dorothea. – Jak w filmie, poświęcił się dla ukochanej.

Hedy poczuła, jakby ją mrówki oblazły.

– Nic z tych rzeczy! – oznajmiła głośno i dobitnie. – Co ty w ogóle pleciesz? Zlitował się nade mną i tyle.

Twarz Dorothei przybrała dziecinny wyraz.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłam, Hedy. Ale... czy kogoś byłoby na to stać z litości? Myślisz, że o nic więcej nie chodziło?

– Pojęcia nie mam, dlaczego to zrobił! Może było mu głupio, że przy kolacji wyprowadził mnie z równowagi. Serio, naprawdę podejrzewasz mnie o romans z hitlerowcem? – Słowa zawisły w powietrzu i poczuła, że się czerwieni.

Okrył je cień Antona. Trzymał luźno koszyk, woda kapiała na piasek.

– Co się dzieje?

Hedy wstała, rzucając mu miazdzące spojrzenie.

– Dorothea ubzdurzyła sobie, że coś mnie łączy z porucznikiem Rümmelem. Skąd, u licha, taki pomysł?

Anton szurnał nogą w piasku.

– Nikt nie twierdzi nic podobnego. Może wrócimy do miasta i napijemy się czegoś zimnego?

– Wybaczcie, ale kiepsko się czuję. Idę do domu. – Była to prawda. Chciała usiąść w cieniu, otrzepać się z piasku, umyć i ochłoniąć.

Dorothea podsunęła jej koszyk.

– Weź chociaż swoją część.

Hedy lekko go odepchnęła.

– I tak nie zjem, nie są koszerne.

– Pewne rzeczy nie powinny liczyć się w czasie wojny. – Głos Dorothei zabrzmiał dziwnie spokojnie i Hedy spostrzegła, że tamta wpatruje się w nią z krępującym natężeniem. – Wiesz, że możesz mi ufać, prawda?

– Sama już nie wiem, komu ufać, a komu nie.

Odwróciwszy się, ruszyła plażą w stronę pochyłej kładki i wspięła się po niej z trudem. Przy kranie splukała nogi zimną wodą i wzięła buty na mokre stopy. Dopiero wtedy obejrzała się przez ramię. Anton siedział z kolanami pod brodą i gestem bezbrzeżnego zmęczenia tarł oczy oraz głowę. Ale Dorothea wciąż wpatrywała się w Hedy, niebieskie oczy błyszczały w popołudniowym słońcu.

Cienka kolumna światła wpadająca przez umieszczone wysoko, zakratowane okno sprawiała, że napomadowane włosy Wildgrubego lśniły jak czapka wysadzana klejnotami, co wespół z żarliwą miną nadawało mu błazeński wygląd i Kurt zmuszony był stłumić uśmiech. Wildgrube stał ze złączonymi stopami jak na paradzie i patrzył na niego z góry.

– Kogo jak kogo, ale ciebie nigdy bym o to nie podejrzewał, Kurt.

Kurt zaciągnął się papierosem od Wildgrubego i patrzył, jak dym dryfuje w promieniach słońca. Ławka, na której siedział, była wilgotnawa i najeżona drzazgami, a woń ekskrementów niezmiennie dawała mu się we znaki. Ale niech go diabli, jeśli da satysfakcję temu durniowi. Wzruszył ramionami, jakby nie rozumiał, o co tyle zamieszania. Przez ostatnie dni nabrał w tym wprawy.

– Jeśli mam być szczery, Erichu... – Ujrzał, jak Wildgrube wzdrygnął się lekko na dźwięk swego imienia. Kurt nie miał zamiaru ustąpić mu pola. – Wiedziałem, że to wbrew zasadom, ale nigdy nie przywiązywałem do tego większej wagi. Połowa chłopaków robi interesy na boku. Ponoć szef tajnej policji ma układ z jednym z miejscowych rzeźników.

Wildgrube zacisnął usta, powstrzymując się od komentarza, i lekko zadrgała mu lewa powieka.

– Masz błędne informacje, przyjacielu – odpowiedział. – Czarny rynek wyklucza z obiegu cenne towary, powoduje problemy i niesie ryzyko buntu wśród ludności cywilnej. Potępiamy działania tego rodzaju. – Odwrócił się i podreptał od ściany do ściany wąskiej celi, układając kolejne zdanie. Kurt ponownie zaciągnął się papierosem. – Nadal nie mogę uwierzyć, że ty, szanowany oficer, sprzeniewierzyłeś się tym zasadom, wiedząc, jak zaszkodzi to twojej reputacji. Masz szczęście, że kampania rosyjska postępuje tak szybko, w przeciwnym razie mógłbyś trafić stąd prosto na front wschodni.

Kurt dopalił papierosa i wdeptał go w kamienną posadzkę. Kamień spadł mu z serca. Dwa tygodnie w tej norze czy utrata przepustki na wyjazd do rodziny to nic wielkiego, ale widmo zesłania na front wschodni spędzało mu sen z oczu, odkąd się tutaj znalazł. Godzinami leżał w ciemnościach, roztrząsając swoje pobudki. Jasne, uchronić ładną dziewczynę przed odsiadką to rzecz szlachetna, ale zginąć za to na Polesiu? W imię czego? Tylko raz okazała mu coś prócz obojętności, w ułamku sekundy na placu, gdy spojrzała na niego z wdzięcznością i... uczuciem? Zdziwieniem? Litością, że zachował się jak głupiec? A jednak hołubił w sercu tę chwilę i obiecał sobie, że nie zdradzi jej bez względu na karę, jaka zostanie mu wymierzona. Wciąż nie był pewien, czy wyszedł przez to na Don Kichota, czy największego bałwana w Wehrmachcie. Wiedział jedynie, że pragnie znów ją zobaczyć, jak najszybciej.

Dźwignął się z ławki, zadowolony, że znacznie przewyższa tamtego wzrostem, i poklepał go przyjaźnie.

– Masz całkowitą rację, Erichu. Wierz mi, potraktuję to jako nauczkę. Od tej pory będę grzeczny.

Wildgrube lekko zmrużył oczy.

– Nie chodzi o to, aby być „grzecznym”, tylko zachowywać odpowiednią postawę wobec naszej wielkiej Rzeszy i ukochanego Führera.

– Ma się rozumieć.

Stali tak, zdawałoby się, długi czas, tak samo nieustępliwi. Wreszcie Wildgrube głośno pociągnął nosem i załomotał w drzwi, żeby go wypuszczono z celi. Kiedy odwrócił się na

pożegnanie, Kurt dostrzegł na jego cienkich wargach cień uśmiechu.

- Znajdź mnie, kiedy wyjdiesz. Napijemy się razem i zapomnimy o sprawie, dobrze?
- Jak najbardziej.

Patrzył, jak drzwi się zatrząskują, i nasłuchiwał cichnących kroków, aż jedynym odgłosem pozostał jęk chorego więźnia w sąsiedniej celi. Usiadł na ławce i śledząc promień pełzający po spękanej ścianie, wrócił myślami do króla Knuta.

*

Liście na drzewach w Parade Gardens żółkły i brązowały, a po niebie gnały pękate, nabrzmiałe deszczem chmury. Nadchodził wrzesień. Gdy Hedy mijiała pomnik generała Dona, kilku znudzonych niemieckich żołnierzy po służbie wylegiwało się na kamiennym cokole lub opierało o armaty, gawędząc i paląc francuskie papierosy. Ich wygląd nie budził zaufania. Jeden gwizdnął na jej widok i odwróciła głowę z odrazą.

Kawiarnia znajdowała się przy York Street, w pobliżu szpitala. Był to ciemny, niepozorny lokalik ze spłowiałą markizą nad oknem i brązowym wnętrzem, zacienionym jeszcze ciężkimi firanami. W sam raz na jej potrzeby. Pchnęła drzwi, brzęknął dzwonek. Z ulgą stwierdziła, że w środku nie ma nikogo prócz ospałej kelnerki i starszej pani pod oknem, która sączyła herbatę jeżynową i wyglądała przez okno pustym wzrokiem. Hedy zajęła stolik na tyłach, zamówiła filiżankę kawy marchewkowej i czekała.

Pięć minut później ponownie rozległ się dzwonek i Hedy uniosła głowę. Stał w drzwiach w brązowym prochowcu i starym homburgu na głowie, po czym dyskretnie odszukał ją wzrokiem. Zajął miejsce przy sąsiednim stoliku i udał, że przegląda jadłospis. Hedy dalej popijała kawę, zapatrzona w ulicę. Usłyszała, jak znużonym, napiętym głosem zamawia szklankę mleka, następnie dobiegł ją szelest gazety. Odczekała, aż kelnerka uda się na zaplecze po dzbanek, wyjęła z torebki zawiniątko i położyła je na jego stole. Usiadła z filiżanką w dłoni.

Doktor Maine równie zręcznym ruchem zgarnął zawiniątko z blatu i wsunął je do kieszeni płaszcza. Dopiero wtedy pozwolili sobie na wymianę lekkich uśmiechów, pieczętując udaną transakcję. Hedy zdążyła jednak dostrzec, że doktor ma ciemniejsze niż zwykle obwódki pod oczami, a skronie jeszcze bardziej mu posiwiwały. Zrozumiała, że słusznie zataiła przed nim wydarzenia w Lager Hühnlein, tak jak słusznie przemilczała przed Antonem, że wciąż kradnie kupony. Wszyscy mają dość zmartwień, żyjąc w niepewności i strachu, nic im po cudzych sekretach. Każdy stał się chodzącą zagadką w czasie okupacji.

Dopiła kawę, zostawiła na stole odliczoną kwotę i wymknęła się z kawiarni zadowolona z siebie, podziwiając własną wytrwałość i odwagę; pragnęła złączyć się z tym uczuciem, aby wryć je sobie w pamięć, gdyż być może po raz ostatni doświadcza czegoś w tak

czystej postaci. Od tej pory, jeśli dzisiejszy dzień potoczy się tak, jak zaplanowała, ponieważ *shande* zmaści wszystkie kolejne osiągnięcia i odbierze im rangę.

Minionej nocy leżała bezsennie, tak zatrwożona ciemnością i własnymi myślami, że do cna wypaliła resztkę cennej świecy. Płomień migotał w przeciągu i rzucał kształty oraz cienie na firankę, ale prawie ich nie dostrzegała. Widziała za to skuloną matkę we łzach i ojca zdjętego gniewem. Widziała Rikę wpatrzoną z osłupieniem w siostrę, której już nie znała, i Antona łapiącego się za głowę, tak jak na plaży. Przede wszystkim jednak widziała Kurta oraz ledwo dostrzegalne mrugnięcie okiem, którym tyle wyraził. Obraz zacierał się już od ciągłego powielania, ale przeszył Hedy tęsknotą. Pragnęła się dotknąć, lecz ze skruchą trzymała ręce na kołdrze, w wilgoci i chłodzie. Zacisnęła powieki i przewróciła się na bok, kryjąc twarz w poduszce, ale przed oczami miała żołnierzy niemieckich na Grabenstrasse oraz esesmanów, którzy kopali umierającego na ulicy żydowskiego sąsiada w podeszłym wieku. Za każdym razem obraz się rozwiewał, wyparty przez uśmiechnięte oblicze Kurta na pierwszym planie. I gdy wysłużony budzik wskazał trzecią nad ranem, poddała się i wsunęła rękę pod koce, aby uciszyć natarczywe roszczenia ciała.

Nim dotarła na Newgate Street, serce łomotało jej w piersi. Skręciła w wąską, wyludnioną ulicę, słysząc własne kroki stukające na kocich łbach. W połowie drogi w kamiennym murze widniały wgniecione, metalowe drzwi z taką kołatką, pod którą znajdowała się zasuwka. Hedy minęła je i stanęła po przeciwnej stronie, w cieniu murów więzienia. Pierwsze krople deszczu zrosiły bruk. Po chwili mżawka przybrała na sile, mocząc barki i włosy dziewczyny, która wciąż stała, nieruchoma jak posąg.

Wreszcie drzwi się otworzyły. Kurt wyszedł, w czapce i mundurze, niosąc papierową torbę ze swoim dobytkiem. Patrzyła, jak unosi wzrok ku niebu i oddycha głęboko, po czym odwrócił głowę i ją zobaczył. W pierwszej chwili ogarnął ją lęk, że się rozgniewa. Ale uśmiech znów się pojawił. Odwzajemniła go z ulgą, po czym podniosła palec do ust i ruszyła ku niemu.

– Dwadzieścia metrów za mną – szepnęła. – Nie bliżej.

Kiwnął głową.

Hedy skierowała się z powrotem w stronę głównej drogi. Od czasu do czasu zerkała przez ramię lub oglądała się pod byle pretekstem i widziała, że nadal podąża za nią. Szli w niewielkiej odległości od siebie, aż do Parade i smukłymi ulicami pośród chat oraz warsztatów, aż dotarli do New Street i drzwi wejściowych Hedy. Weszła po schodach i wśliznęła się do sieni, przystając tylko na mgnienie oka, aby dostrzec sylwetkę Kurta w oddali na końcu drogi, sunącą rozmyślnie powolnym krokiem. Pozostawiwszy drzwi otwarte na oścież, wspięła się na drugie piętro do swojego mieszkania i skonstatowała z ulgą po drodze, że drzwi pani Le Couteur nie uchyliły się ani o milimetr. Przekręciła klucz w zamku w chwili, gdy na dole zabrzmiały jego kroki, i weszła czym prędzej. Zdyszana, znieruchomiała pośrodku ciasnego pokoju, z jej płaszczka wzbijała się para, mokre kosmyki kleiły się do czoła. Wnętrze śmierdziało gotowanymi warzywami

z zeszłego wieczora, nie była pewna, czy jej, czy sąsiadki. Usłyszała, jak wchodzi po schodach. Hemingway poczuł zagrożenie i czmychnął pod łóżko, gdzie pozostał. Wreszcie Kurt stanął w progu i spojrzał prosto na nią, oceniając sytuację. Zamknął za sobą drzwi i zdjął czapkę.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszało, jego myśli były dla niej zagadką. Zrobił krok w jej stronę, potem kolejny i wyciągnął ręce. Zatonęła w jego objęciach. Jego usta, pachnące zastyłym tytoniem, znalazły się na jej ustach, i całował ją z czułą żarliwością, od której dreszcz przeszył jej ciało. Odgarnął jej włosy, przesunął dłońmi po karku i uściskawszy barki, sięgnął do piersi. Resztką sił przywołała sumienie, ale żądza pociągnęła ją ku rozkoszy, wypierając wszelkie zasady oraz przykazania. Gdy sukienka spadła na podłogę, Hedy nie pamiętała, jak się nazywa.

4

W odkrytej ciężarówce tłoczyło się dwudziestu pięciu, może trzydziestu żołnierzy. Gdy przemknęła obok, wzbijając tumany kurzu i opadłych liści, a mundury rozmazały się w plamę zielonkawej szarości, Hedy przywarła do żywopłotu i zakryła twarz szalem. Zanim ciężarówka potoczyła się w stronę zakrętu, ujrzała w przelocie bladą twarz szeregowca o nieobecnym wzroku utkwionym w cypel. Młody, jakby ledwo wyszedł ze szkoły, oczy miał szkliste, zaciśnięte usta wstrzymywały falę, która lada chwila go porwie. Spod runda starego, filcowego kapelusza Hedy patrzyła, jak jego oblicze zaciera się i znika, po czym ruszyła ścieżką w stronę morza.

W małej zatoce Belcroute fale pluskały rytmicznie o piasek. Nadciągał przypływ, lustrzane zatoczki znikną wkrótce pod taflą srebrzystej wody i na powrót staną się częścią oceanu. Hedy wspięła się po oślizgłych skałach, gotowa w każdej chwili podeprzeć się rękami, omijając płaskie odcinki, gdzie mogły znajdować się miny. Rozejrzała się za wodorostami na żwirowej plaży i stwierdziła z ulgą, że znacznik leży dobre dwa metry za niską opaską brzegową. Niebawem fale się spiętrzą i odetną drogę lekkomyślnym śmiałkom, zmuszonym ratować się ucieczką na stromą, lesistą skarpe. Ale dziś nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Na zakręcie porośniętą gęstą roślinnością zerknęła pospiesznie przez ramię, czy nikt jej nie śledzi. Gdy dotarła do znajomej rozpadliny, którą traktowała jak własną, wsunęła się do środka i przycisnęła plecami do ściany, aby nie być widzianą ze ścieżki. Wiał ostry wiatr, ale słońce nadal przygrzewało, a z jego położenia można było odczytać, że jest w okolicach południa. Zdjęła kapelusz i usiadła wygodniej, świadoma, że nie będzie musiała długo czekać.

Jak dotąd listopad był ciężki. Znowu obcięto przydział chleba. Krążyły plotki o dalszym ograniczeniu dopływu gazu, a przybycie setek kolejnych niemieckich żołnierzy z Francji wzbudziło zbiorową rozpacz całej społeczności. Na co ich aż tylu? Co będą robić? Mogło to oznaczać jedynie nowe represje i rozkazy. Jednak gdy siedziała tu z promieniami słońca na powiekach przy wtórce melodii fal, w jej piersi wzbierało znajome doznanie. Szczęście. Już prawie zapomniała, jak to jest. Z uśmiechem oparła głowę w poczuciu, że wypełnia ją aż po koniuszki palców. Wciągnęła je w płuca, odpływając myślami.

I jak zwykle musiała za to zapłacić. Obezwładniający chłód poczucia winy i strachu był nieuchronny.

Towarzyszył jej od zarania, od pierwszego dnia, owego deszczowego popołudnia w jej mieszkaniu, kiedy mętne światło sączyło się przez świetlik na ich nagie, nieruchome ciała. Godzinami leżeli ściśnięci na jej wąskim łóżku, wymieniając zwierzenia o początkach zauroczenia, w oczekiwaniu na ciemność, aby mógł wymknąć się niezauważony. Od tamtej pory sprawy nabrały rozpędu: obłąkańcza huśtawka radości i odrazy do siebie samej, od której brakło tchu w piersi – napady śmiechu w drodze do pracy i rozpaczliwy szloch bladym świtem. Było to wyczerpujące, lecz najgorsze okazało się uczucie, które nigdy tak naprawdę nie mijało, tylko szemrało pod powierzchnią dniem i nocą. Trwoga.

Kilka razy tak niewiele dzieliło ją od prawdy. Dwa króciutkie słowa, przekonywała siebie samą, a będzie po wszystkim. Dwa słowa: „jestem Żydówką”. Cóż mogłoby jej grozić na początku? Mogłaby zbyć jego gniew wzruszeniem ramion – naprawdę nie wiedział? Czy to jej wina, że on, oficer, nie ma pojęcia, kto został zatrudniony w jego miejscu pracy? A gdyby wrzeszczał i miotał się po jej mieszkaniu w poszukiwaniu ubrań, poszłaby o zakład, że nikomu nie powie w obawie, że sam się pograży. Poszłoby jak z płatka.

Ale mu nie powiedziała. Ani tamtego dnia, ani następnym razem, ani podczas żadnego z dzikich, potajemnych spotkań od tamtego czasu. Uczucie do niego rosło wprost proporcjonalnie do strachu przed jego dezaprobatą. Posunęła się w tym szaleństwie do przeświadczenia, że być może nigdy nie zajdzie potrzeba rozmowy na ten temat. Wymarzyła sobie wszechświat, gdzie ta kwestia nie ujrzy światła dziennego. Aż któregoś dnia, po upływie miesięcy bądź lat – tego z rozmysłem nie precyzowała – spojrzy na nią w kawiarence, z uśmiechem pociągnie łyk wina i oznajmi: „A właśnie, nigdy nie wspominałaś...”. Jednak leżąc samotnie w łóżku, wiedziała, że już na to za późno.

Przytłumiony gwizd zza skał sprawił, że rozwarła powieki. Kilka sekund później wyłoniła się postać Kurta. Patrzyła, jak pewnie i zwinnie wspina się ku niej, po czym zeskakuje w głąb rozpadliny. Czekala, aż padnie na nią spojrzenie oczu ze zmarszczkami w kącikach, i wyciągnęła do niego ręce. Objął ją i ucałował długo i mocno, szepcząc, że pięknie wygląda i bardzo za nią tęsknił podczas kilkudniowej rozłąki. Gdy usadowili się blisko siebie pomiędzy skałami, otworzył płócienną torbę i wyjął z niej pół bochenka, jabłuszka z Francji i kilka pomidorów. Wsunęła się pod jego lewe ramię i chwilę posilali się w milczeniu.

Wreszcie Kurt wytarł usta wierzchem dłoni.

– Słyszałaś o Operacji Crusader? – Zaprzeczyła. – Afrika Korps zmiażdżył brytyjską 7. dywizję pancerną. Jeśli zdobędziemy Malte, za kilka miesięcy może być po wszystkim. – Hedy utkwiała wzrok w ostatniej półkuli pomidora w garści i nie podjęła tematu. – Wybacz – dodał z przykrością w głosie. – Ale oboje tego chcemy, prawda? Żeby to się wreszcie skończyło.

– A co się dzieje na froncie wschodnim?

– Ani drgnął. Pewnie już spadł śnieg. Bóg jeden wie, co te biedne dranie tam przeżywają.
– Spojrzała na nią z ukosa. – Hedy, dlaczego nie masz radia? Mają je wszyscy miejscowi.

Hedy włożyła resztę pomidora do ust i przeżuwała go dłużej, niż należało, główkując nad wiarygodną wymówką.

– Mówiłam ci, że się zepsuło. Są już nie do zdobycia.

– Mógłbym je dla ciebie zdobyć, zasięgnę języka. Moglibyśmy słuchać razem wiadomości BBC. Są bardziej wiarygodne od bzdur, których musimy wysłuchiwać.

Dotknęła jego kolana.

– Dzięki, ale nie chcę, żebyś tyle wydawał. Mam najświeższe wieści od ciebie albo Antona.

– Ach, słynny Anton. Kiedy nas przedstawisz? – Rzuciła mu wymowne spojrzenie, gdyż rozmawiali o tym nie raz, lecz Kurt tylko wzruszył ramionami. – Jeśli jest takim dobrym przyjacielem, chyba zrozumie, nie? Sam też spotyka się z miejscową.

– Niedługo się poznacie. Miałaś wieści od mamy?

Wiedziała, że przejrzał jej taktykę, ale pominął to milczeniem.

– W zeszłym tygodniu. Pisała o częstych nalotach, ale mieszkają z dala od fabryk i innych celów, więc... – Cisnął ogryzek między skały i zwrócił się do niej. – Kiedy będę mógł znowu do ciebie przyjść? Jest cudownie, ale... – Zsunął dłoń na jej pierś i delikatnie musnął kciukiem brodawkę. – Tęsknię.

Hedy poczuła dręczący ucisk w podbrzuszu, lecz usłyszała też głosy w oddali. Przesunęła jego rękę na szyję.

– Ja też, ale tu jest zbyt niebezpiecznie.

Znowu ten uśmiech. Zapachniało od niego jabłkiem i pomadą, i zapagnęła ponownie umieścić jego dłoń tam, gdzie przed chwilą się znajdowała.

Kurt podparł się na łokciu.

– Myślę, że przesadzasz z ostrożnością. Co najmniej dwóch innych oficerów z mojej kwatery spotyka się z wyspiarkami. Zresztą ty nie jesteś z Jersey.

– W tym sęk. Moja narodowość i akcent już wzbudzają podejrzliwość miejscowych. Mogą przypiąć mi łątkę szpiega, wyrzucić z mieszkania. Muszę uważać w dwójnasób. Ale pani Le Couteur już tak nie kaszle – dorzuciła pospiesznie, wyczuwając jego rozczarowanie. – Może wydobrzeje do piątku i pojedzie do siostry, wtedy cię zaproszę.

Przytaknął.

– Pogadam z kolegą z zaopatrzenia i załatwię... – ku jej radości lekko się zarumienił – ...co trzeba. Och, byłbym zapomniiał... mam coś dla ciebie. – I wyjął z kieszeni tabliczkę czekolady firmy Stollwerck.

Dech jej zapało na widok niebieskiego papierka ze znajomymi zawijasami. Trzymała czekoladę jak pisklę, które wypadło z gniazda.

– Skąd wiedziałeś, że to moja ulubiona? Otworzymy ją teraz?

– Nie, jest twoja. Dostanę w przyszłym tygodniu. Zostaw sobie na później. – Zwrócił twarz ku słońcu. – Uwielbiam to miejsce. Kiedy nadejdzie przyływ?

– Za jakieś dziesięć dni.

– I plaża zostanie odcięta.

– Woda podejdzie aż do opaski brzegowej, może nawet jeszcze wyżej z falą sztormową.

– Rzucił jej pytające spojrzenie. – Dzieje się tak, gdy wiatr pcha fale do brzegu, gwałtownie podnosząc poziom wody. Widziałam to na własne oczy dwa lata temu. Coś straszego.

Ujął jej dłoń i oplótł palcami.

– Będziemy musieli znaleźć sobie inny zakątek. Żebyśmy tu nie utknęli.

Przytaknęła, po czym oparła mu głowę na ramieniu i dała myślom odpłynąć w jesiennym słońcu.

*

*Brukiew cudna, brukiew ma,
Wcinasz ty i wcinam ja,
Brukiew wcina każdy zuch,
Aż od brukwi pęka brzuch,
Brukiew och i brukiew ach,
Tyle brukwi, że aż strach!
Brukiew kochamy i wiemy,
Że ciągle jeść brukiew chcemy.*

Pięcioro śpiewaków, odzianych bez ładu i składu w kostiumy ocalone z przedwojennej rekwizytorni Green Room Clubu, entuzjastycznie dyrygowało publicznością. Wzdłuż wszystkich rzędów powstał łańcuch splecionych rąk, sylwetki kołysały się na tle sceny, a twarze ochoczo zwracały się ku sobie, szczerze ubawione niemądrą przyśpiewką.

Hedy, z Antonem po prawej i siwowłosą panią po lewej stronie, śpiewała na całe gardło, chichocząc między jednym a drugim oddechem. To był jednak świetny pomysł: ubiegłego wieczora wahała się, czy przyjąć dodatkowy bilet Antona, zwłaszcza że liczyła na wolne popołudnie Kurta, ale gdy znalazła w kieszeni płaszczka liścik, że on musi iść na zebranie władz lokalnych, uznała, że wyjście do teatru to miła odmiana. Teraz nie mogła się nadziwić, że jeszcze tu nie była. Urokliwy, wiktoriański teatr ze złoceniami i gipsowym wawrzynem nasuwał jej wspomnienie teatru w Wiedniu, dokąd ojciec zabierał ją w dzieciństwie na poranki. Zapach polerowanego drewna i zakurzonych kurtyn z aksamitu, nastrój oczekiwania... I cóż z tego, że w roli głównej występował handlarz ryb, a scenę oświetlono trzema reflektorami samochodowymi, zasilanymi przez akumulatory za kulisami? Czy to ważne, że kurtyna szła w górę o czwartej, żeby widzowie spoza miasta

zdążyli do domów przed godziną policyjną? Tu liczyła się muzyka, barwy i ucieczka od rzeczywistości, a strach był okiełznany.

Przysunęła się do Antona.

– Czy to nie wspaniałe?! – krzyknęła mu do ucha.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, ale zobaczyła, że wzrok ma pusty i nieobecny. Jak się zastanowić, całe popołudnie był jakiś dziwny. Śpiewając nieco ciszej, poczęła ukradkiem zerkać na przyjaciela. Potem odchyliła się, żeby spojrzeć na Dorotheę stojącą po drugiej stronie Antona w poszukiwaniu oznak kłótni lub dąsów. Ale Dorothea z uciechą wpatrywała się w scenę oczami jak talerze, śpiewając wraz z resztą widzów. Jeżeli nad sielanką zbierały się ciemne chmury, ona ich nie zauważała.

Opadła czerwona kurtyna i w antrakcie publiczność wyległa do baru i toalet przy wtórze stuknięcia składanych foteli. Hedy nachyliła się do towarzyszy.

– Kupimy coś do picia?

Anton zmarszczył nos.

– Na pewno nie mają prawdziwej herbaty ani kawy.

– Nie, ale po drodze widziałam tabliczkę, że oferują najlepszą kawę z pasternaku! No chodź, ja stawiam.

Dorothea przeniosła wzrok z jednego na drugie.

– Ja też mogę?

Hedy poczuła przypływ zakłopotania. Od kilku tygodni usiłowała być miłszą dla Dorothei. Romans trwał w najlepsze i wiedząc, że musi postarać się przez wzgląd na Antona, zasypywała Dorotheę pytaniami o babcię, zdrowie, a nawet pracę szwaczki w fabryce Summerland. Ale obsesja tamtej na punkcie gwiazd filmowych wraz z nieustanną paplaniną o włosach stanowiły marny punkt wyjścia do rozmowy, a ciągle chichotanie z rzeczy, które wcale nie były śmieszne, doprowadzało Hedy do białej gorączki. Miała niezbitą pewność, że dobrze ukrywa rozdrażnienie, lecz pytanie Dorothei dało jej do zrozumienia, jak próżne były te wysiłki. Musiała to naprawić.

– No przecież! Chodźcie, bo nie zdążą nas obsłużyć!

Opuściwszy widownię, ruszyli schodami do małego baru, gdzie stanęli w długiej kolejce po mizerny asortyment tego przybytku. Ostatnio wszyscy tak przywykli do kolejek, że przestały one wzbudzać jakiegokolwiek emocje. Hedy otworzyła torebkę w poszukiwaniu portmonetki, lecz Anton nakrył ją dłonią.

– Nie bądź niemądra. Przecież nie będziesz za mnie płacić.

Hedy się zjeżyła.

– A to dlaczego? Zarabiam, to mogę. Tyle razy płaciłeś za mnie...

– Nie trzeba... schowaj portmonetkę – rzucił z nutą zniecierpliwienia w głosie.

– Co się dzieje, Antonie? Od początku nie masz humoru. – Spojrzała na Dorotheę w nadziei, że ta ją poprze, ale jej apel przeszedł bez echa. Hedy zdążyła zauważyć, że Dorothea, podobnie jak Anton, unika spięć w każdej postaci.

– Nic się nie dzieje, jestem zmęczony.

– Och, biedaczek. – Nachyliwszy się do jego ucha, zanuciła melodyjnym szeptem starą kołysankę: – *Schlaf, Kindlein, schlaf! Der Vater hüt't die Schaf, die Mutter schüttelt's Bäume lein...*

Wyszarpnął się z taką miną, że Hedy zrobiła krok do tyłu.

– Hedy, na miłość boską! Chcesz, żeby nas pobili? – Przejechał ręką po uchu, jakby chciał zetrzeć melodię. – Twoim zdaniem ja się dziwnie zachowuję? A z tobą co się ostatnio dzieje? Chodzisz jak pijana od kilku tygodni.

– Przecież tylko się droczę!

– Nie, nie tylko. Coś jest na rzeczy.

Hedy poczuła, że się rumieni. Miała nadzieję, że Anton złoży to na karb duchoty panującej w barze, która nagle stała się nie do zniesienia.

– Staram się nie tracić ducha, tobie też radzę! Wszyscy są zmęczeni i głodni, ale chyba nie ma sensu narzekać. Prawda, Dorotheo?

Ale Dorothea wpatrywała się w nią, jakby właśnie wpadła na brakujące hasło krzyżówki.

– Wiem! Chodzi o porucznika, tak? Znowu się z nim widziałaś?

Zaduch przybrał na sile. Hedy miała nadzieję, że język nie stanął jej kołkiem.

– Słucham?

– Trafiłam, prawda? Jak on miał na imię... Kurt?

Wiedziała, że jedynym wyjściem jest atak, chociaż twarz jej płonęła.

– Na litość boską, Dorotheo, tylko nie zaczynaj!

– Mam rację, tak? Widziałaś się z nim?

W tamtej chwili Hedy jej nienawidziła. Jakby chodziło o szkolną miłośćkę! Czy ta kobieta nie rozumie powagi sytuacji? Wpadli na nich starsi państwo z wyszczerbionymi filizankami; mężczyzna wymamrotał przeprosiny, ale Hedy nie zwróciła na niego uwagi. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Przecież mówiłam, że widziałam się z nim tylko raz, kiedy wyszedł z więzienia, żeby mu podziękować. I tyle.

– Więcej się nie spotkaliście? – drażył Anton.

– A po co mielibyśmy się spotykać?

– Ponieważ wpadł ci w oko? A ty jemu? – Twarz Dorothei wyrażała czystą ekscytację, bez osądzania. Hedy prawie zazdrościła jej naiwności.

– Nie wiem, co ci chodzi po głowie, Dorotheo, ale tak naprawdę mnie nie znasz. I czy mogłabyś przestać wygadywać takie rzeczy przy ludziach? Wracajcie na widownię, ja postoję.

Lecz Anton ani myślał ustąpić.

– Wy idźcie, ja przyniosę.

– Ile razy mam ci mówić, że zapłacę. – Hedy ponownie sięgnęła po portmonetkę.

– A ja, że masz schować pieniądze! – Potrzącił torebkę, która wypadła jej z ręki i zawartość wysypała się na różową wykładzinę. Spojrzeli na intymną opowieść, która rozpostarła się przed nimi jak wachlarz. Skórzana torebka Hedy, przedwojenny, świąteczny prezent od Mitchellów, koronkowa chusteczka zakupiona na targu w weselszych czasach i na wpół zjedzona tabliczka czekolady Stollwerck, jeszcze w niebieskim papierku.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało, tylko wpatrywali się w czekoladę jak w odbezpieczony granat. Kolejka do lady się przesunęła; stojące za nimi dwie kobiety w sfatygowanych słomkowych kapeluszach, widząc, że cała trójka nie ma zamiaru się ruszyć, wsunęły się przed nich ze wzruszeniem ramion.

Hedy podniosła głowę i dostrzegła gniew w oczach Antona.

– I zapewne – rzekł lodowatym głosem – kupiłaś to na rynku?

Hedy bezwiednie uniosła rękę do twarzy, a Dorothea rzuciła się zbierać rozsypane przedmioty.

– Dostałam od sekretarki w pracy. – Zdanie zawisło w powietrzu jak zamrożone pranie, sztywne i zniekształcone.

– Nie wierzę ci. – Jeszcze nigdy nie powiedział tych słów pod jej adresem. – Mówiłaś, że z nikim tam nie rozmawiasz. I tak, jesteś czerwona, jeśli chcesz wiedzieć.

Poczuła, że mur drży w posadach. Nie miała na to siły, nie z nim.

– Przepraszam – wykrztusiła ściśniętym głosem. – Powinam ci powiedzieć. Ale...

Dorothea natychmiast stanęła u jej boku, zawiesiła jej torebkę na ramieniu, po czym objęła ją jedną ręką, a drugą pogłaskała po włosach.

– Nie przepraszaj, Hedy! To nie nasza wina, w kim się zakochujemy. Ze mną i Antonem było tak samo.

Hedy nie odrywała wzroku od Antona, którego twarz przybrała maskę tamowanej złości.

– Nie, zupełnie inaczej – oznajmił ścisłym głosem. – Powiedziałaś mu?

– O czym?

– Nie pogrywaj ze mną. Powiedziałaś?

– Ja... nie.

Anton potrząsnął głową. Kobiety w kapeluszach słomkowych zdradzały barmance przepis na najlepszy dżem marchewkowy. Brzęk łyżeczek o filiżanki nagle stał się ogłuszający.

– Tyle było gadania na początku... jak to ich nienawidzisz, jak się boisz! Robiłem wszystko, żeby cię chronić. A ty wyjeżdżasz z czymś takim! – Wbiła wzrok w wykładzinę. Z wyłysiałego placka na wprost jej oczu, deptanego przez dziesięciolecia tysiącami stóp, sterczały kępki włókien. – Chcesz, żeby cię wsadzili za kratki albo wywieźli? O to ci chodzi?

Dorothea wciąż głaskała ją po włosach. Hedy miała ochotę odtrącić jej dłoń, ale nie chciała robić jeszcze większej sceny.

– Nie bądź dla niej okrutny, Antonie, to nie jej wina – szepnęła Dorothea.

Lecz on zapinał już kurtkę i wiązał szalik.

– Owszem. Idziesz ze mną czy zostajesz?

Dorothea rzuciła jej zbolące spojrzenie, ale Hedy dała jej znak, żeby poszła. Ostatni uścisk palców i podreptała za Antonem. Ze wzrokiem wciąż wbitym w wykładzinę Hedy usłyszała ich kroki na schodach, po czym z rozmyślną powolnością skierowała się do drugiego wyjścia. Przy odrobinie szczęścia rozplacze się dopiero w domu.

*

Niskie promienie słońca wpadały przez duże, łukowe okno na końcu sali, odbijając się od lśniącego stołu i medali przypiętych do piersi Niemca. Blask tak raził w oczy, że Kurt, który siedział naprzeciw, musiał zmienić pozycję, żeby go nie oślepił. Mógł się tylko domyślać, jakim cudem zwyczajny urzędnik pokroju doktora Wilhelma Caspera zebrał tyle odznaczeń, choć wyglądał, jakby spędził wielką wojnę za biurkiem i nie umiał odróżnić kolby od lufy. Potoczył wzrokiem po około dwudziestu innych twarzach wokół stołu, czy ktoś podziela jego wątpliwości, lecz na twarzach Niemców malowały się tylko kurczowe uśmiešky, a miejscowi ślęczeli sumiennie nad dokumentami. Osobiście znał jedynie kaprała o dziecinnej twarzy, o imieniu Manfred, którego poznał ostatnio w czasie wyjazdu do jednego z bunkrów na północnym wybrzeżu. Manfred też pochodził z Badenii-Wirtembergii i wydał mu się wówczas sympatyczny oraz ciekawy świata, tutaj jednak siedział z nosem w swoim zeszycie, jakby Kurt w ogóle nie istniał.

Kurt spojrzał tęsknie na ogołoczone konary brzozy za oknem, rozkołysane wiatrem na tle wieczornego nieba, i stłumił westchnienie. Nie miał pojęcia, po co został wezwany na to głupie zebranie. Temat, na który miał się wypowiedzieć – przystosowanie miejscowego lotniska dla potrzeb nowych samolotów bojowych Luftwaffe – widniał w planie w rubryce „pozostałe”, a że dochodziła szósta, stało się jasne, że jego obecność to strata czasu. A mógł spędzić ten dzień z Hedy. W soboty zwykle nie wchodzili w drogę sąsiadom, którzy stali w kolejkach na targu lub odwiedzali rodzinę. Mogli teraz leżeć objęci na jej wąskim łóżku. Z rozgoryczeniem pomyślał o jej włosach pachnących mchem, miękkich palcach, gładkim, uległym ciele.

Ale tym razem chodziło o coś więcej. Oczywiście miał już dziewczyny, kilka nawet zawróciło mu w głowie, jednak to, czego doznawał w ostatnim czasie, owa nieznana dotąd głębia uczuć, zbiło go z tropu. Myślał o niej bez przerwy, pragnął dzielić się z nią wszystkim, co go spotkało, słuchać jej głosu. Wpływało to również na jego stosunek do kolegów. W kuchni swojej kwatery często słyszał opowieści innych oficerów o dziewczętach, z którymi flirtowali albo które zerznęli na zapleczu klubu. Klepali się po kolanach ze szczeniackim uznaniem, winszując sobie brunetki, która obciągnęła im na tylnym siedzeniu za kilogram ryby, albo matki i córki, które oddały się za dwieście papierosów z Francji. Kurt zawsze czuł się nieswojo podczas takich pogaduszek, lecz teraz

po prostu go mierzyły. Ba, nie mógł się im nadziwić. Jaką satysfakcję im to dawało? Jakie stanowiło odkrycie, wyzwanie? Ma się rozumieć, Hedy też wzbudziła w nim pożądanie. Lecz teraz... teraz jej wewnętrzny mrok sprawiał, że wciąż było mu mało. Ta mieszanka gniewu i smutku w jej oczach, maskująca zagadkę, która go przerażała. Jak mogła oddawać mu się cała, tyle przy tym ukrywając? Był w transie, niczym rybak, który nałapał samych płotek, lecz ma świadomość, że duża ryba wciąż wymyka mu się z haczyka.

– Dodatkowe ograniczenia w dostępie do paliwa – ciągnął doktor Casper przez tłumacza, drobnego młodzieńca w okularach, który mógł uchodzić za jego syna. – Od przyszłego tygodnia gaz będzie udostępniany między siódmą rano a wpół do trzeciej po południu oraz między piątą trzydzieści i dziewiątą wieczorem. Dowództwo życzy sobie również przejąć miejscowe zapasy drewna opałowego. Oczywiście jesteśmy skłonni do wynegocjowania umowy na korzystnych warunkach.

– Mieszkańcy potrzebują opału do gotowania i ogrzewania domów – odezwał się nowy głos. – A jeśli negocjacje nas nie interesują?

Kurt przeniósł wzrok na koniec stołu w poszukiwaniu tego, kto przemówił. Zmęczony wyspiarz o przeredzonych, siwych włosach i w okularach w drucianej oprawie, chyba miejscowy konsultant do spraw zatrudnienia, łytał na Caspera z nieumiejętnie skrywaną pogardą.

Casper tylko wzruszył ramionami.

– Zabierzemy go tak czy inaczej, panie Le Quesne. Potrzeby garnizonu są dla sztabu ważniejsze od potrzeb... *Einheimische*. – Casper otarł wyschnięte usta, jakby słowo „tubylcy” pozostawiło w nich niemiły posmak. – Żądamy też, abyście oddali wojsku do dyspozycji zawartość waszych szklarni.

Kurt utkwiał wzrok w leżących przed nim papierach, ale w duchu się wzdrygnął. Od miesięcy musiał wysłuchiwać utyskiwań Fischera na temat głupoty członków rady miejscowej, tępych prowincjałów, którzy z uporem odmawiają przyjęcia prostych jak drut rozkazów swoich panów, a także ich wsiowej małostkowości, którą sami rzucają sobie kłody pod nogi. Ba, nawet sam Kurt, patrząc, jak Hedy uzupełnia wątle zapasy warzyw na cały tydzień, zastanawiał się skrycie, czy owe braki nie wynikają aby z kulawej miejscowej polityki rolnej, a nie ingerencji sztabu. Tymczasem nowy gubernator okrada tubylców z żywności i wcale tego nie kryje.

– Zdaje się, że status „tubylca” jest dla wszystkich jasny, doktorze Casper – odparował śmiało Le Quesne. – Uwięzienie przez pana mojego posłańca jakaś, który nie wykrztusił przeprosin po tym, jak potrafił niechcący oficera niemieckiego na ulicy, rozwiało wszelkie wątpliwości. Podobnie jak pańskie ostatnie rozporządzenie, w myśl którego mamy przejąć dochody wszystkich firm żydowskich.

Kurt przeniósł wzrok na Caspera w oczekiwaniu na reprimendę lub coś gorszego, gdy rozległ się głos innego wyspiarza. Był to wąsaty jegomość o łuszczącej się skórze i krzaczastych brwiach.

– Szukanie zwady niczemu nie służy, panie Le Quesne – oznajmił nosowym głosem. – W ubiegłym roku sam opowiadał się pan za utrzymaniem rady miejskiej, abyśmy odgrywali rolę łączników między naszymi niemieckimi gośćmi a miejscową społecznością. Dlatego spełnianie życzeń doktora Caspera to nasza misja i powinność. – Mówca zwrócił się do Caspera z głupkowatym uśmiechem, od którego Kurtowi przewróciło się w żołądku.

Casper kiwnął głową.

– Jestem wdzięczny nadinspektorowi do spraw cudzoziemców, panu Cliffordowi Orange'owi, za jego pragmatyczną i uprzejmą odpowiedź. A ponieważ nie mamy już czasu, na tym powinniśmy zakończyć dzisiejsze zebranie.

Casper zatrzasnął teczkę i wstał, a wraz z nim umundurowani poddani. Kurt, wdzięczny za wyzwolenie, ale wciąż rozeźlony, wyszedł za nimi z sali i ruszył w stronę marmurowych schodów, gdzie znalazł się obok Manfreda.

Na powitanie klepnął go w ramię.

– I co o tym wszystkim sądzisz? – rzucił ściszym głosem, aby nie być słyszonym w ogólnym gwarze.

Manfred spojrzał na niego zdziwiony, że zagaduje go oficer starszy rangą.

– Czy ma pan na myśli zebranie, panie poruczniku?

– Czy wiedziałeś, że zabieramy żywność miejscowym, aby wykarmić garnizon?

Manfred potwierdził. Powieka mu zadrgała.

– Nic w tym dziwnego, panie poruczniku. Nasza obecność w zasadzie podwoiła populację, a z Francji niewiele można dowieźć.

– Ale to sprzeczne z naszymi obietnicami, nie uważasz? O zagwarantowaniu im praw.

Manfred nie odpowiedział, tylko spojrzał na niego z miną cierpiénika.

– Nie masz zdania na ten temat?

– Nie, panie poruczniku.

– Myślałem, że chcesz dochrapać się w przyszłym roku Obergefreitera? – naciskał Kurt.

– Musisz czasami wyrażać swoje zdanie, bez tego daleko nie zajdziesz.

– Tak, panie poruczniku, ale...

Wyczuwając jego dyskomfort, Kurt odczekał, aż pozostali ich wyprzedzą, i odciągnął Manfreda na bok. W różowej poświacie wielkiej flagi ze swastyką zawieszanej przy wejściu wyjął z kieszeni na piersi resztkę tytoniu i zaproponował Manfredowi papierosa, którego ten ochoczo przyjął.

Kurt odczekał, aż chłopak się zaciągnął.

– Ale co?

Tym razem to Manfred zniżył głos.

– Porządny z pana człowiek, panie poruczniku. Po... podziwiam pana, wie pan o tym? Ale gdyby ludzie wiedzieli, że rozmawiam o tym z panem...

Kurt uniósł brew.

- Z powodu tamtej afery z kuponami?
- Porucznik Fischer mówi, że trzeba uważać, z kim się zadajemy. A ten facet w kapeluszu...
- Erich Wildgrube?
- Właśnie. Łazi po koszarach i ostrzega przed czarnymi owcami.
- Jakbym nie poniósł już dostatecznej kary.
- Widzi pan, ja posyłam żołąd rodzinie. – Manfred ponownie zaciągnął się cennym tytoniem i przytrzymał go w płucach. – Ten awans jest dla mnie ważny. Muszę dobrze wypaść, rozumie pan? Gdyby to ode mnie zależało...
- Nie musisz się tłumaczyć. No idź. A, i jeszcze jedno. Spokojna głowa, ta rozmowa nigdy się nie odbyła, jasne?

Kurt klepnął chłopaka w ramię i pchnął w stronę drzwi, po czym odczekał chwilę i ruszył jego śladem. W sumie mógł się tego spodziewać, ale zabolalo. Zakichany Fischer, zakichany Wildgrube. Zakichane zasady od czapy i zakichana bezmyślna lojalność. Wyszedł w chłodne objęcia wieczoru i podążył w kierunku nabrzeżnej drogi, długi spacer do Pontac Common dobrze mu robi. Jednak nie mógł uwolnić się od szpetnych obrazów. Niemieccy żołnierze z taczkami pełnymi warzyw z miejscowych szklarni. Odpychająca, ziemista gęba Wildgrubego i jego chytre oczka. Ale przede wszystkim rozmyślał o królu Knucie, jak siedzi z uporem na tronie i łapie oddech, a fale napierają nieubłaganie.

*

Lampy naftowe w piekarni roztaczały upiorną, błękitną poświatę, rzucając dziwne, złowrogie cienie na wykafelkowane ściany. Z perspektywy ciemnej ulicy pusta witryna ujawniała fabułę, jakby oglądało się film w kinie. Anton, w białym fartuchu i czapce piekarskiej, krzątał się na tyłach, zamiatał podłogę i okrężnymi ruchami wycierał blaty, podczas gdy energiczny pan Reis, ostatnio znacznie szczuplejszy niż kiedyś, cierpliwie tłumaczył ostatniej klientce, że nie ma już nic na sprzedaż za żadną cenę. Hedy z daleka widziała desperację kobiety, która machała mu przed nosem dziecięcymi bucikami w nadziei na przypalone odrzuty spod lady. Ale starszy pan dalej perswadował jej ze spokojem, uśmiechając się przepraszająco i klepiąc ją po ręce, aż wreszcie kiwnęła głową, opuściła sklep i powlokła się ulicą z pustą torbą na zakupy u boku.

Lodowaty ziąb przeniknął cienką tkaninę płaszcza, gdy Hedy zmieniła pozycję. Patrzyła, jak pan Reis zamyka drzwi za klientką, zasuwa rygle – obecnie trzy z powodu niedawnych nocnych napadów na sklepy z żywnością – i wiesza tabliczkę z napisem „zamknięte”. Za dziesięć minut Anton znajdzie się w swoim mieszkaniu. Postanowiła odczekać kwadrans, nim pójdzie za nim, niech otrzepie się z mąki i odzyska chęć do rozmowy. O ile w ogóle ją wpuści.

Weszła po schodach z nierównym, urywanym oddechem. Drzwi były otwarte, słyszała kroki Antona, który ani chybi się głowił, z czego by tu sklecić kolację. Kiedy się zbliżyła, zaskoczył ją głos ze środka.

– Wejdz, Hedy. Wiem, że to ty.

Wśliznęła się do mieszkania, nie zamykając drzwi i trzymając się blisko ściany.

– Jak się domyśliłeś?

– Tkwiałś na tej ławce pół godziny. Nie jestem ślepy!

– Możemy porozmawiać?

– Tak, ale za dziesięć minut przyjdzie Dory.

Hedy przeszła na palcach po podłodze i zajęła swoje dawne miejsce przy oknie, jak zawsze siadając na podwiniętej nodze. Nie była tu od miesiący. Minęło chyba ze sto lat, odkąd szykowała kolację dla Kurta w tym właśnie pomieszczeniu.

– Pewnie zmarłaś na kość. Niestety, nie mam cię czym poczęstować – ciągnął. – Ale może podgrzeję ci wodę z łyżką syropu z buraków?

Hedy z wdzięcznością kiwnęła głową i Anton zaczął się kręcić po kuchni.

– Jak zrobiłeś syrop?

– Obrąłem burak i gotowałem go kilka godzin. – Anton klepnął kran, żeby zadziałał. – Ale nie o tym przyszłaś rozmawiać, prawda?

Zacisnęła pięści i utkwiała wzrok w swoich dłoniach.

– Chcę cię przeprosić. Rozumiem, dlaczego się wściekłeś, sama jestem na siebie zła. Ja i Kurt... Nawet mi się nie śniło, że do tego dojdzie, ale...

Anton nadal krzątał się przy kuchence.

– Czy to poważne?

– Nie padły żadne deklaracje, ale... zależy mi na nim. On chyba czuje to samo.

– No cóż, to już coś. – Po raz pierwszy spojrzął na nią normalnym wzrokiem. – Przepraszam, że się uniosłem, ale jesteś dla mnie jak siostra. A świadomość, że tak długo mnie okłamywałaś...

– Wstydziałam się przyznać. I chciałam cię chronić. Im mniej ludzi wie, tym mniejsze dla nich ryzyko, czasem bezpieczniej jest skłamać. – Potarła czoło. – Zdaje się, że nabieram w tym wprawy.

– Jak to? Powinienem wiedzieć o czymś jeszcze?

Zapadło krótkie milczenie. A niech tam, pomyślała.

– Nadal kradnę kupony dla doktora Maine'a.

Anton osłupiał.

– Że co proszę?

– W zasadzie nigdy nie przestałam. Dostarczam mu je co tydzień. Kurt nie wie. Nikt nie wie.

Znowu milczenie, dłuższe niż za pierwszym razem. Wreszcie ku jej uldze uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Na miłość boską, Hedy. Życie ci niemiłe?

– Najwyraźniej. – Parsknęła tłumionym śmiechem. – Mój papa mawiał, że robię sobie pod górkę, ale chyba nie przypuszczał, do czego się posunę. – Ponownie zachichotała. – Za dnia okradam swojego wroga, a nocą z nim sypiam. Tak, wiem... chyba zwariowałam.

Śmiali się chwilę, ale zaraz ucichli. Anton odłożył zapalki.

– Musisz powiedzieć Kurtowi... wiesz, o klasyfikacji rasowej. I tak się dowie.

– Jutro mam się z nim widzieć, wtedy mu powiem.

– I jesteś gotowa na zerwanie? Nie będzie miał innego wyjścia, jeśli zechce ratować własną skórę.

– Wiem. – Wstała, podeszła do Antona i go objęła. – Dziękuję. I bardzo cię przepraszam. Czasami nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie. – Poczuła, że zeszywniał. – Co ja takiego powiedziałam?

– Ja też nie byłem z tobą do końca szczerzy.

W pierwszej chwili pomyślała, że Dorothea jest w ciąży.

– Mów.

– Dostałem powołanie do wojska.

Ścisnęło ją w brzuchu.

– Chcesz powiedzieć...

– Dostałem pismo w dniu naszego wyjścia do teatru. Dory jeszcze nic nie wie. Za kilka tygodni mam stawić się przed komisją, przedstawią mi moje obowiązki na miejscu. A potem, któż może to wiedzieć? Jak tak dalej pójdzie, może wyślą mnie na front wschodni.

Zakręciło jej się w głowie i odruchowo złapała się blatu, żeby nie upaść.

– Przecież jesteś wytwórcą żywności, to kluczowy zawód.

– Widać bardziej potrzebują żołnierzy.

Czuła ucisk w gardle. Zamrugwała, lecz łzy i tak popłynęły.

– Ale to niesprawiedliwe! Nie jesteś Niemcem!

– Zasadniczo oboje jesteśmy teraz obywatelami Niemiec.

– Ale ty... możesz...

– Nie wrócić? No jasne. Ale jeśli odmówię, i tak mnie rozstrzelają.

– Kto cię rozstrzela? Co się stało?

Odwrócili się gwałtownie i ujrzeni Dorotheę stojącą w progu z oczami wytrzeszczonymi ze strachu; tonęła w zbyt obszernym płaszczu babci, co potęgowało wrażenie bezbronności. Anton podszedł do niej szybkim krokiem i otoczył ramionami.

– Otrzymałem rozkaz wstąpienia do Wehrmachtu. Bardzo mi przykro, Dory.

Dorothea wydała skowyt rozpaczony i ukryła twarz na jego piersi.

– Nie! Nie, potrzebuję cię tutaj! A jeśli zostaniesz zabity lub ranny?! Ja tego nie wytrzymam!

Hedy trzymała się na uboczu, zmieszana, że musi na to patrzeć, wyczuła jednak, że wyjść byłoby nietaktem. Usłyszała, że oddech Dorothei staje się krótki i urywany, i próbowała przypomnieć sobie rady Maine'a w razie kolejnego ataku. Powędrowała wzrokiem do kredensu Antona, zastanawiając się, czy ma musztardę. Jednak to, co zdarzyło się potem, wyparło z jej głowy wszelkie myśli tego rodzaju.

– Wiem i zadbam o ciebie bez względu na to, co się wydarzy – zapewnił Anton. – Dlatego zdobyłem dzisiaj to. – Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął małe pudełko. Kiedy je otworzył, Hedy dostrzegła coś błyszczącego. – Oczywiście nie jest nowy, należał do ciotki pana Reisa. Ale jest mały, powinien pasować. Z opalem, zdaje się. – Ujawszy dłoń Dorothei, spojrzął w jej oniemiałą, zapłakaną twarzyczkę. – Zostaniesz moją żoną, Dorotheo?

Przycisnęła dłonie do ust, by stłumić kolejny okrzyk, tym razem zmieszany z radością.

– Och, Antonie! Naturalnie, że zostanę! – Objęła jego wychudzoną sylwetkę i tak ścisnęła, że chrupnęło mu w plecach. Oboje zwrócili się w stronę Hedy.

– Słyszałaś, Hedy? Zgodziła się! Weźmiemy ślub!

Hedy patrzyła raz na jedno, raz na drugie, kiedy się objęli, całowali długo i namiętnie, a potem znowu objęli. Nadal nie ochłonęła po pierwszych rewelacjach Antona, a teraz poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Spojrzała w rozpromienioną, zalaną łzami twarz Dorothei i poczuła przypływ litości i żalu, choć sama nie wiedziała, nad kim. Wreszcie odzyskała mowę na tyle, by wydukać obowiązkową formułkę.

– Moje gratulacje. Bardzo się cieszę. Wszystko się ułoży, na pewno.

To nieprawda, pomyślała, biorąc torebkę i płaszcz. Życzyła im powodzenia, a potem zbiegła wąskimi schodami na ulicę. Nadal nie nauczyła się kłamać.

*

Hedy owinęła się szczelniej szalikiem i przysiadła na jednym z granitowych pachołków rozmieszczonych wzdłuż brzegu do cumowania. Postukała skostniałymi stopami. Lodowate podmuchy znad oceanu marszczyły czarną wodę wokół kutrów. Miejscowi nazywali tę niewielką marinę na tyłach głównego portu Francuską Przystanią. To był jej pomysł, żeby się tu dzisiaj spotkali, w zacisznym, ale nie odludnym miejscu, na uboczu, aby porozmawiać w spokoju, a zarazem blisko ludzi, by wezwać pomoc, w razie gdyby sprawy przybrały niemiły obrót. Wzdłuż drogi do miasta wznosiły się portowe magazyny, potężne bryły z karbowanymi drzwiami ryczącymi jak silniki, gdy podnoszono je i opuszczano. Za plecami Hedy stały rozległe, niezdobyte mury Fortu Regent, zbudowane przez królewskich inżynierów przed ponad stu laty. Jednym słowem, było to pozbawione uroku, przejściowe miejsce, gdzie nikt długo nie bawił, tylko robił, co miał zrobić, i szedł dalej. Wprost wymarzone do tego, co ją dzisiaj czekało: musi przekazać wiadomość i zniknąć w ciemności.

Od rana, podczas wystukiwania raportów w bezdusznej czeluści biura, z rosnącym strachem odgrywała tę chwilę w myślach. Ale czego się właściwie bała? Może Kurt wpadnie w szal, choć przez ostatnie tygodnie nie zaobserwowała nic, co by na to wskazywało. Teoretycznie mógł na nią donieść: za krzyżowanie ras groziła utrata pracy, kto wie, do czego byłby skłonny w akcie desperacji. Jednak ów strach, który dręczył ją nieustannie jak gumka werżnięta w nadgarstek, stanowił wizję tego, co ją czeka: miesiące, może lat na wyspie, bez Kurta na pociechę. Potajemne spotkania, miękki dotyk, życzliwe rozmowy: wszystko to pozwoliło jej przetrwać ostatnie miesiące. Ale obiecała Antonowi i sama też wiedziała, że dalsza zwłoka to samobójstwo. To musi stać się dzisiaj.

Nagle usłyszała dziwny odgłos z pewnej odległości, zbiorowe szuranie i przyspieszone oddechy, jakby pędzono stado małych zwierząt. Brzmiał coraz wyraźniej. Z niepokojem wstała i wyjrzała na drogę do Weighbridge i głównego portu. W gasnącym świetle dostrzegła grupę nadchodzących ludzi. Nie był to oddział niemieckich żołnierzy, których tupot niósł się na kilometr, ale przodem podążali strażnicy w mundurach Organizacji Todt. Wreszcie podeszli bliżej i zobaczyła cuchnący obłok złamanego człowieczeństwa. Wychudzonych, ogolonych na łyso mężczyzn, starych i młodych; sunęli zatrwożoną gromadką, uciekając wzrokiem przed strażnikami, którzy z uciechą wywijali gumowymi pałkami za każde wyimaginowane przewinienie. Mimo chłodu ubrani byli w łachmany, a zamiast trzewików mieli na nogach szmaty. Kilku cierpiało od odniesionych ran, wielu było umazanych wymiocinami i ekskrementami. Gdy podmuch wiatru przywiał do niej ich zapach, zebrało jej się na wymioty. Chciała się odwrócić, ze zgrozą albo z szacunku do nich, ale nie była w stanie.

Strażnicy pędzili swoje ofiary. Kiedy ją mijali, żaden nie podniósł głowy, żeby na nią spojrzeć: kuśtykali dalej, oszczędzając resztki sił na marsz.

Była tak wstrząśnięta, że nie zauważyła Kurta, który nadszedł z przeciwnej strony.

– Widziałeś?

Potwierdził.

– Robotnicy przymusowi na budowę. Trzeci transport w tym tygodniu. Potworne.

– Ale czy ich widziałeś? Przecież oni ledwo żyją! Jak można tak traktować drugiego człowieka? – Odszukała jego wzrok w ciemności i spostrzegła, że błądzi myślami. Aż w niej zawrzało. – Właśnie to robicie w imię waszej rasy nadrzędnej! Nadal chcesz mi wmówić, że nie poczuwasz się do odpowiedzialności? Wciąż uważasz, że to cię nie dotyczy?

– Dotyczy nas wszystkich! – Jeszcze nie słyszała u niego tak oschłego, rozgoryczonego tonu. – Myślisz, że ta zaszracona wojna nie dotknie każdego z nas? Zniszczy każde życie!

Hedy zamarła w osłupieniu, powstrzymując cisnący się natłok pytań. Dotknęła jego ręki. Wystarczyło. Kurt osunął się na granitowy pachołek, zachłysnął i zaczął płakać. Milczała przez chwilę, po czym z wolna objęła go i przytuliła jego głowę do piersi. Szloch wstrząsał jego ciałem, gdy próbował nad sobą zapanować. Wreszcie przemówił urywanym głosem.

– Trzy dni temu w moim mieście był nalot. Zbombardowano ulicę moich rodziców, nasz dom. Ojca nie było, ale...

– Ale?

– Matka zginęła we własnym łóżku.

Hedy przycisnęła mocniej jego głowę do piersi.

– O nie, Kurt! Są pewni?

Przytaknął.

– Sąsiedzi wydobyli ją spod gruzów. – Znów wstrząsnął nim szloch. – Kiedy widziałem ją ostatnio, stała w progu tego domu i machała do mnie. Powiedziała, żebym na siebie uważał. Powiedziała to mnie!

Hedy w milczeniu wciąż go obejmowała, głaszcząc po miękkich, jasnobrązowych włosach. Raz jeszcze wróciła myślami do rodziców, być może nadal siedzących przy kuchennym stole, a najpewniej wiezionych ciężarówką Bóg wie dokąd. Poczowała, jak jego rozpacz splata się z jej własną i boleśnie uwiera w piersi.

– Już dobrze, Kurt, już dobrze. Jestem przy tobie.

Trwali tak w zimnym porcie, zdawałoby się, godzinami, aż wreszcie Kurt odsunął się, wstał i otarł łzy z twarzy.

– Przepraszam. Już mi lepiej.

Kiwnęła głową.

– Każdy musi się czasem wypłakać.

– Co miałaś mi do powiedzenia?

– Ja?

– Napisałaś, że musimy porozmawiać o czymś ważnym. Zabrzmiało poważnie.

Wyjrzała na lśniąca, czarną taflę, mroczne cienie zacumowanych statków. Ależ chciałaby wejść na pokład i odpłynąć w dal, wtopić w ciemność. Ledwo dobywała głos z gardła.

– Tak...

– Pozwól, że ja zacznę. Od dawna chciałem to z siebie wyrzucić, ale nie byłem pewny, czy ty... – Wstrzymała oddech, na pół przewidując pytanie. Czyżby już wiedział? Może ktoś w pracy coś palnął. Dotknął jej policzka. – Tak czy siak, muszę to dzisiaj powiedzieć. Kocham cię, Hedy. Od samego początku. Wciąż nie mam pewności, czy podzielasz moje odczucia, ale ja jestem pewien. Pragnę, byśmy zawsze byli razem. Reszta zależy od ciebie. – Przynęła się jeszcze bliżej, przywierając do niego. Guziki munduru wbijały się przez płaszcz w jej ciało. Twarz rozboleła ją od natłoku uczuć, serce łomotało w piersi. – Twoja kolej. Co chciałaś mi powiedzieć?

Hedy zmrużyła oczy. Po raz pierwszy od lat żałowała, że nie ma w sercu prawdziwej wiary. Wiary jak jej matka, wiary, która byłaby dla niej drogowskazem. Lecz wiedziała już, co musi zrobić. Jeszcze nie było za późno. Wystarczy, że odsunie emocje na bok i przywoła zdrowy rozsądek. Odnajdzie w sobie siłę, o której mówili rabini, którą Rika

umiała wykrzesać w każdej chwili. Odsunęła się, żeby na niego spojrzeć, i przyłożyła lodowatą dłoń do jego policzka.

– Chciałam ci powiedzieć... że ja też.

Uśmiechnął się i pocałował ją czule i namiętnie. Próbowала sobie później przypomnieć, co wtedy czuła – wstyd, ulgę, gniew? Ale jedyne, co zapamiętała, to rozkosz tego pocałunku.

5

Gdy podążał St Saviours Road w różowej poświacie popołudniowego słońca, atmosfera na ulicy zgęstniała jak zupa. Za dwa tygodnie Boże Narodzenie, inne niż zazwyczaj, bez indyków, choinek, orzechów, a nawet prezentów dla większości dzieci. Nie miał wątpliwości, że w Niemczech będzie niewiele lepiej, jednak wcale nie dodawało mu to otuchy. Rozgoryczenie wisiało w powietrzu, niemalże czuł pod palcami jego chropowatość. „Duchy”, o których często mówili inni oficerowie – na wpół przytomni tubylcy o szklistym wzroku, którzy miesiącami ignorowali każdego Niemca na ulicy – obecnie spoglądali prosto na Kurta, kiedy go mijali. Z niektórych oczu biła czysta nienawiść, z innych triumfalne przecucie rychłego końca. „To tylko kwestia czasu”, mamrotali do siebie albo jeden do drugiego na zbiegach ulic, tak by ich słowa docierały do uszu żołnierzy. Nastąpił zwrot akcji. Na scenę wkroczyli jankesi.

Biedni głupcy, pomyślał Kurt. Owszem, po Pearl Harbor nastąpiło przetasowanie, lecz sytuacja w Europie nie zmieni się rok albo dłużej, póki Amerykanie są zajęci na Pacyfiku. Oznaczało to dłuższą i bardziej destrukcyjną wojnę na jeszcze większą skalę, a żadna ze stron nie miała zagwarantowanej przewagi. I po co to wszystko? Ciche głosiki, które od miesiący sączyły mu do ucha zwątpienie, obecnie budziły go swoim wrzaskiem o świcie, i gapił się w sufit, podczas gdy Fischer chrapał na sąsiedniej pryczy. Co oni tutaj robią, do licha? Paradują po wyspie w swoich niedorzecznych mundurach, torturują słowiańskich jeńców i głodzą miejscowych. Nie dalej jak wczoraj starszy funkcjonariusz OT palnął mówkę o znaczeniu dumy w ich wielkim, nacjonalistycznym dziele. Porządek to rękojmia bezpieczeństwa i sukcesu Vaterlandu, oznajmił. Nie pozwolono mu jechać na pogrzeb matki. Nic nie odpowiedział, ale poczuł, że coś w nim nabiera kształtu, lodowaty kryształ obrzydzenia. Pomyślał o Hedy, jedynym światełku jego życia, i powinszował sobie w duchu, że dotrzymał słowa o zachowaniu w tajemnicy ich związku. Zrazu męczyła go jej obsesja na punkcie prywatności, miał dosyć podchodów i wymijających odpowiedzi na pytania współpracowników. Jednakże teraz, gdy nastawienie miejscowych uległo tak raptownej zmianie, zrozumiał, że dobrze się stało.

Widok falującego skupiska szpaków na zimowym niebie kazał mu uśmiechnąć się na myśl o nadchodzącym wieczorze. Wścibska sąsiadka z dołu pojechała do siostry, a on do rana miał wolne. Minął smętną grupkę dzieci śpiewających przed zamkniętymi drzwiami *W żłobie leży*, a ich śpiew wzbudził w nim świąteczny nastrój, wrzucił im do czapki dwie monety. Skręcił w New Street i znalazł się na ostatnim odcinku dzielącym go

od mieszkania Hedy; ujrzał oczami wyobraźni, jak stoi przy piecyku i miesza w garnku, i na tę myśl w podnieceniu przyspieszył kroku.

Kiedy rozległo się wołanie, pogrążony w zadumie nie zorientował się, że to do niego. Dopiero gdy *Leutnant!* przeszło w *Leutnant Rümmele!*, odwrócił się i jego wzrok padł na postać po drugiej stronie ulicy. Wildgrube uniósł w pozdrowieniu swój głupi kapelusz i dziarsko ruszył ku niemu. Kurt próbował się uśmiechnąć, lecz miał obawy, że wypadł mało przekonująco.

– Dobry wieczór, poruczniku. – Głos Wildgrubego zabrzmiał jeszcze bardziej piskliwie niż zwykle. – Słyszałem o pańskiej matce. Wyrazy współczucia. A dokąd to, jeśli wolno spytać, pędzi pan w to piękne popołudnie?

Kurt patrzył na niego, usiłując nadać twarzy neutralny wyraz. Czy to zbieg okoliczności, czy ten typ go śledził? I skąd wie o jego matce? Najbardziej niepokoiło go jednak, że od domu Hedy dzieli ich zaledwie dziesięć metrów.

– Właśnie idę na spacer. – Zabrzmiało to sztucznie i Kurt o tym wiedział.

Wildgrube szczerzył się od ucha do ucha, ale oczy miał puste.

– Naprawdę? Tutaj? – Rozejrzał się w teatralnym zdziwieniu. – Znam ładniejsze miejsca!

– Pomyślałem, że pójdę do Vallée des Vaux, to jakiś kwadrans drogi stąd. O tej porze roku jest jeszcze zielona. Był pan tam może?

Policjant poprawił kapelusz na głowie.

– Przyznam, że nie miałem okazji. Nie wiedziałem, że z pana taki zagorzały piechur.

Kurt przybrał życzliwy wyraz twarzy, myśląc gorączkowo. Jeśli Wildgrube szedł za nim od samej kwatery, ktoś musiał mu donosić. Czyżby dostał cynk, a jeśli tak, to od kogo? Stawiał na Fischera, który od czasu odsiadki Kurta rzadko zaszczycił go rozmową, a do tego trzymał z Wildgrubem. Ale Kurt zawsze nabierał wody w usta w jego obecności, więc w zasadzie nie miałby o czym donosić. Uznał, że Wildgrube pewnie bada grunt.

Ze spokojem przygładził włosy.

– Dzięki temu nie mam czasu na głupoty. – Miał nadzieję, że Wildgrube doceni tę samokrytyczną aluzję, lecz mina szpiega nie uległa zmianie. Jeżeli Kurt ma zmylić trop, musi rzucić mu większy ochłap.

– Niech ci będzie, Erichu, przyłapałeś mnie na gorącym uczynku. Nie planowałem wycieczki do Vallée des Vaux... – Zrobił należycie zakłopotaną minę. – Podobno na Rouge Boullion otwarto nowy „klub dla oficerów”. Jeden z moich kolegów był tam w zeszłym tygodniu i opowiadał niesamowite rzeczy! Pomyślałem, że tam zajrzę.

Wildgrube uśmiechnął się na te słowa, szeroko i szczerze. Efekt mroził krew w żyłach.

– Ach, szukasz damskiego towarzystwa? Towarzystwa, powiedzmy, przewidywalnego w skutkach?

– No właśnie. – Kurt zaśmiał się z przymusem. – Przyłapałeś mnie, tak jak powiedziałem.

Wildgrube zawtórował mu śmiechem.

– Ależ nie ma się czego wstydić, poruczniku, to naturalne! Wiesz co, sam chętnie tam zajrzę. Pozwolisz, że się przyłączę?

Frustracja ścisnęła Kurta w gardle, mało się nie udusił. Zapędził się w kozi róg, a kłamstwa do niczego nie doprowadzą, Wildgrube i tak za nim polezie. Utknął z tym gadem, a Hedy pewnie czeka na górze, zdziwiona i rozczarowana. Korciło go, żeby zerknąć w jej okno, rzucić porozumiewawcze spojrzenie. Wpatrywał się jednak w gębę Wildgrubego i postanowił iść za ciosem.

– Jasne, jeśli masz ochotę.

– Wspaniale. Zaliczymy numerek i postawię ci szklaneczkę szkockiej. Co ty na to? Wymarzona sposobność, żeby się lepiej poznać.

Kiedy ruszyli ulicą, mózg Kurta pracował na najwyższych obrotach. Może zdoła wyciągnąć z tego jakąś korzyść? Jeśli Wildgrube wciąż ma go na oku, będzie okazja uspić jego podejrzenia, może nawet pociągnąć za język. Zaplanował wieczór w głowie, miał wprawę. Wildgrube obali kilka szklanek, po czym zacznie przebierać w kandydatkach. Tymczasem Kurt wybierze najmłodszą, najmniej doświadczoną dziwkę i zapłaci jej za pół godziny rozmowy o rodzinie, po czym zjedna sutym napiwkim, w razie gdyby musiała kiedyś skłamać w jego sprawie. On i Wildgrube będą chlać do rana i Kurt przemyci kilka uwag na temat swojej dawnej „niefrasobliwości”. W ten sposób może chociaż coś ugra. Najbardziej doskwierała mu myśl, że nie może uprzedzić Hedy.

Dopiero dobre dwadzieścia metrów od jej domu zerknął w okno pod pretekstem zawiązania buta. Miał na to zaledwie sekundę, jednak przysięgłby, że zobaczył ją przy framudze, jak wygląda chyłkiem na ulicę. Nie odważywszy się na znak porozumiewawczy, wziął głęboki oddech i ruszył wraz z Wildgrubem do położonego nieopodal klubu dla oficerów i czekających tam młodych, nieszczęsnych dziwek.

*

– Może nieco ciaśniej w pasie? Jestem taka chuda... zresztą, kto dzisiaj nie jest! Nie chcę, żeby na mnie wisiała, bo będę wyglądać jak w worku!

Dorothea ze śmiechem zebrała ściślej sukienkę, pokazując Hedy, jak ma leżeć.

Mrużąc w skupieniu oczy, Hedy przesunęła zaszewki i wbiła szpilki.

– Tak dobrze?

Dorothea zeszła z krzesła i wyciągając szyję, próbowała obejrzeć się z każdej strony. Hedy wzięła z komody małe lusterko i je przytrzymała; żałowała, że właściciel kawalerki nie zapewnił większego.

– Znacznie lepiej. Jaka ona jest miła w dotyku, nie uważasz? Oczywiście byłoby cudownie mieć coś nowego...

Hedy posłusznie pomacała tkaninę.

– Tak, ale któż by dzisiaj tego oczekiwał, nawet na ślub? Anton pożyczca garnitur od syna pana Reisa, prawda?

– Wiem. – Dorothea westchnęła. – Ja tylko... wiesz, jak to jest: marzysz o swoim ślubie i myślisz, co na siebie włożysz, odkąd byłaś małą dziewczynką. – Hedy uniosła brwi niby na potwierdzenie, chociaż nigdy się nad tym nie zastanawiała. – Prowadziłam nawet moją lalkę po korytarzu przy wtórze marsza weselnego, w firance zamiast welonu! Ale sukienka jest śliczna, trzeba przyznać. A z tym białym kapelusikiem... – Zakręciła się po pokoju, zła kniona pochwał.

Hedy stanęła na wysokości zadania.

– Będziesz wyglądać wspaniale, Anton pęknie z dumy. Ale zdejmij ją lepiej, zimno tu jak w psiarni. I nie chcesz, żeby się ubrudziła.

Dorothea rozpięła zamek i wyswobodziła się z sukienki, unikając szpilek. Usta jej się przy tym nie zamykały.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że wypatrzyłam ten kapelusz w ogłoszeniach. Tylko pomyśl, że też trafił się akurat w tym tygodniu! Za mydło i stare prześcieradło! Teraz potrzebuję tylko rękawiczek, ale na to chyba nie ma co liczyć.

Hedy zerknęła ukradkiem na blade, kościste ciało Dorothei pod halką; ciekawe, ile zobaczył już Anton i co o nim sądzi. Zastanawiała się, jak ona sama wygląda w oczach Kurta, brak lustra ma jednak swoje zalety.

– Posłuchaj, Hedy, chciałabym ci podziękować, że to robisz. Lubiałam szycie, zanim musiałyśmy pozbyć się maszyny, ale z ręcznym mi nie po drodze. Oczywiście mogłabym liczyć na babcię, ale biedaczka niedowidzi. Wtedy pomyślałam o tobie, a gdy Anton wspomniał, że zaoferowałaś pomoc, byłam... no, to wiele dla mnie znaczy.

Unikając jej wzroku, Hedy uklękła na podłodze i odłożyła resztę szpilek do starej tabakiery. Wiedziała, jak nazwałaby ją matka w tej chwili, *Farshtinkiner*, wszą. Nie dalej jak trzy dni temu poszła do Antona do piekarni, pod pretekstem oddania książki, ale tak naprawdę zamierzała porozmawiać z nim o tym małżeństwie, może nawet wyperswadować mu ten pomysł. Wyciągnęła go na podwórko za sklepem, z dala od wścibskich uszu. Jeśli tylko mu uświadomi, że oświadczył się z poczucia winy, ze strachu, że zostawi Dorotheę bez wdowiej renty... Chyba jasne, że marny to fundament dla związku?

Naturalnie rozmowa nie zaszła tak daleko. Z chwilą, gdy zamknęły się drzwi na zaplecze, Anton zaczął maglować ją o Kurta i domagać się sprawozdania: czy wyznała mu prawdę? Jak to przyjął, czy nadal są razem? Natychmiast zaczęła się tłumaczyć z kolejnego odroczenia: gdyby Anton go wtedy widział! Kurt był zdruzgotany, nieludzkie byłoby go wtedy dobijać. I naprawdę miała zamiar powiedzieć mu przy kolejnej okazji, gdyby tylko tamten wstrętny szpicel go nie przydybał. Ale powie mu jutro, przysięga, najpóźniej pojutrze. A gdy tak bełkotała od rzeczy, ujrzała, jak Anton kiwa głową, z włosami i rzęsami oprószonymi mąką, zbyt zgębniony własną niedolą, żeby się spierać. Wiedziała, że przejrzał ją na wylot. Przytłoczona własną hipokryzją i tchórzostwem,

wybiegła z piekarni bez wzmianki o ślubie, rzuciwszy tylko przez ramię, że w razie potrzeby mogą na nią liczyć. I poczłapała do domu, porównując otwartą, bezpośrednią dziewczynę, jaką była w szkole, z samolubnym, podstępny odbiciem, które wyzierało z ciemnych witryn. Wrzód kłamstw oraz złudzeń pęczniał z dnia na dzień, zatruwając ludzi, którzy mieli się kochać, kalając jej własną duszę. Przeklinała tę głupią, bezsensowną wojnę.

Spojrzała na Dorotheę i zmusiła się do uśmiechu.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że zrobię wszystko, jak trzeba.

– Na pewno. I koniecznie musisz przyjść na kolację w nowym domu. Czy opowiadałam ci o naszym lokum, które Anton znalazł na West Park Avenue?

– Opowiadałaś.

– Czynsz jest trochę wygórowany, ale w salonie jest prześliczny kominek, a na tyłach cudowny ogródek.

– I mosiężne gałki we wszystkich drzwiach – uzupełniła Hedy bezsilnie.

Nieświadoma aluzji, Dorothea włożyła buty i narzuciła starą, wełnianą sukienkę.

– Nie mogę się doczekać, aż zostanę panią Antonową Weber! Proszę, oto twoje zaproszenie. – Wyjęła z torebki ręcznie wykonany bilecik z bielonej tekturki.

„Dorothea Le Brocq i Anton Weber”, napisano wiecznym piórem, „mają przyjemność zaprosić Hedy i Kurta do Urzędu Stanu Cywilnego. Po ceremonii odbędzie się przyjęcie przy West Park Avenue pod numerem siedem”.

– Wiem, że jesteś czuła na tym punkcie – dodała Dorothea – ale byłoby cudownie, gdybyś zechciała go przyprowadzić.

Hedy potrząsnęła głową.

– Wybacz, ale to niemożliwe. Nie możemy się razem pokazywać.

Dorothea dotknęła jej ręki lodowatymi palcami.

– Ale spotykacie się od miesięcy, a my wciąż go nie znamy! A gdyby przyszedł tylko na poczęstunek? Przecież nikt nie będzie was oceniał.

Hedy ponownie przeczytała zaproszenie.

– Myślałam, że ma się odbyć w pubie Piersona.

Dorothea wyglądała na pochłoniętą guzikami, które zdążyła już zapiąć.

– Miało, ale to za duży wydatek na pięć albo sześć osób.

– Pięć albo sześć? A twoja rodzina, znajomi?

– Bunia przyjdzie na ślub, ma się rozumieć! – W głosie Dorothei zabrzmiało sztuczne ożywienie. – Ale przyjęcie to dla niej zbyt wiele. A pan Reis ma na głowie piekarnię. Zostajesz ty i Kurt, doktor Maine, jeśli będzie miał wolne... i Sandy, moja koleżanka ze szkoły, jeśli jej tata się zgodzi.

– Ale twoi rodzice... – Hedy poczuła przyływ litości.

– Garstka osób wystarczy nam w zupełności. Przynajmniej nie musimy się głowić, czym wszystkich nakarmić.

Hedy patrzyła, jak Dorothea pieczołowicie składa sukienkę ślubną, głaszcząc ją jak kotka i odkładając na stolik. Wciąż jej dotykała, jakby ubiór miał magiczną moc, którą nie do końca rozumiała, lecz w którą bez reszty wierzyła. Ponownie zadała sobie w duchu pytanie, co też Dorothei tak naprawdę chodzi po głowie. Bywała całkowicie nierzeczywista, jak duszek z innego świata. Ale kiedy znowu się odezwała, jej głos zabrzmiał bardziej zdecydowanie.

– Grunt, że będą tam nasi najbliżsi przyjaciele! – Poklepała sukienkę i zdobyła się na szeroki, serdeczny uśmiech. – Sama widzisz, nie ma powodu, aby Kurt nie mógł przyjść.

Hedy uznała, że najbezpieczniej będzie zakończyć ten temat.

– Dziękuję. Jeszcze się zastanowię.

Dorothea włożyła kapelusz i płaszcz, po czym skierowała się do wyjścia.

– Jestem ci naprawdę wdzięczna. Gdybym mogła się jakoś odwdziżyć...

Hedy się zawahała. W zasadzie miała pewien pomysł, ale wciąż nie była pewna, czy chce prosić o przysługę taką trzpiotkę. Już miała odmówić, kiedy Dorothea wyczuła coś po jej zachowaniu i zamarła z ręką na kłamce. Spojrzenie błyszczących oczu świdrowało Hedy z drugiego końca pokoju.

– O co chodzi? Powiedz – zachęciła Dorothea.

– Nic takiego. A przynajmniej może zaczekać. – Hemingway otarł się o nogę Hedy, jakby też ją ponaglał.

– Proszę, Hedy. Cokolwiek zechcesz.

– No więc, chodzi o to... od blisko dwóch lat nie mam kontaktu z rodzicami. Żydzi nie mogą odbierać w Wiedniu poczty.

Dorothea pokręciła głową.

– To niesprawiedliwe.

– Ale mieszka tam Elke, moja dawna koleżanka ze szkoły. Gdybym użyła fałszywego nazwiska i ostrożnie dobierała słowa, może udałoby mi się przemycić list w pracy. Potrzebowałabym jednak bezpiecznego adresu zwrotnego...

– Więc jak mogłabym pomóc?

Hedy stłumiła westchnienie, upominając się w duchu, że Dorothea bardzo się stara.

– Czy mogłabym podać wasz nowy adres?

Dorothea się rozpromieniła.

– Ależ oczywiście! Nie ma najmniejszego problemu.

Hedy kiwnęła głową.

– Dziękuję. To, jak mawiają Anglicy, strzał w ciemno, ale nic innego mi nie pozostaje. – Teraz to ona poklepała sukienkę. – Muszę brać się do pracy.

Dorothea pomachała jej na pożegnanie samymi palcami, jak dziecko machające do matki, po czym zbiegła po schodach, nucąc pod nosem marsz weselny cienkim, kruchym głosikiem. Hedy sięgnęła po suknię do przeróbki, niepewnie zachodząc w głowę, jak długo ten głos będzie stałym akompaniamentem w jej życiu.

*

Dzień był zimny i jednobarwny, ale wiatr osłabł, a nabrzmiące, stalowoszare chmury jeszcze nie rozstały się z deszczem. Hedy przeszła lekkim krokiem przez Royal Square, stąpając ostrożnie, żeby nie naruszyć wiekowego kleju na podszwie, i rozkoszując się poczuciem, że po raz pierwszy od miesiący ma na nogach pończochy. Oszczędzała je od kilku tygodni na specjalną okazję. Oczywiście Kurt musiał zdobyć je na czarnym rynku i pewnie kosztowały majątek, co wzbudzało w niej poczucie winy i zachwytu. Miała na sobie tę samą starą sukienkę z krepy i rozpinany sweterek, które nosiła wszędzie oprócz pracy, lecz dreszczyk, gdy osłonięte nogi muskały jedna drugą, sprawiał, że czuła się wyjątkowo odświętnie.

Nie była pewna, które drzwi prowadzą do Urzędu Stanu Cywilnego, ale gdy skręciła przy kościele, ruch na schodach doprowadził ją prosto do celu. Spojrzała na zebraną tam rodzinę. Na oko siedemnastoletnia panna młoda była ubrana w suknię odcinaną pod biustem, mającą najpewniej zatuszować ciężowy brzuszek. Obok niej, w garniturze zapewne z czasów szkolnych i z miną wyrażającą bezdenną rozpacz, stał pryszczaty młodzian, obwarowany przez rosnącego gbura, którego Hedy wzięła za ojca oblubienicy, i jego srogą małżonkę w ciasnej, kwiecistej sukni. Ślub z musu, jak nic, ale rodzina zjawiała się tłumnie: wszyscy oblegali pannę młodą i trajkotali, ucieszeni odskoczną od ponurej rzeczywistości.

Hedy przecisnęła się przez tłum i weszła do budynku, podążając za strzałkami, aż znalazła poczekalnię. Mimo lśniącego parkietu wewnątrz było mdłe i pozbawione uroku, w dodatku rzut kamieniem od Urzędu do spraw Cudzoziemców, gdzie Hedy przyszła na rozmowę z Orange'em ponad rok temu. Tu również pachniało drewnem oraz kurzem i panowała drętwa atmosfera służbistości, nasuwająca skojarzenie z kolejkami petentów i zastępami znudzonych sekretarek uzbrojonych w zszywacze. Na ławkach pod ścianą siedziały dwie inne pary wraz z weselnikami, śmiejąc się i rozprawiając. Trzecią zajęli Anton z doktorem Maine'em, milczący, z twarzami bez wyrazu.

Hedy spojrzała na nich od progu. Lekarz ubrał się odświętnie, lecz spod flanelowych nogawek wystawały mocno znoszone buty. Wyglądał na przemęczonego, miał przesuszoną i ziemistą skórę. Nie wiedziała, ile ma lat, na pewno mniej, niż wskazywała na to jego aparycja. Na samym początku ustalili, że im mniej o sobie wiedzą, tym lepiej: nierozsądnie byłoby pokazywać się razem regularnie, i bezpieczniej unikać zwierzeń, w razie gdyby któreś z nich zostało złapane. Hedy wiedziała jedynie ze strzępów rozmów, że doktor ma ciężko chorą żonę i niewiele dzieje się w jego życiu poza pracą. Przy kilku okazjach, gdy Kurt obdarował ją tytoniem albo królikami z niemieckich zapasów, przekazała lekarzowi, co mogła, wiedząc, iż nie ma dostępu do takich luksusów. Nigdy o nic nie pytał, uśmiechał się tylko z wdzięcznością, po czym chował kontrabandę do torby lekarskiej i odchodził. Ten jeden raz porzuciła ostrożność i ucałowała go w policzek na powitanie.

– Jak pan się miewa, doktorze?

– Świetnie, kochana. I mów mi Oliver, proszę.

Hedy usiadła między nimi i złożyła płaszcz na kolanach, żeby ukryć dwie dziury po molach na sukience. Spojrzała na Antona. Grafitowy garnitur był wprawdzie zbyt obszerny, ale doskonale skrojony. Z cyklamenem w butonierce i z włosami przygładzonymi resztką pomady pana Reisa przyjaciel prezentował się nad wyraz elegancko. Hedy uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Elegancko wyglądasz. – Musnęła jego barki, wyczuwając poduszki pod palcami.

– Dzięki. Przyszła już Dory?

– Spokojnie, zaraz będzie! Pamiętaj, że idzie z babcią, raczej nie pędzą. – Poszukała w myślach bezpiecznego tematu. – Przyjdzie jej koleżanka? Sandy, jeśli dobrze pamiętam.

– Zdaje się, że nie. A Kurt, dołączy do nas później?

Wybrała jak najprostsze wytłumaczenie.

– Niestety, ma pracę.

Anton wzruszył ramionami.

– Więcej wiśniówki dla nas.

Czekali w milczeniu. W rozgrzanym pomieszczeniu zaczęły jej się kleić powieki i odpłynęła myślami do ostatniego ślubu, na którym była przed pięcioma laty. Jej kuzynka, w białej satynie i koronce, wirująca po miejscowej sali balowej, orkiestra klezmerska grająca do tańca, sześćdziesiąt par butów tupiących o parkiet. Otto opowiedział swój ulubiony dowcip o krawcu, a żona udała, że go ruga, a rodzice Hedy tańczyli jak dwoje nastolatków. Otworzywszy oczy, natrafiła wzrokiem na zakratowane okna oraz nagie gałęzie drzew cmentarza, i stłumiła westchnienie.

Niebawem zjawiała się Dorothea, olśniewająca w dopasowanej sukni i kapeluszu. Towarzyszyła jej babcia, zaszuszone staruszka o rękach powykręcanych przez reumatyzm, ale z miną upartej determinacji, którą Hedy dobrze знаła. Oczy Dorothei błyszczały z za mozolnie udrapowanej woalki. Objęła przyszłego małżonka, po czym ujęła oburącz dłonie Hedy i mocno je uścisnęła.

– Z całego serca ci dziękuję, że przyszłaś – wyszeptała.

Podszedł drobny, schludny urzędnik.

– Le Brocq i Weber? – Głos zabrzmiał dobitnie i poniósł się po całej poczekalni, a nazwisko Antona wymówiono z przesadzonym niemieckim akcentem. Hedy ujrzała, że wszystkie oczy powoli zwracają się w ich stronę. Dorośli przyciągnęli bliżej dzieci, starsi mieszkańcy cmoknęli pod nosem i głowy zwróciły się ku sobie, szepcząc zawzięcie. Hedy z łatwością się domyśliła, czego dotyczą rozmowy i że pada w nich słowo „szmata”. Zerknęła na Dorotheę, czy zwróciła na to uwagę, ale przyszła oblubienica zapinała rękawiczki i słała wszystkim uśmiechy.

– Idziemy?

Cała piątka wkroczyła na salę ślubów, gdzie znajdowało się kilka krzeseł, niebieska wykładzina oraz ciężkie, dębowe biurko. Przed okupacją na pewno przystrojono by ją kwiatami, a siedzący w rogu muzyk przygrywałby na harfie albo gitarze. Babcia Dorothei i doktor Maine skwapliwie pospieszyli do pierwszego rzędu, jakby chcieli stworzyć wrażenie tłumu rozentuzjasmowanych gości. Wszyscy jeszcze nie zdążyli zasiąść, gdy urzędnik przystąpił do odczytywania formułki, a Dorothea i Anton musieli wyrecytować swoje kwestie. Anton wsunął jej na palec cienką, złotą obrączkę, dla której poświęcił ostatni ciepły sweter („Za kilka tygodni i tak włożę mundur”, skwitował ze wzruszeniem ramion). I było już po wszystkim. Państwo młodzi pocałowali się nieśmiało, a babcia im klaskała, czego prawie nie było słychać z uwagi na bawełniane rękawiczki. Wyszli na ulicę, gdzie starsza pani obsypała ich konfetti z czasopism filmowych Dorothei, i wszyscy śmiali się bez powodu, i patrzyli na siebie, stojąc na zimnym, szarym chodniku.

– No cóż – rzekł wreszcie Anton. – To by było na tyle. Idziemy?

*

Kurta bolały stopy, rozpychały mu buty niczym dwie kłody, kiedy włókł się do wejścia swojej kwatery. Czuł każdy palec z osobna, spuchnięty i cuchnący, w grubych, wełnianych skarpetach, których od co najmniej czterech dni nie prał. W tej chwili marzył tylko o krześle i misce z ciepłą wodą. Nie dbał nawet o lunch ani o to, że zapomniał pójść do magazynu po tytoń. Pragnął jedynie przewietrzyć cholerne stopy i porządnie je wymoczyć.

Przez trzy ostatnie dni pracował po bite siedemnaście godzin, o świcie zjawiał się w zakładzie i wracał do Pontac Common dobrze po kolacji. A nowych rozkazów było coraz więcej. W ostatnich tygodniach przybyło cudzoziemskich robotników, więc prace na wybrzeżu ruszyły z kopyta, a zamówienia na ciężarówki się podwoiły. Ciężarówki do przewozu materiałów, ciężarówki do transportu ludzi, ciężarówki na narzędzia, przybory do gotowania i prowiant, dla strażników OT, jak przypuszczał, a nie ich niewolników. Obiecano mu więcej ludzi, lecz na razie były to obietnice bez pokrycia, toteż zeszłego wieczoru, na wpół przytomny z wyczerpania, oznajmił, że bierze wolne na sobotnie popołudnie oraz wieczór, a jeśli sztab ma na ten temat coś do powiedzenia, niech zgłosi się do niego w poniedziałek rano. Obecnie żywił w sercu nadzieję, że kuchnia lub współdzielony pokój okażą się puste i będzie mógł spędzić następne kilka godzin, siedząc na dupie i czując, jak woda przelewa mu się między palcami stóp, pogrążony w lekturze szmirowatej powieści.

Kiedy pchnął drzwi domku, od razu zrozumiał, że jego pierwsze życzenie się nie spełni. Z kuchni buchnęła wrzawa głosów oraz woń francuskich szługów: trzech oficerowie ucinali sobie właśnie zażartą partyjkę remika. Kierując się w stronę schodów, Kurt potrząsnął głową nad tym, jak młodzi żołnierze marnują swój czas wolny. Oczywiście jednak wziął pod uwagę, że jego własne plany bynajmniej nie są bardziej konstruktywne. Odczuł

przyływ rozdrażnienia na wspomnienie tego, gdzie powinien teraz być. Uwielbiał Hedy, nie było co do tego wątpliwości. Ale na miły Bóg, bywała niekiedy piekielnie irytująca.

Podczas wieczornego spotkania w ubiegłym tygodniu omal nie wybuchła między nimi kłótnia na podobieństwo tej, do której doszło na ich pierwszej randce. Kurt zauważył zaproszenie na ślub na komódce i zapytał, dlaczego nic mu o tym nie wspomniała. Czy to nie wymarzona okazja, by wreszcie wszystkich poznać? Byłoby niegrzecznie odmówić, jeżeli został zaproszony. Hedy, która właśnie w doskonałym humorze smażyła przyniesione przez niego wątróbki drobiowe, natychmiast przeszła do defensywy. Przecież rozmawiali o tym setki razy! Dobrze wie, że nie mogą się afiszować, więc co też mu w ogóle strzeliło do głowy? Obruszył się za jej wyolbrzymioną reakcją i ani myślał odpuścić.

– Rozumiem, że nie życzysz sobie mojej obecności na ślubie – oznajmił, ciskając sztucce na stół mocniej, niż należało. – Ale skoro na przyjęciu będą tylko państwo młodzi, ty i wasz znajomy lekarz, na dodatek w prywatnym domu, naprawdę nie widzę problemu.

– Jeszcze ktoś zobaczy, jak tam wchodzisz.

– A tutaj to co innego? Przecież wiesz, że jestem ostrożny. Zresztą Anton za kilka tygodni sam zostanie żołnierzem Wehrmachtu.

– No właśnie. Mają dosyć problemów z rodziną Dorothei, która się nie zjawi, nie musimy pogarszać sprawy.

– Tym bardziej potrzebują wsparcia przyjaciół! Wstydzisz się mnie czy co?

– Oczywiście, że nie. – Jej głos zabrzmiał szczerze, ale zauważył, że nie odrywa wzroku od patelni.

– No więc o co naprawdę chodzi?

Nie doczekał się jednak zadowolającej odpowiedzi i zaproszenie ujrzał potem w śmietniku, podarte na drobne kawałeczki. Leżąc później bezsennie u boku cicho pochrapującej Hedy, doszedł do wniosku, że jej zachowanie wynika z jakiejś blokady psychicznej. Za dużo o tym myślała i spotkanie z przyjaciółmi urosło w jej mniemaniu do rangi przeszkody nie do pokonania. Postanowił, że po ślubie otwarcie postawi sprawę: w końcu, w niedalekiej przyszłości, to on i Hedy będą wznosić toast za wspólne życie. Jeszcze nigdy nie poruszyli tego tematu, lecz zważywszy na ich obopólne uczucia, zdawało się to nieuniknione. Cóż to byłby za ślub, jeśli ona nie pogodzi się z faktem, że wcielono go do cholernego wojska pod przymusem?

Blade, popołudniowe światło sączyło się przez okno na półpiętrze, gdy człapał na górę, a stopy paliły go jak przypiekane żywym ogniem. W myślach układał się z wyimaginowanym bóstwem, obiecując, że cały tydzień będzie sprawował się bez zarzutu w zamian za kilka godzin na własny użytek. Kiedy otworzył drzwi, jego wzrok padł na Fischera, siedzącego przy biurku nad stertą papierów. Kurt nie zadał sobie trudu, aby ukryć rozczarowanie, a wnosząc z miny współlokatora, ten podzielał jego odczucia. Z westchnieniem ulgi zrzucił buty i rzuciwszy się na łóżko, milczał przez kilka chwil,

zachodząc w głowę, czy wystarczy mu siła, aby napełnić miednicę, w końcu jednak szkoła matki wzięła górę i wykrzesał z siebie nieco uprzejmości.

– Odkąd to zabierasz pracę do domu?

– Tamte głupki nie potrafią nawet wyliczyć procentów – odburknął Fischer. Kurt skrył uśmiech. Dwa tygodnie wcześniej przeniesiono Fischera z rolnictwa do wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego: Kurt sądził, że będzie mu to pasować, lecz tamten chodził wściekły jak osa.

– Z czego?

– Żydowskich biznesów, zgodnie z piątą dyrektywą. Dziewięćdziesiąt procent idzie do Wydziału Gospodarki i Finansów Jersey, dziesięć przypada Komisarzowi Generalnemu do spraw Kwestii Żydowskiej. Co w tym skomplikowanego, pytam?

Kurt dźwignął się z łóżka i podszedł do miednicy na stojaku. W dzbanku była woda, wprawdzie zimna, ale wyprawa na dół celem jej podgrzania go przerastała. Nalał trochę do miski i wrócił na pryczę.

– Chyba nie macie wiele przypadków do zbadania, co? Żydów została na wyspie zaledwie garstka.

– Wystarczająco – warknął Fischer kątem ust – żeby mącić. Wszystkich musimy mieć w kartotece, bez względu na to, czy prowadzą własny interes. Wszędobylskie szcurki. Wiedziałeś, że mamy nawet jednego u siebie?

Kurt ściągnął skarpety, odnotowując nie bez uciechy, że Fischer zmarszczył nos, gdy smród do niego dotarł. Wpakował nogi do miednicy i od razu pożałował, że nie wybrał się na dół po gorącą wodę: nie zależało mu na takim doznaniu.

– Kto taki? – spytał obojętnie. Od czasu rozmowy z Manfredem kilka tygodni temu postanowił, że będzie wpuszczał tyrady Fischera jednym uchem, a wypuszczał drugim.

– Jakaś żydowska zdzira w twoim zakładzie, pracuje jako tłumaczka. Bercu? – Przerzucił papiery. – Tak, Hedwig Bercu. Dobrze, że reszta pracowników nie wie, co to za jedna, bo wybuchłyby zamieszki. Jak mieliby to rozumieć?

Kurt znieruchomiał. Lodowaty chłód rozszedł się od stóp po całym ciele, aż do serca.

– Powiedziałeś Hedwig Bercu?

Fischer potwierdził.

– A co? Znasz ją?

Kurt poczuł, że kręci głową, choć nie przypominał sobie, żeby miał taki zamiar.

– Nie... Może gdzieś mi się obiło o uszy. – Poczuł na sobie badawcze, zaciekawione spojrzenie współlokatora. – Jesteś pewien, że to Żydówka?

– Ma to w papierach! – Fischer z irytacją siąknął nosem i ponownie schylił się nad dokumentami, choć Kurt miał poczucie, że jest nadal obserwowany. – Za miękkie te urzędasy. Ja tam od razu wpakowałbym całą bandę na statek... – Jego głos ucichł, przechodząc w jednostajny szum.

Kurt bardzo powoli wyjął z miednicy jedną, a potem drugą nogę. Na dywaniku przy łóżku powstały dwie ciemne plamy w kształcie stóp. Nogi już go nie bolały, ale serce łomotało mu w piersi i czuł lekkie mdłości. Odczekał, jak mu się zdawało, dopuszczalną chwilę, po czym wstał.

– Nie będę ci przeszkadzał. Mam coś do załatwienia.

*

Śliczny domek, pomyślała Hedy, gdy w czwórkę znaleźli się na West Park Avenue, czując się nieswojo w odświętnych ubraniach i trajkocząc wesoło, by zatuszować skrępowanie. Może to nie była wyszukana posiadłość, ale w dobrej lokalizacji, a z końca ulicy majaczył niebieski skrawek zatoki St Aubin. Dom stał w rzędzie ładnie utrzymanych wiktoriańskich willi na zachodnim skraju miasta, z traktami od frontu i łukowymi oknami na górnych piętrach, obramowanymi kamieniami w kontrastowych barwach. Anton naprawdę dobrze się spisał, i to z żołnierskiego żołdu, więc nic dziwnego, że Dorothea tak się cieszy.

Otworzył zamasyżycie drzwi, po czym odstawił komediowy spektakl z wniesieniem żony przez próg, mimo że z łatwością podniósłby ją pewnie jedną ręką.

Chichocząc jak dziecko, Dorothea skinęła z korytarza na Hedy i doktora Maine'a.

– Wejście, wejście. Dostaliśmy od babci prawie pełną butelkę wiśniówki! Anton, przynieś nowe kieliszki, które dostaliśmy od Hedy!

Hedy wzdrygnęła się na myśl o dwóch nijakich kieliszkach z ogłoszenia w „Post”, na pewno nieprzeznaczonych do wiśniówki. Ale posłusznie weszli z lekarzem do środka, wznosząc obowiązkowe okrzyki zachwytu, gdy wprowadzono ich do saloniku położonego od frontu. Hedy uderzył od progu panujący tam niezwykle porządek, po czym zaraz zdała sobie sprawę, że pokój jest zwyczajnie pusty. Ściany pokrywała wzorzysta tapeta z przełomu stulecia i stały tam tylko dwa krzesła oraz zielony składany stolik karciany. Doktor Maine zaoferował jedno miejsce Dorothei, a Hedy uparła się, żeby zajął drugie, sama zaś rozsiadła się na podłodze, jak gdyby to było coś oczywistego, modląc się w duchu, aby nie pozaciągać cennych nylonów.

Anton przyniósł wiśniówkę, nowe kieliszki oraz dwie wyszczerbione filiżanki ze starego mieszkania i wszystkim nalał. Dorothea przeprosiła za ziąb i obiecała, że zrobi się cieplej, gdy tylko rozpalą w kominku. Stuknęli się naczyniami.

– Za młodą parę – oznajmił doktor Maine. – Obyście wiedli długie i szczęśliwe życie. – Hedy wzięła łyk i nerwowo zerknęła na Dorotheę w nadziei, że wydzwięk toastu i w ogóle całego dnia nie doprowadzi jej do płaczu. Ale oblubienica uśmiechała się od ucha do ucha, co rusz tuląc głowę do marynarki Antona i dotykając męża. Nie ulegało wątpliwości, że raduje się każdą chwilą.

– Szkoda, że nie mieliśmy fotografa – zaszcebiotała. – Ale za kilka dni chcemy pójść do Scotta i zrobimy kilka zdjęć. Musi być pamiątka z najszcześniejszego dnia w życiu, prawda?

– I wiecie co? – dorzucił Anton. – Rodzina pana Reisa oddała nam część swojego przydziału. Mamy pyszny ser Pont-l’Evêque i wystarczy chleba na grzanki. A babcia Dory upiekła dla nas wyborne ciasto kminkowe. Możemy świętować z rozmachem.

– Przyniosę talerze z kuchni – powiedziała Dorothea, dopijając wiśniówkę.

– Nie, ja to zrobię – zaproponowała Hedy, byle wstać z lodowatej podłogi i coś zjeść. – Panna młoda ma tylko siedzieć i pięknie wyglądać! Na pewno wszystko znajdę. – Podniosła się i ruszyła w stronę kuchni.

I wtedy to się stało. Ktoś załomotał w drzwi wejściowe. Nie było to ostrożne, przyjazne pukanie zaciekawionego sąsiada, lecz zdecydowane, kategoriyczne walenie kogoś, kto chce być wpuszczony. Na sekundę wszyscy zamarli. Uśmiech na twarzy Dorothei ustąpił miejsca wyrazowi popłochu. Hedy spojrzała z niepokojem na Antona, który pewnie też uznał, że rodzina żony przyszła zrobić awanturę. Oddał Dorothei swoją filiżankę i pomaszerował do holu z miną człowieka gotowego na starcie, a pozostała trójka zamarła w oczekiwaniu, nasłuchując. Gość odezwał się pierwszy i Hedy zamarła na dźwięk jego głosu.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę natychmiast porozmawiać z Hedy. – Widząc jej bladość, doktor Maine i Dorothea wytrzeszczyli oczy. Wszyscy czekali na kolejne zdanie. – Nazywam się Kurt Rümmele. Czy zechce pan ją zawołać?

Hedy wyszła z pokoju jak w transie. Umundurowany Kurt stał w progu. Nie wiedzieć czemu, zdawał się wyższy niż zwykle. Ledwo wydobyła głos z gardła.

– Myślałam, że jesteś dziś w pracy.

– Czy możemy pomówić na osobności?

Przeraził ją jego oficjalny ton, ale w głębi duszy domyśliła się powodu, a sądząc z miny Antona, on również.

Wskazał im koniec korytarza.

– Zapraszam.

Hedy ruszyła w stronę kuchni; słyszała za sobą kroki Kurta, lecz nie miała odwagi się odwrócić i spojrzeć mu w twarz. Znaleźli się w jakimś, zimnym pomieszczeniu z linoleum w zielono-czarną kratkę, z piecykiem do grzania wody nad głębokim, ceramicznym zlewem. Odblokowano akurat dopływ gazu i wewnątrz białego, metalowego cylindra trzeszczał niewielki płomień. Dziwne, stwierdziła w duchu, że pomieszczenia, gdzie życie zmienia się na zawsze, nigdy nie są takie, jak byśmy sobie wyobrażali. Stała przy stole nakrytym szenilowym obrusem i z wysiłkiem odwróciła się do Kurta, wzrok utkwiała na wysokości jego kolan.

– O co chodzi? – Zdawała sobie sprawę, że pytanie jest obraźliwe.

– Fischer mówi, że sklasyfikowano cię jako Żydówkę. Czy to prawda? Jesteś Żydówką?

Nawet w tej chwili – i zdumiał ją bezmiar własnej głupoty – kusilo ją, aby ciągnąć to kłamstwo. Przypomniała sobie bajeczkę o odziedziczonym nazwisku oraz braku żydowskich korzeni, i już miała ją na końcu języka. Ale gdy otworzyła usta, nie wykrztusiła ani słowa. Wtedy zrozumiała, że ma dosyć udawania, dosyć zmyślonych wersji. Cokolwiek się stanie, lepiej mieć to za sobą.

– Tak. – Zaczęła dygotać. Usiłowała się uspokoić, skubiąc frędzle obrusa, obracając je w palcach. Nadal nie mogła się zmusić, żeby spojrzeć mu w twarz, ale jego oszołomiony głos mówił sam za siebie.

– Powiedziałem ci pierwszego wieczora, że nie wierzę w brednie o rasie panów. – Urwał, dobierając i odrzucając zdania. – Odkąd tu jestem i widzę, co się dzieje, utwierdziłem się w tym przekonaniu. A ty o tym wiedziałaś. – Kolejna pauza. – Dlatego po tym wszystkim, co przeszliśmy przez ostatnie miesiące, co sobie powiedzieliśmy... – Umilkł. Skwierczenie gazowego płomyka wypełniło dotkliwie pustą przestrzeń. – Mam tylko jedno pytanie: dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Hedy zebrała trzy frędzle i zaczęła je zaplatać. Przypomniała sobie, jak zaplatała Rice warkocz i ozdabiała go jedwabną kokardą.

– Chciałam. Ale zbyt długo zwlekałam. Nie wiedziałam, jak to przyjmiesz.

Prychnął z niedowierzaniem.

– Na litość boską, Hedy! Spędziłem za ciebie dwa tygodnie w tym plugawym więzieniu! Ale jak widać... – Wzniósł ręce, po czym zwiesił je bezwładnie. – Jak widać, to nic nie znaczyło.

– Oczywiście, że znaczyło... znaczy... znaczy wszystko. Aresztowaliby mnie, gdyby nie ty.

– A mimo to nadal sądziłaś, że mógłbym zwrócić się przeciwko tobie?

Hedy zaczęła zaplatać drugi warkocz, po czym wróciła do pierwszego. Czują, jak nici strzępią się w jej palcach, lada chwila je powyrywa.

– Wiem, że trudno to pojąć, ale nie wiesz, jak to jest, znaleźć się na celowniku, być znienawidzonym przez wszystkich.

– Przejdź się King Street w mundurze żołnierza Wehrmachtu...

– To nie to samo! Po anszlusie ludzie zwrócili się przeciwko nam. Dawni przyjaciele, którym ufaliśmy. Człowiek staje się zaszczutym zwierzęciem. Nie chciałam cię okłamywać, ale... – Z nadludzkim wysiłkiem podniosła wzrok i poraził ją ból, który ujrzała w jego oczach. – Przepraszam. Ja tylko... się bałam.

– Ale nie chodziło tylko o ciebie. Mnie też naraziłaś, bez mojej wiedzy i zgody.

– Wiem o tym.

Milczał długą chwilę. Potem jego twarz złagodniała i zrobił krok w jej stronę, dotknął czubkami palców jej dłoni. Puściła frędzle, czując miękkość jego skóry.

– Nigdy bym cię nie skrzywdził, Hedy.

Przygryzła wargę, jak skarcone dziecko posłane do kąta. Logika ostatnich miesięcy obróciła się w pył i nagle wydała niedorzeczna. Wojna pozbawiła ją resztek ufności.

– Naprawdę?

– Przysięgam na grób matki.

Kłębek strachu w jej brzuchu się rozluźnił i poczuła przypływ optymizmu.

– Teraz to wiem. – Wyciągnęła drugą rękę, a wtedy on ją puścił. Nastąpiła zmiana między nimi, chłód w pomieszczeniu przybrał na sile i poczuła w kościach sople lodu.

– Też tak sędzę. Ale już za późno.

Sople wdarły się w jej wnętrzości. Nie mogła złapać oddechu.

– Dlaczego?

– Jeśli potrafisz tak długo ukrywać coś tak ważnego, traktować mnie jak wroga, narażać na ryzyko... – Bezsilnie wzruszył ramionami. – Bez zaufania nie ma sensu w tym trwać.

Hedy poczuła, że zgrzyta zębami. Żuchwa jej zeszywniała.

– Powiedziałam, że przepraszam... mówię szczerze.

Kurt potrząsnął głową.

– Wiem... i ci wierzę. Ale to bez różnicy.

Tego było za wiele. Czują każdy nerw w ciele. Otoczyła się murem.

– To tylko pretekst. Nie chcesz ze mną być, bo to dla ciebie zbyt duże ryzyko. Boisz się, że oskarżą cię o *Rassenschande*, stracisz posadę i wyślą cię na front wschodni.

Zmienił się na twarzy. Biła z niej wściekłość.

– Dobrze wiesz, że tak nie jest. Byłbym gotów podjąć takie ryzyko. – Zawrócił do drzwi.

– Pamiętasz, jaka byłaś na mnie zła pierwszego wieczoru? Jak nazwałaś mnie tchórzem, ponieważ dałem się porwać hitlerowskiej maszynie? Wiele o tym myślałem; ba, doszedłem do wniosku, że masz rację. Ale teraz... teraz myślę, że to ty jesteś tchórzem. Żegnaj, Hedy.

Usłyszała, jak idzie korytarzem, mamrocze przeprosiny za najście i zatrząskuje za sobą drzwi. W tej samej chwili zgasł płomyk w piecyku gazowym.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, był zaniepokojony głos Antona pytającego, czy dobrze się czuje. Potem osunęła się po ścianie na podłogę, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać.

2 W oryginale „Jerrybag”, jak określano dziewczęta sypiające z Niemcami.

6

1942

Padał marznący deszcz ze śniegiem. Drobinki wirowały z nieba i zmieniały się w ciemne punkciki na chodniku. Wszyscy ludzie na ulicy, skuleni na wietrze w wyświechtanych paltach ściągniętych z pokrytych pajęczynami strychów, przyciskali brody do piersi, a łokcie do ciał, czasem tylko strzepując zamarzniete płatki. Jakie to smutne, pomyślała Hedy, że coś tak kruchego i pięknego może powodować tyle udręki; jej palce, zaciśnięte na wysłużonej torebce, przybrały siny odcień i piekły, jakby zdzierano z nich skórę.

Zawahała się u zbiegu ulic, rozważając trasę obok Rimingtona, sklepu z owocami na King Street: ubiegłego wieczora w jej budynku gruchnęła wieść, że w mieście pojawił się wczesny rabarbar. Ale musiałyby wtedy minąć Urząd do spraw Cudzoziemców, a po wizycie tam w zeszłym miesiącu wołała obejść się smakiem, niż oglądać to zniechęcające miejsce. Ruszyła dalej, próbując wyprzeć wspomnienie tamtego spotkania, lecz gniew przywołał je z powrotem i znów zabolął ją wyniosły ton zastępcy sekretarza oraz jego obojętność na jej zdenerwowanie, kiedy pokazała mu związałą notkę, którą dzień wcześniej wręczył jej feldwebel Schulz.

Informujemy, że wszyscy zarejestrowani Żydzi mają stawić się na rozmowę w niemieckim Sztapie Polowym w College House. Muszą uczynić to niezwłocznie.

Żadnych wyjaśnień. Hedy pospieszyła do urzędu w nikłej nadziei, że przybliżą jej tam sytuację lub podsuną plan działania. Ale urzędnik tylko poskrobał się w głowę, wzruszył ramionami i stwierdził, że skoro Niemcy chcą ją widzieć, to lepiej, żeby się stawiała. Podziękowała mu z sarkazmem i wyszła z myślą, że ani myśli kierować się jego radą. Starła się uspić niepokój, wmawiając sobie, że zważywszy na garstkę Żydów, których rzecz dotyczyła, być może sprawa rozejdzie się po kościach. Lecz nadziei i optymizmu było teraz jak na lekarstwo. Od ślubu Antona każdy dzień stał się zaspą, przez którą musiała się przedrzeć, a z każdym kolejnym świtem popadała w odrętwienie. Samo wstanie z łóżka zdawało się przeszkodą nie do pokonania.

Minęły trzy miesiące, całe trzynaście tygodni, odkąd rozmawiała z Kurtem. Raz czy dwa widziała jego tyczkowatą postać na placu, jak rozmawiał z mechanikami albo przenosił

pułdo z częściami, lecz z daleka nie widziała jego twarzy ani nie słyszała głosu. Zapewne jej unikał, trzymał się warsztatu i jadał tylko w kantynie. Wmawiała sobie, że ostatecznie tak będzie najlepiej dla nich obojga, ale jej ciało stanowczo się temu sprzeciwiało i budziła się, tuląc mokrą poduszkę. W pierwszym roku okupacji była straszliwie samotna, lecz to... to był zupełnie nowy wymiar zgryzoty. Teraz rozumiała, co znaczy mieć złamane serce.

Początkowo usiłowała przerzucić odpowiedzialność na Kurta, Clifforda Orange'a, Hitlera, byle nie na siebie. Jednak gdy leżała jak kupka nieszczęścia na podłodze w swoim mieszkaniu, prawda wyzierała z każdego zakamarka i zagłuszała te niedorzeczności. Kurt miał rację. W obliczu trudnych decyzji uciekała z podkulonym ogonem. Miała setki okazji, żeby wyznać mu prawdę, lecz znalazła o jedną więcej wymówkę, aby tego uniknąć. Zawiodła nie tylko jego, ale całą swoją rodzinę, wiarę. Teraz za to płaci. Dni mijały jej przy maszynie do pisania, nad raportami bez treści, unikała kontaktu wzrokowego ze wszystkimi, a wieczory spędzała samotnie na lekturze książek z przetrzebionych półek biblioteki, patrząc, jak kolejno gasną okna u sąsiadów i miasto pogrąża się w ciemności. Raz czy dwa złapała się na rozmyślaniu, czy jest ważne, co z nią będzie: jeśli chcą ją uwięzić lub rozstrzelać, proszę bardzo. Jednak myśli o odległej, rozproszonej rodzinie kazały jej trwać, a dziś przyświecał jej jasny cel. Owinąwszy się szczelnie szalikiem, ruszyła w stronę portu i tłumów tam zgromadzonych.

Okręt był wypełniony po brzegi. Każdy metr barierki, każdy skrawek pokładu mieścił czterech lub pięciu ściśniętych jak sardynki żołnierzy, którzy wychylali się albo machali do kogoś na brzegu. Pozostali dalej wchodzili po trapie, niekończąca się gąsienica zgarbionych, niechętnych mężczyzn. W porcie też roiło się od ludzi: oficerowie Wehrmachtu gawędzący z miejscowymi policjantami, a robotnicy portowi z tajniakami. Błede twarze jaśniały nad zielonymi mundurami, większość paliła lub wpatrywała się w horyzont. Kilku było wyraźnie wzburzonych, chyba nie mieli złudzeń, co ich czeka. Mimo starań hitlerowskiej maszyny propagandowej prawda docierała do najniższych szczebli armii, przez zaszyfrowane listy, urywki wiadomości BBC, z szeptów personelu wojskowego we Francji. Opowieści niosły się lotem błyskawicy: klęska bitwy pod Moskwą, całe dywizje zmiecione przez Armię Czerwoną i sowiecką zimę. Ci młodzi ludzie mieli pełną świadomość, że tracą bezpieczną przystań Europy Zachodniej na rzecz lodowego piekła. Ponoć niektórzy młodzi Niemcy popełniali samobójstwo po otrzymaniu nowych rozkazów.

Hedy najpierw zauważyła Dorotheę, opodal trapu, i precyzyjnie się w jej stronę. Dorothea miała na sobie sztywne czarne palto babci, które wprawdzie lata świetności miało za sobą, lecz pasowało do dramatycznych okoliczności, a granatowy szal na krótkich włosach nadawał skórze jeszcze bledszy odcień. Stała na wprost Antona z czerwonymi, pełnymi łez oczami, i wpatrywała się w niego, jakby chciała wryć w pamięć każdy jego szczegół. Anton stał wyprostowany, sam jeden przeciwko całemu światu. Hedy po raz pierwszy widziała go w pełnym umundurowaniu i ten widok przyprawił ją o gęsią skórę.

Zauważył ją i zacisnął wargi, próbując się uśmiechnąć.

– Cieszę się, że przyszłaś.

– No przecież. A więc... to już. – Zawstydził ją ten frazes, ale miała pustkę w głowie. – Ile potrwa przeprawa?

Anton wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Hedy widziała, że Dorothea się trzęsie. Oddychała chrapliwie; Hedy nie wiedziała, co poczną, gdyby dostała teraz ataku astmy.

– Jak się trzymasz, Dorotheo?

Tamta próbowała się uśmiechnąć, lecz usta niebezpiecznie jej zadygotały.

Anton pocałował ją w policzek i ścisnął jej ramię.

– Kochana, dasz nam chwilę? To nie potrwa długo, obiecuję.

Dorothea skinęła potulnie głową i odeszła na bok, korzystając z okazji, by przycisnąć koronkową chusteczkę do oczu. Hedy stała w milczeniu i czekała, z góry wiedząc, co usłyszy.

– Hedy, obiecuj mi, że będziesz się nią opiekowała. – Chwytał jej dłoń i prawie zmiądzzył oburącz. – Jej babcia niedomaga, pewnie długo nie pożyje, a nic nie wskazuje na to, że rodzice zmiękną. Jest silniejsza, niż wygląda, ale to ponad jej wytrzymałość.

Hedy otworzyła i zamknęła usta w poszukiwaniu właściwych słów.

– Postaram się, Antonie, naprawdę. Ale nie jestem pewna, czy...

– Nie proszę cię, żebyś kochała ją tak jak ja, proszę tylko, żebyś ją wspierała. Mieszkasz blisko, możesz wstąpić po drodze z pracy, zajrzeć do niej, rozumiesz? – Ucisk przybrał na sile, aż chrupnęły kości. – Oczywiście też możesz na nią liczyć. Jesteście teraz zdane na siebie. – Przygryzł wargę, aż mu zbielała. – Gdybym miał na to wpływ...

Hedy przymknęła oczy. Zbyt wiele tego smutku. Jak mają to znieść, tę nieustanną lawinę nieszczęść? Poczowała desperację w jego uścisku i zrozumiała, że może odpowiedzieć tylko jedno.

– Oczywiście, że zaopiekuję się Dorotheą. Obiecuję.

Jej słowa go uspokoiły, raz jeszcze uścisnął jej dłoń, po czym ją puścił.

– Żadnych wieści od Kurta, jak mniemam?

– I nie będzie. To koniec. – Wypowiedzenie tych słów na głos uchyliło niebezpieczną furtkę i Hedy przełknęła z wysiłkiem. Nie czas na łyzy, jest mu to winna i nie da Niemcom satysfakcji. Zadarła podbródek. – Nic się nie martw, damy sobie radę. Bądź ostrożny.

Na znak Antona Dorothea ponownie przypadła do jego boku i zatopiła twarz na jego ramieniu. W tej samej chwili rozległ się ochrypły okrzyk: *Letzter Aufruf! Alle an Bord! Schnell!*³ Tłum napierał z mocą w stronę pomostu, na sekundę unosząc ich ze sobą. Hedy złapała Antona za rękę i pocałowała w policzek, a Dorothea przywarła ustami do jego ust i tak ścisnęła go za szyję, że Hedy naszła obawa, iż zrobi mu krzywdę. Potem zniknął wewnątrz zielonej gąsienicy, fala rozpaczy dosięgła wyższych pokładów, a Hedy

i Dorothea zostały na brzegu, machając do brzoskwiniowej kropki będącej obliczem Antona, z twarzami wykrzywionymi w parodii uśmiechu. Stały tam, dygocząc na bruku, gdy rozwiązano cumy i rzucono łańcuchy, i patrzyły, jak statek z wolna kieruje się do wylotu zatoki i ku otwartemu morzu, a Dorothea ten jeden, jedyny raz milczała.

Gdy w końcu nie było już na co patrzeć, stanęły twarzą do siebie. Hedy położyła rękę na ramieniu Dorothei, wiedząc, że to jej pierwszy dzień na posterunku.

– Pójdziemy napić się czegoś ciepłego?

Dorothea uniosła przemoczoną chusteczkę do oczu.

– Dziękuję, Hedy, to miło z twojej strony. Ale chcę wrócić do domu. – Odwróciła się, po czym zakręciła w miejscu. – Wybacz, byłabym zapomniała. Przyszło do ciebie wczoraj. – Wcisnęła jej kopertę, po czym ruszyła z wolna nabrzeżem w czarnym płaszczu rozwianym na wietrze, jak tragiczna bohaterka w ostatniej scenie romantycznego filmu.

*

Ukradkiem trzymając list pod biurkiem, Hedy przeczytała go raz jeszcze. Była to kremowa kartka, mniejsza od zwykłej papeterii, pognieciona od ciągłego składania. W górnym rogu na okrągłej pieczęcie widniał napis *Le Comité international de la Croix-Rouge, Genève*, na dole zaś znajdowało się dopuszczalne dwadzieścia kilka słów, które na zawsze wryły jej się w pamięć.

Mam nadzieję, żeś zdrowa. Rodzice wyjechali w styczniu na wakacje. Data powrotu niepewna. Przesyłają pozdrowienia. Cisza o Rice i pozostałych. Przeprowadzam się, adres nieaktualny. Elke

Hedy oparła się na krześle i potoczyła wzrokiem po biurze. Tego ranka dopisało jej szczęście: nadzorczyńni Vogt gasiła przy swoim biurku jakiś administracyjny pożar, prawdziwy lub wydumany, a stukanie maszyn do pisania, ten denerwujący hałas i wstęp do wielu uporczywych migren, dzisiaj stał się krzepiącym dźwiękiem, który pomógł zagłuszyć resztę świata. Wprawnym ruchem złożyła z powrotem list i umieściwszy go w torebce na oparciu krzesła, zajęła się tłumaczeniem tekstu o jakości surowców, udając pochłoniętą bez reszty.

List do Elke był w zasadzie ślepym trafem. Nie widziały się od lat, Hedy nawet nie była pewna, czy rodzina wciąż mieszka pod tym adresem, w dodatku istniało duże ryzyko, że dawna koleżanka wyda ją lub rodziców. Kiedyś się przyjaźniły, ale ktoś może wiedzieć, jakie zmiany dokonały się w ludziach, odkąd zapanował ten obłąd. Elke może należeć już do Bund Deutscher Mädel. Jakoś jednak list dotarł, a ona zdobyła się na odwagę i zadała sobie trud, żeby odpisać.

Wakacje. Matka musiała kiedyś użyć tego słowa w rozmowie z Elke na określenie wywózki, i Elke je powtórzyła, wiedząc, że Hedy zrozumie, o co chodzi. Teraz, ilekroć zamykała oczy, widziała odkrytą ciężarówkę i tłumy wpychanych do niej Żydów, dźganych w plecy lufami karabinów. Widziała rodziców, wyczerpanych i zatrwożonych, siedzących na czyjejs walizce z mizernym dobytkiem w objęciach. A potem długa, straszliwa podróż do... na tym jej umysł się zamykał. Dotarła do kresu okropności, które mógłby przyjąć.

Zegar wskazywał porę obiadu. Nie jadła śniadania, lecz w swoim obecnym stanie nie mogła myśleć o jedzeniu. Od chwili, gdy tego ranka otworzyła oczy ze świadomością tego, co musi zrobić, pieczenie w przełyku przyprawiało ją o mdłości. Ale minęły tygodnie, odkąd Dorothea wręczyła jej list w porcie i po wielu bezsennych nocach zostało jej tylko jedno wyjście. Widząc, że Vogt wciąż jest pochylona nad biurkiem, Hedy narzuciła torebkę na ramię i wymknęła się bezszelestnie niby do stołówki, mimo rozzłoszczonych spojrzeń Bawarek nadal zajętych pracą.

W wiosennym słońcu pospieszyła zakurzonymi, nierównymi ścieżkami w stronę oficcerskiej kantyny. Pięćdziesiąt metrów przed wejściem znajdował się zarośnięty trawnik, skąd roztaczał się widok na warsztaty. Udając, że wiąże sznurowadło, odczekała kilka chwil, na poły mając nadzieję, że się nie minęli, na poły prosząc Boga, żeby nie przyszedł. Wtedy go zobaczyła. Ta charakterystyczna sylwetka, ten krok – i śmiech, który tak dobrze знаła. Nie gardłowy i głęboki jak dawniej, może nieco wymuszony, kiedy odpowiedział uprzejmie na żart kolegi, ale jego wspomnienie skłoniło ją do uśmiechu. Zauważył ją w tej samej chwili i zareagował odruchowo, małym krokiem w tył, jak koń pod złym jeźdźcem. Stała nieruchomo, z utkwionym w niego wzrokiem, w nadziei, że wyczyta to z jej twarzy. I faktycznie, sekundę później przeprosił towarzyszy i ruszył w jej stronę.

Zrazu jego bliskość sprawiła, że Hedy prawie zapomniała, po co tu przyszła. Wydał jej się wyższy, przystojniejszy, schudł nieco, lecz zapach potu i oleju silnikowego był jak powrót w przeszłość, a jego wzrok osadził ją w miejscu. Nic nie powiedział, tylko wyczekująco stanął przed nią z nieprzeniknioną twarzą.

– Chciałabym prosić cię o przysługę. – W końcu wyrzuciła to z siebie i wpatrywała się w niego w oczekiwaniu odmowy. Ale w odpowiedzi przyjaźnie skinął głową, na zachętę; musiał się domyślić, ile ją to kosztowało. – Dostałam to. – Wyjęła z torebki list z Czerwonego Krzyża i mu podała, bacząc, żeby ich dłonie się nie zetknęły. Na ścieżce zaroilo się od ludzi spieszących na obiad i Hedy nerwowo zerkała na boki, kiedy czytał. Może powinna była wybrać bardziej ustronne miejsce. Jednakże większość ludzi wyglądała na pochłoniętych myślą o obiedzie i mijała ich bez zainteresowania.

Kurt oddał jej list.

– Myślisz, że zabrano ich do getta albo więzienia?

– Nie mam co do tego wątpliwości. Może zostali już rozstrzelani.

– Przykro mi, Hedy, naprawdę. – Pokonała ją jego życzliwość i musiała wbić paznokcie w dłoń, aby zebrać myśli. – Ale co miałbym według ciebie zrobić?

– Chcę wiedzieć... – W swoim drżącym głosie usłyszała pęknięcia. – Chcę wiedzieć, dokąd ich zabrano, co się z nimi stało.

– Ale jak mogę pomóc?

– Pomyślałam, że może masz znajomości na wschodzie, może ktoś w Berlinie mógłby sprawdzić w rejestrze... – Obleczona w słowa, myśl wydała się na wskroś głupia. To jasne, że Kurt wie tyle samo, co ona. W obawie, że on weźmie to za pretekst do rozmowy albo może coś więcej, dorzuciła pospiesznie: – Zdaję sobie sprawę, że to mało prawdopodobne, ale nie wiem, co począć. Jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. – Wtedy to zobaczyła, dawną czułość, spojrzenie, które kiedyś usypiało lęki, od którego świat stawał się bardziej znośny. Zawstydzona poczuła, jak łza wymyka się z oka i płynie w stronę ust. Podniósł rękę i delikatnie wytarł ją kciukiem, jakby nie dosyć było tej męki.

– Niczego nie gwarantuję i to może potrwać. Ale postaram się, masz moje słowo. – Czułość znikła, wyparta czymś na pograniczu smutku i rozczarowania.

Hedy otarła kolejną łzę, usiłując stać prosto.

– Dziękuję. Nadal jestem w Bloku Siódmym, zawsze mnie tam znajdziesz.

Odwróciwszy się, ruszyła pospiesznie do biura, myśl o zatłoczonej stołówce była nie do wytrzymania. Siądzie do pracy, żeby pisać raporty aż do szóstej, łupiąc palcami w maszynę, z głową pełną ilości cementu i adresów firm dostawczych. Będzie unikać kontaktu wzrokowego z Vogt i Derekiem siedzącym obok, może nawet jej nie zauważą. Następnie pospieszy do domu, przełknie nędzny posiłek i padnie na łóżko, możliwie jak najszybciej. Ukryje twarz w poduszkę, żeby nie usłyszał jej nikt zza ściany, i będzie płakać i wyć jak ranne zwierzę, aż do białego rana.

*

– Ale dlaczego? Dlaczego nas do tego zmuszacie?

Głos Dorothei przebił się przez wrzawę, w jej oczach malowało się niewinne osłupienie. Hedy nerwowo zerknęła na niemieckiego szeregowca za prowizorycznym stołem, który porwał radio Dorothei i pchnął je po blacie ku rosnącej stercie innych odbiorników. Bała się, jak zareaguje, ale spostrzegła zaraz, że jego twarz nie zdradza agresji, tylko zmieszanie. Nie znał angielskiego.

– Chodźmy już, Dorotheo – mruknęła Hedy, szacując liczbę uzbrojonych Niemców i wyjść ewakuacyjnych. – On cię nie rozumie. A ja chcę stąd wyjść.

Zasadniczo nie miała ochoty na wizytę w ratuszu, obwieszonym swastykami siedlisku Niemców, pobyt tu przyprawiał ją o ciarki. Ale kiedy w zeszłym tygodniu zapowiedziano w prasie konfiskatę odbiorników radiowych, Dorothea poprosiła ją o pomoc

w przytarganiu ciężkiego urządzenia w drewnianej obudowie. Hedy musiała się zgodzić, pomna obietnicy złożonej Antonowi.

Potoczyła wzrokiem dokoła. Pomieszczenie było pełne wściekłych, mamroczących wyspiarzy, którzy stawiali z hukiem na stołach ukochane radia i wrywali Niemcom pokwitowania, czerwoni na twarzach. Zapowiedź, że zostaną zwrócone po zakończeniu wojny, była tak żalosnym kłamstwem, że zakrawała na żart: wszyscy wiedzieli, że po południu znajdą się na statku płynącym na kontynent, a na początku przyszłego tygodnia ozdobią salony członków partii nazistowskiej. Tymczasem miejscowi będą teraz kompletnie odcięci od prawdziwej wojny i zdani na dezinformację prasy kontrolowanej przez Niemców. Hedy, bez radia od ponad roku, przywykła do długich wieczorów bez muzyki i ludzkich głosów, ale stałe wizyty u Dorothei na wspólne słuchanie BBC stanowiły istotną łączność ze światem, nawet jeśli spędzały przy tym dużo czasu nad starym atlasem geograficznym. Ów nowy wymiar izolacji przerażał ją tak jak wszystkich.

Marzyła, by znaleźć się na anonimowej ulicy, i pociągnęła Dorotheę za rękę, lecz ta nie dawała za wygraną i wciąż nagabywała żołnierza.

– Już pan dobrze rozumie, co do pana mówię – mówiła. – Chciałabym wiedzieć, czemu to ma służyć, pana zdaniem.

Hedy ze zdumieniem obserwowała to natarcie. Dorothea, która nigdy nie postawiła się Antonowi przy ludziach (ani zapewne w cztery oczy), stawiała się teraz wrogiemu żołnierzowi. Rozejrzawszy się, spostrzegła, że inny Niemiec, potężnie zbudowany, z karabinem przewieszonym przez pierś, obserwuje zajście z drugiego końca sali. Wiedziała, że wystarczy jeden znak i obie zostaną aresztowane. Widziały rano, jak jeden z miejscowych zostaje wywleczony po przepychance w kolejce, która wylewała się aż na chodnik.

Tym razem mocniej uścisnęła rękę Dorothei.

– Mówię poważnie, musimy natychmiast stąd wyjść.

Serce podskoczyło jej w piersi, gdy czyjaś ręka pchnęła ją w stronę wyjścia. Zobaczyła, że Dorotheę też ktoś popycha, z taką siłą, że znalazły się w połowie sali, zanim się obejrzała. Z ulgą spostrzegła zmęczonego pana o siwych, przeredzonych włosach, w okularach w drucianej oprawie, z nieruchomym, lecz anielskim uśmiechem na twarzy.

– Odpowiem na wasze pytania, drogie panie, proponowałbym jednak porzucić dalszą dyskusję w tym miejscu. – Głos miał równie znużony jak twarz, Hedy rozpoznała jednak miejscowy akcent, podobny do akcentu doktora Maine'a. Dalej pchał je naprzód, aż wszyscy troje stanęli na chodniku, mrużąc w rześmistym blasku słońca oczy nawykłe do półmroku sali.

Podał im rękę na powitanie.

– Deputowany Ned Le Quesne, miło mi panie poznać. – Uścisnęły mu dłoń. Nazwisko nic Hedy nie mówiło, ale Dorothea spoglądała na niego z zaciekawieniem.

– Ze Zgromadzenia? – zapytała.

– Departamentu Pracy, za moje grzechy. – Uśmiechnął się, ale Hedy wyczuła w jego słowach cień autentycznego żalu. – Wybaczcie obcesowość, lecz chciałem oszczędzić wam kłopotów. Niestety, szwaby się uparły, doszło już do kilku aresztowań.

– Chciałam tylko wiedzieć dlaczego. Dlaczego zabierają nam radia? – naciskała Dorothea.

Le Quesne spojrział przez ramię i dał znak, by przeszli nieco dalej.

– Obawiam się, że z czystej zemsty. Ostatnio szala zwycięstwa przechyliła się na stronę aliantów, więc chcą nas ukarać, a zarazem odciąć od wiadomości, by podkopać morale. Ale my na to nie pozwolimy, prawda?

Hedy obejrzała się na ratusz, gdzie dwóch młodych mężczyzn kłóciło się z niemieckim szeregowcem, zwracając uwagę innych żołnierzy. Kobieta po sześćdziesiątce wyszła ze środka, łkając w rękaw mężowi.

– No przecież! – Dorothea ponownie uścisnęła mu dłoń. – Codziennie modłę się za naszych. – Hedy straciła dech na bezmiar ironii ukryty w jej słowach, ale Le Quesne życzył im dobrego dnia i zawrócił do budynku.

Dorothea spojrziała na nią.

– Ogromnie dziękuję ci za pomoc, Hedy. Sama nie dałabym sobie rady. Wpadniesz wieczorem? Wystarczy mi ziemniaków na kotleciki, jeśli przyniesiesz ze dwie marchewki.

Hedy się zawahała. Wiadomości BBC oraz rozmowy, które po nich następowały, czyniły wizyty na West Park Avenue znośnymi, gdyż tylko dzięki nim Dorothea nie paplała o gwiazdach filmowych albo, co gorsza, o swojej tęsknocie za Antonem. Myśl o wieczorze wypełnionym jedynie rozmową nie napawała optymizmem. Lecz obietnica złożona staremu przyjacielowi nie dawała jej spokoju.

– Dziękuję, może przyjdę na godzinę. – Osłoniwszy ręką oczy, spojrziała w bezmiar błękitu, czując, jak słońce pali jej skórę. – Pierwszy wieczór bez radia to nic przyjemnego. Pamiętam.

– Och, posłuchamy wiadomości – zapewniła wesoło Dorothea.

– Jak to?

– Oddałam radio, tak jak kazali. Ale zostawiłam to ze strychu. – I rozradowana pofrunęła lekkim krokiem w stronę parku, a Hedy odprowadziła ją zdumionym spojrzeniem.

*

– Jeszcze raz to samo? – Kurt z szerokim uśmiechem uniósł dwa palce pod adresem chudej, znudzonej kelnerki. – Mają tu wyborną brandy. Muszę kupić butelkę.

Wildgrube osuszył kieliszek – czwarty, jeśli Kurt dobrze liczył – i na potwierdzenie oblizwał wargi. Mimo przyćmionego światła w klubie Kurt widział, że dostał rumieńców, na podobieństwo przesadnie uróżowanych policzków tutejszych dziwek. Ruchy miał zamaszyste i taksował zażawionymi oczami świeżą dostawę normandzkich kurew,

urzeczony własnym wyśmienitym samopoczuciem. Kurt podejrzewał, iż nieczęsto bywa gdziekolwiek zapraszany.

– No więc, mój ojciec... – Wildgrube zaciągnął się papierosem i mówił dalej, puszczając słowa Kurta mimo uszu – ...pracował w fabryce. Nie dbał o wygląd. Targał mnie za ucho, kiedy wydawałem pieniądze na koszule dobrej jakości i porządne buty, nazywał ciotą. – Odrzuciwszy głowę, ryknął gromkim śmiechem. Kurt mu zawtórował, korzystając z okazji, by wylać swoją brandy do aspidistry na parapiecie. – Spójrz na mnie teraz! Same spinki... – Zaprezentował śnieżnobiałe mankiety koszuli, jakby wystawiał je na sprzedaż. – Zawsze odprasowane bez zarzutu. Mówię ci, nasza gospodyni... brzydka jak noc, ale Boże jedyny, jak prasuje! Gulasz też robi niezły! – Poklepał się po brzuchu i znowu wybuchnął śmiechem.

Kurt udał, że pije z prawie pustego kieliszka, myśląc sobie, że kobiecina pewnie z uciechą dodaje szczynty do każdej potrawy, którą mu serwuje. Spojrzał na zegar, wpół do ósmej. Było to czwarte wyjście z Wildgrubem do klubu w ciągu trzech tygodni, a doświadczenie podpowiadało mu, że do ósmej powinien móc skierować rozmowę w pożądanym kierunku. Grunt to wychwycić moment, zanim Wildgrube, zamiast się zwierzać, uśnie przy stole.

Pierwsze zaproszenie na „męski wieczór” – Kurt celowo użył tego określenia, wiedząc, że połechce ego szpiega – spotkało się z rezerwą. Wildgrube miał syndrom dziecka nękanego przez rówieśników i umiał wyczuć, gdy ktoś patrzy na niego z góry, toteż Kurt musiał się nieźle natrudzić, by uśpić jego podejrzenia. Wiedział jednak, że wszelkie ewentualne wątpliwości lub zastrzeżenia względem jego osoby znikną pod naporem zaciekawienia i żądzy aprobaty. Przy pierwszych trzech okazjach działał ostrożnie, ograniczając rozmowę do architektury niemieckiej oraz idealnego rozmiaru miseczki; dorzucał przy tym strzępy nieistotnych informacji o sobie i współlokatorach. Zaczynał dostrzegać, że w starciu z alkoholem Wildgrube ponosi klęskę i rozwiązuje mu się język. Niewiarygodne, jak z taką przypadłością dochrapał się awansu, ale o Göringu można było powiedzieć to samo. Tak czy inaczej, Kurt czuł przez skórę, że odpowiednia dawka rozrywki tego wieczoru umożliwi mu ofensywę. A wyglądało na to, że Wildgrube bawi się wyśmienicie.

– Wspaniale. Uwielbiam to miejsce.

Kurt przytaknął.

– Miło wyrwać się z kieratu, spędzić trochę czasu wśród swoich. Nie, żebym grał w twojej lidze, Erichu. Masz wszędzie dostęp, zadajesz się z grubymi rybami... dobrze mówię?

Wildgrube z zachwytem wzruszył ramionami, łasy na pochlebstwo.

– Znam mnóstwo ludzi. Nie tylko tutaj.

Kurt zakręcił kieliszkiem.

– Masz na myśli Berlin?

– A jakże. Mam tam przyjaciół, którzy dobrze się urządzili. Krąg wtajemniczonych, rozumiesz? – Machnął wypielęgowaną dłonią, jakby odganiał niewidzialną muchę. – Często tu przychodzisz?

Kurt wziął pod uwagę, że informacja może zostać sprawdzona.

– Niezbyt często. Nie chcę się zeszmacić!

Wildgrube zarechotał i klepnął go w kolano.

– Widzisz tamtą? – Wskazał na blondynkę w opiętej, skąpej sukience, na oko siedemnastoletnią, która rzucała włosami w oczekiwaniu, kto da więcej. Kurt był ciekaw, czy jej matka wie, co robi i gdzie jest. – Później ją przelecę. Fantastyczna dupcia, nie sądzisz? – Nachylił się konspiracyjnie. – Choć słyszałem, że niektóre z nowych nie są czyste. Lepiej uważać.

Kelnerka z szerokim, sztucznym uśmiechem postawiła przed nimi dwa drinki. Kurt wznosił toast i rozochocony Wildgrube mało mu nie stłukł kieliszka.

Uznał, że pora zmienić taktykę.

– Cóż nowego w branży, Erichu? – Pozornie niewinne pytanie zawisło w powietrzu. – Kto załatwił ci za skórę ostatnio?

Wildgrube wydał pogardliwie cienkie usta.

– Och, sam wiesz. Zawsze to samo. Nielegalni handlarze. Durni *Einheimische*, którzy uważają się za Różę Luksemburg. Masz pojęcie, że uciekło kilku robotników, których tu ściągnęliśmy? Okazało się, że miejscowi ich ukrywają! – Jednym haustem opróżnił do połowy kieliszek. – Co za durnie, niech ich zgwałcą albo obrabują!

– A co tam w kraju? Czy to prawda, że Führer planuje nową ofensywę przeciwko Sowiecom?

Wildgrube postukał się w nos na znak, że Kurt przeholował. Ten, świadomy błędu, wznosił rękę i odwrócił głowę, jakby ustępował przed siłą wyższą. Jednak po chwili tajniak podjął zakazany wątek, topiąc w kieliszku resztki zdrowego rozsądku.

– Szef odwała dobrą robotę. Rzecz jasna, najlepsze jest tajne przez poufne.

– Wypijmy za to. – Kurt ponownie wznosił kieliszek, a Wildgrube wypił do dna. Kurt nachylił się ku niemu i rozejrzał ostentacyjnie dla większego efektu. – Daj spokój, uchyl rąbka tajemnicy. To dotyczy Żydów, mam rację?

Wildgrube pogroził mu palcem jak pobłażliwy rodzic grozi niegrzecznemu dziecku.

– Aleś się uwziął, Rümmele! Ma się rozumieć, że cholernych Żydów. W końcu znalazł rozwiązanie. Genialne. Ale... – Wszystkie palce poszły w górę na znak, że dalej ani rusz. – Ani słowa więcej. Powiedz... – Skinął na Kurta, żeby się przysunął. – Którą ze zdzir sobie upatrzyłeś?

Kurt wyszczerzył zęby i udał, że podejmuje zabawę, po czym z namysłem potoczył wzrokiem po sali. Wystrój był kiczowaty, złote kinkiety i czerwone, aksamitne fotele za dnia musiały robić upiorne wrażenie. Gdziekolwiek spojrzeł, tam polegiwali pijani oficerowie i wynędzniałe kobiety o zaciętych twarzach. Fischer siedział w kącie i rznął

w karty z grupą przybocznych. Boże jedyny, pomyślał Kurt, czemu to sobie robił, w dodatku dla kobiety, której nie chciał więcej widzieć? Przed oczami zamajaczył mu obraz Hedy. Miękkie usta i oczy barwy morza, uśmiech tonący w poduszce. Ostatnie miesiące bez niej były najbardziej nieszczęśliwymi w jego życiu; zdawało mu się czasem, że nie cierpiał tak nawet po śmierci matki. Kilkanaście razy szedł na New Street i stawał przed jej domem w nadziei, że ujrzy w oknie skrawek włosów bądź bladej skóry. Raz zapędził się nawet aż pod drzwi. Ale zawsze coś go powstrzymywało – дума, a może poczucie zdrady. Mimo to inne kobiety go nie pociągały.

Wildgrube czekał na odpowiedź ze sprośnie wywalonym ozorem. Kurt wskazał na chybił trafił smukłą brunetkę przy kontuarze.

– Tamtą.

Wildgrube znowu się zaśmiał. Obecnie wszystko go bawiło.

– Oho, lubisz wysokie i smagłe, co? Dla mnie musi być blondynka. Miła Aryjka. – Sięgnął po kieliszek Kurta, myśląc go z własnym. – Niedługo tylko takie zostaną, zobaczysz! Żadne męty się nie uchowają. Ani jedna.

Kurt wyczuł, że furtka się uchyla, i upomniał się w duchu, żeby nie naciskać, bo znów się zatrzaśnie. Jednocześnie zrozumiał, że ma niewiele czasu: Wildgrube tak się spił, że ledwo klecił zdania.

– Miejmy nadzieję! Ale to nie będzie łatwe.

Wildgrube prychnął.

– Bułka z masłem. Widzisz, oni nie mają pojęcia. Nie wiedzą, dokąd jada, co ich czeka. – Język mu się plątał. – Jeden gość z SS pokazał mi zdjęcia. Genialne, jak ich pakują, szast-prast i po sprawie.

Kurt nawet nie drgnął.

– Pakują?

Uśmiech Wildgrubego miał prześladować go latami.

– I to jest piękne. – Skinął na Kurta, żeby się przysunął. – Tylko ani mru-mru. Niech to zostanie między nami, jasne?

*

Hedy spała jak kamień, gdy rozległo się łomotanie. W pierwszej chwili ogarnęła ją wściekłość: po tylu bezsennych nocach zasnęła w końcu o ludzkiej porze, a jakiś idiota... Najpierw myślała, że hałas dochodzi z innego mieszkania. Wreszcie zrozumiała, że ktoś stoi przed wejściem, na ulicy. Ktoś domagał się, żeby go wpuścić, a ktoś inny – zapewne pani Le Couteur – poszedł mu otworzyć. Hedy spojrzała na zegar, dochodziła trzecia. Siadła na łóżku i nadstawiła uszu. Oczami wyobraźni ujrziała hitlerowskich żołnierzy z nakazem aresztowania. Porwała z krzesła wełniany sweter, podbiegła do drzwi i przycisnęła do nich ucho. Potem usłyszała kroki na schodach i znajomy głos.

– Hedy? Hedy, proszę. Wiem, że tam jesteś.

Odsunęła rygiel i otworzyła drzwi, serce mało nie wyskoczyło jej z piersi. Korytarz tonął w ciemności. Kurt chwiał się w progu z nastroszonymi włosami i dzikim wyrazem twarzy. Osunął się na nią, aż musiała cofnąć się kilka kroków. Objęła go ostrożnie i wciągnęła do mieszkania.

– Kurt, co się stało? Co ty tu robisz? – Ukrył twarz w jej szyi, zdawało się, że płacze. Hedy wyplątała się z jego objęć i zaprowadziła do krzesła, na które padł, jakby tydzień nie siedział. Poczowała od niego kwaśny, gryzący zapach alkoholu. Uniosła roletę zaciemniającą, żeby w pokoju zrobiło się widniej, po czym usiadła obok niego.

– Opowiadaj, co się stało.

Spojrzał na nią, blask księżyca oświetlił mu jedną stronę twarzy. Widziała, że kipią w nim emocje spotęgowane alkoholem, lecz jej widok przywrócił go do rzeczywistości. Delikatnie odgarnął jej kosmyk z twarzy, jak wówczas kiedy byli kochankami.

– Przepraszam, Hedy.

– Za co? – Przez głowę przemknęło mu wiele możliwych powodów.

– Nie wierzyłem ci, nie wierzyłem w nic. Myślałem, że to plotki. Nie przypuszczałem, że ludzie mogą tak postępować.

– Jak? O czym ty mówisz?

– Naprawdę sądziłem... mówili, że przenoszą ich na wieś. Nie wiedziałem. Przysięgam ci, że nie wiedziałem.

Słowa zaczęły płynąć: fakty przytoczone przez Wildgrubego i brakujące elementy, które Kurt sam uzupełnił. Tajne plany, likwidacje gett, palenie synagog z Żydami zamkniętymi w środku, łapanie, wagony bydłce, obozy zagłady. Oddzielanie kobiet od mężczyzn na wejściu, selekcja więźniów, odbieranie dobytku, pasiaki, praca przymusowa, „prysznice”, komory wypełnione ciałami.

Hedy siedziała w milczeniu obok niego, a słowa płynęły, czasem się nimi dławił, czasem lały się z niego strumieniami. Padały na nią jak płonące iskry, parzyły. Krematoria... komory... gaz. Gdy słowa stały się obrazami, a obrazy rzeczywistością, zaczęła się od niego odsuwać. Miała ochotę go uderzyć, żeby zamilkł, żeby wiedza nie dotarła do jej mózgu, ukarać za to, że jest jednym z nich. Jednocześnie pragnęła go przytulić, zapewnić, że nie mógł wiedzieć, bo któż mógłby osiąść tak nieludzką, niepojętą wiedzę? Gdy opowiadał dalej, poczuła, że maleje, kurczy się jak Alicja w Krainie Czarów. Gdy dotarł do jej rodziców, że jeśli ich wywieziono, to najpewniej nie żyją, była drobinką człowieczeństwa na bezmiernej połaci ziemi, maleńką i pozbawioną znaczenia.

Wreszcie zdania zaczęły się urywać, opowieść dobiegła końca i zapadło ponure milczenie. Hedy podniosła się z wysiłkiem, dowlokła do zlewu i wymiotowała przez kilka minut, uczepiona krawędzi, czując na twarzy mokre zacieki, zbyt odrętwiała, żeby się poruszyć. W końcu wyprostowała się, przepłukała usta i poszła do łóżka. Kurt usiadł obok i siedzieli tak bez słowa, wpatrzeni w księżycową poświatę na poduszkach. Musiała na

chwilę zasnąć, ponieważ kiedy się ocknęła, w miejsce poświaty pojawiła się szarość i zarysy mebli, a ich twarze częściowo odzyskały normalną barwę. Za oknem rozległy się nawoływania pierwszych ptaków.

Kurt położył jej rękę na kolanie.

– Jutro pójdę do College House i zabiję szefa sztabu.

– Nie pleć głupstw.

– Mówię poważnie. Muszę coś zrobić. Miałaś rację: brałem w tym udział, jestem współodpowiedzialny. Muszę odpokutować.

– Nie zdążyłbyś wyciągnąć broni.

Potrząsnął głową.

– Nieważne, co się ze mną stanie.

– Nic by to nie dało. Przysłałiby z Berlina kogoś na twoje miejsce.

– W takim razie pojadę do Berlina i rozwalę, ilu się da. Nie będę siedział z założonymi rękami, Hedy. Muszę to jakoś naprawić. Zasłużyć na twoje przebaczenie.

Poczuła przyływ czułości. Ujęła oburącz jego twarz.

– Posłuchaj, co ci powiem. Zapomnij, co mówiłam kilka miesięcy temu, byłam wściekła. Nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za to, co oni robią. Sam podkreślałeś, że nie miałeś wyboru, tak jak Anton. I przestań wygadywać takie rzeczy. Żadna samobójcza misja na wyspie nie ocali ani jednego Żyda.

– Ale ja muszę coś zrobić... – mówił coraz słabszym głosem, jak dziecko.

– Przecież zrobiłeś, nie rozumiesz? Uratowałeś mnie! Gdyby nie ty, trafiłabym do jednego z takich obozów! – Ścisnęła mocniej, aż twarz zbielała mu pod jej palcami. – To nie wojna ani nienawiść, tylko dobroć, miłość! Taki jesteś!

Oparł jej ręce na barkach i jakby się uspokoił.

– Walczmy więc, oboje! Nie wiem, jak dokładnie, ale możemy spróbować, prawda? Jeśli mamy siebie nawzajem, oboje mamy szansę. Może wyjdziemy z tego żywi, razem. Proszę.

Spojrzała na niego, wiedząc, że mówi szczerze, i coś w niej drgnęło. Nadzieja. Odetchnęła głęboko.

– Nie przestałam kraść kuponów na benzynę – wyszeptła.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby odezwała się w obcym języku. Wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Nie przestałaś kraść kuponów? Nie przestałaś? – Poczuła, jak z jego ciała uchodzi napięcie, aż osłabł ze śmiechu i padł na łóżko, pociągając ją na siebie. – Ależ jestem z ciebie dumny, Hedy! Tak bardzo cię kocham!

Przyciągnął ją jeszcze bliżej i pocałował z mocą, która sprawiła, że coś w niej stopniało, obudziła życie pośród zgliszcz, po czym dwa ciała się złączyły i tak zastał je świt.

3 Ostatnie wezwanie! Wszyscy na pokład! Szybko! (niem.).

Nadszedł wiosenny przypływ. Woda w zatoce Belcroute zdążyła już się wycofać, a kamienista plaża przechodziła w lśniący, rzadko odsłaniany piasek na skraju oceanu. Pod niezmaconą, turkusową taflą majaczyły rozmazane zarysy skał. Jak rekiny, myślała Hedy, przyczajone pod powierzchnią. Poranek był upalny i pogodny, ale i tak zadrzała. Kurt objął ją mocniej, jakby czytał jej w myślach. Wtuliła się w niego z westchnieniem i oparła mu głowę na ramieniu.

Kilka lat temu turyści byliby zachwyceni taką pogodą. Kobiety w kostiumach kąpielowych leżałyby na plaży w zatoce St Brelade, dzieci pluskałyby się w płytkiej wodzie. Byłyby lody i koce, a w powietrzu rozbrzmiewałyby wesołe okrzyki. Dziś ze świecą było szukać skrawka wybrzeża wolnego od min i drutu kolczastego. W dni takie jak ten widok fortyfikacji był dla Hedy szczególnie dotkliwy.

Od czasu pamiętnej rozmowy z Kurtem wiele rzeczy sprawiało jej przykrość. Wysoki, kamienny mur, kraty w oknach, pociąg w zatoce St Aubin, przewożący materiały budowlane. Dziecięcy płacz, starczy kaszel. Syk piecyka gazowego. Wszystko, co widziała i czego dotykała, przenosiło ją w świat koszmaru. Widziała kwadracik nieba przez szparę wagonu, którym ich przewożono. Zataczała się w tył, gdy zza otwartych drzwi wypadały ciała, czuła smród odchodów na podłodze i słyszała szcęk drzwi pieca, w którym się znajdowała. I rozmyślała o rodzicach, ludziach, którzy tulili ją i śpiewali kołysanki, myli jej ręce przy kuchennym zlewie, kiedy stała na stołku i nic nie wiedziała o życiu. Jak to możliwe, że coś takiego ich spotkało? Że spotyka innych ludzi?

Przez tydzień symulowała chorobę, żeby nie iść do pracy, wołała nie przebywać w pobliżu Niemców. Kurt czekał na doktora Maine'a przed szpitalem i poprosił go o zwolnienie dla Hedy oraz receptę na małą butelkę brandy. Sześć dni leżała w łóżku, patrząc, jak słońce wyłania się i znika w oknie dachowym; zastanawiała się, czy też umrze, i było jej to obojętne. Ale szóstego dnia poczuła głód i zjadła trochę zupy jarzynowej, po czym naląa wodę do miednicy, wdzięczna za dotyk myjki na skórze. Stwierdziła, że jeśli tylko ona została z całej rodziny, spoczywa na niej odpowiedzialność. Musi stanąć na nogi, wziąć się w garść. Zmusiła się, aby zmyć naczynia, kupić racje żywnościowe, a nawet, w kolejnym tygodniu, wrócić do pracy. A gdy dni stały się dłuższe i cieplejsze, grzejąc skórę i roztopiając zamarznąłą tundrę pod spodem, jej oczom znów ukazała się przyszłość. Ponieważ nie była już sama, tylko z Kurtem.

Podczas długiego wieczora pełnego wzruszeń i uniesień, skuleni w tym miejscu pośród skał, z dala od wiatru, określili podstawę swojego nowego związku, opartego na trzech złożonych sobie przyrzeczeniach. Po pierwsze, będą żyć jak gdyby nigdy nic, choć w istocie uczynią wszystko, by zniszczyć obecny stan rzeczy, czekając na wybawienie. Po drugie, nie powtórzą nikomu, czego się dowiedzieli: z łatwością ustalono by źródło przecieku, a skutki były łatwe do przewidzenia. Poza tym listy od Antona przychodziły rzadko i Dorothea była wystarczająco rozstrojona.

Ostatnie postanowienie okazało się nieco trudniejsze. Kurt nalegał, żeby Hedy się przeprowadziła: zbyt wielu sąsiadów wiedziało o jego nocnej wizycie, przez co kolejne spotkania niosły duże ryzyko. Hedy, która miała już dosyć schodów i węszenia (całkiem już jawnego) pani Le Couteur, z chęcią na to przystała. Jednak nie znaleźli w ogłoszeniach prasowych niczego w przystępnej cenie i blisko pracy: większość domów zamieszkiwali żołnierze bądź rodziny rolników, którym na początku okupacji odebrano ziemię. Przez kilka dni Hedy przeczesywała tablice ogłoszeń w bibliotece i nieliczne oferty w miejscowej agencji nieruchomości, ale bez rezultatu.

Raz jeszcze z pomocą przyszedł doktor Maine. Nie wnikając w pobudki Hedy, wsunął jej do skrzynki list z informacją, że syn jego zmarłej pacjentki z Pierson Road szuka najemcy. Hedy stawiała się tam w ciągu godziny. Było to małe, zawilgocone mieszkanie w suterenie opodal domu Antona i Dorothei; za oknem migały nogi przechodniów, a zakaz posiadania zwierząt oznaczał konieczność rozstania z Hemingwayem. Cena okazała się jednak niewygórowana, lokum dogodne, z podwójnym łóżkiem, a gospodarz o szemranej aparycji był skłonny przyjąć pieniądze bez referencji. Hedy wcisnęła mu do ręki czynsz za dwa tygodnie, zanim zdążył zmienić zdanie. Następnego dnia nakarmiła Hemingwaya, pogłaskała go po szarym łebku i z liścikiem przyczepionym do obróżki zostawiła pod drzwiami nowej sąsiadki, która zawsze zachwycała się nim na korytarzu. Potem wrzuciła do starej, wiklinowej torby kilka ubrań, szczoteczkę do zębów oraz listy od rodziców i przeniosła się do nowego życia.

Spotykali się obecnie tak często, na ile umożliwiał to grafik i względy bezpieczeństwa. W kryjówkach takich jak Belcroute, a czasem w nowym mieszkaniu Hedy: Kurt wślizgiwał się po zmroku, otwierając drzwi własnym kluczem, i wychodził przed świtem, żeby nie wzbudzać podejrzeń w kwaterze. Nie żartowali o dreszczyku emocji konspiracyjnego żywota. Oboje wiedzieli, że sprawa jest zbyt poważna.

Hedy przysunęła się nieco bliżej. Siedzieli, wtuleni w siebie, na kamyczkach między poszarpanymi skałami. Ścisnęła jego rękę.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej na temat radia kryształkowego?

Przytaknął.

– Pamiętasz sklep z radiami i patefonami opodal dawnego mieszkania Antona? Ponoć właściciel robi je na zapleczu. Ale jest lista oczekujących i podejrzewam, że pomaga tylko znajomym.

Hedy wcisnęła gołe palce stóp w rozgrzane kamyczki pod stopami.

– Wygląda na to, że nadal będę zależna od Dorothei.

– Od bredni podawanych przez RRG robi mi się niedobrze. – Kurt cisnął kamyk na plażę, gdzie odbił się od żwiru. – Wciąż trwają przy tym, że Midway nigdy nie miało miejsca. A co do sytuacji na wschodzie... – Hedy oczami wyobraźni ujrzała Antona w okopie. Pospiesznie oddaliła tę myśl. – To jakiś obłąd. Wszyscy wiedzą, że to jedno wielkie kłamstwo. Nawet pułkownik Knackfuss słucha BBC w swoim gabinecie. – Wziął kolejny kamyk, lecz Hedy odebrała mu go delikatnie, pomna ścieżek nad nimi. – Jankesi bombardują nasze miasta. Jeszcze trochę i nic nie zostanie. – Spojrzał na Hedy z ironicznym uśmiechem. – Zaczynam myśleć, że Sydney to dla nas najlepsze rozwiązanie. Dalej nie wyjedziemy!

W odpowiedzi zmusiła się do uśmiechu. Cudownie było znowu być razem, ale rozmowa o przyszłości po wojnie nadal wzbudzała w niej trwogę. Kurt często rzucał uwagi z tym związane, napomykał, w jakim chciałby zamieszkać domu i jakie imię chciałby nadać synowi. Niewątpliwie wychodził z założenia, że to dowodzi swojego zaangażowania; miał pewność, że w powojennym świecie mieszane małżeństwa będą zgodne z prawem, może wręcz zalecane. Hedy zachowywała swoje myśli dla siebie: prawo pozostaje bez wpływu na umysł człowieka, a nienawiść między Niemcami i Żydami zapewne przetrwa pokolenia. Nie wspominała też, że ten nowy świat ją przeraża, że boi się Austrii, z której wymazano jej rodzinę i miejsca, które znała z dzieciństwa. Wizja nadchodzących lat była w oczach Hedy tak ponura i zagmatwana, że skwapliwie ją odsuwała. Póki co, skupiła się na tym, by przetrwać z dnia na dzień i tygodnia na tydzień, na więcej nie było jej stać.

Ponownie zadrzała i zmieniła temat.

– Pamiętasz rybaka kuternogę, o którym opowiadał Oliver Maine?

– Tego, który handluje rybami na czarnym rynku?

– Ostatnio zobaczyłam, gdzie cumuje w pobliżu schodów w zatoce. Kupiłam od niego makrele, zanim niemieccy inspektorzy odebrali mu połów.

– Całą makrelę! Szczęściara z ciebie!

– Ponoć buduje w tajemnicy łódź, gdzieś w Fauvic. Chce nią uciec.

Kurt zmarszczył nos.

– Musiałaby to być fest łódź, żeby dopłynął nią do Anglii. We Francji zastrzelą go, zanim dobieje do brzegu.

– Ale to świadczy, że ludzie nie dają za wygraną. A makrela była przepyszna, wróć tam w przyszłym tygodniu.

Kurt odgarnął jej włosy z twarzy.

– Tylko uważaj. Ta nowa godzina policyjna dla Żydów...

Hedy machnęła ręką, choć podobne obawy spędzały jej sen z oczu.

– Będę pilnować czasu. Poza tym jestem partyzantką, zapomniałeś?

Kurt się roześmiał.

– No tak. – Poszperawszy w kieszeniach, wyciągnął plik niemieckich banknotów i wcisnął jej do ręki. – Proszę. Twój żołd.

Hedy zrobiła grymas.

– Nie lubię brać od ciebie pieniędzy.

– Mówiłem ci, że są wspólne, na czarną godzinę. Trzymasz je w bezpiecznym miejscu?

– Pod listwą przy łóżku.

– Pierwsza zasada rewolucji: zawsze mieć odłożoną kupkę, po którą można szybko sięgnąć. – Uśmiechnął się, a Hedy zasalutowała, podejmując zabawę. Może miał rację: może odrobina złudzeń jest dobra dla ducha. Schowała pieniądze do torebki i podchwyciła wzrok Kurta.

– Ależ jesteś śliczna. Mogę przyjść wieczorem?

– Jeśli będzie bezpiecznie. Przyjdź okrężną drogą, przez park. I patrz, czy nikt cię nie śledzi.

Pokiwał głową i ją objął.

– Zawsze uważam. A teraz mnie pocałuj.

Nie musiał tego dwa razy powtarzać.

*

Kawiarenka była mała, ciemne wnętrze z brudnymi zasłonami pokrywała złuszczona farba. W powietrzu unosił się swąd przypalonych warzyw, jedynej rzeczy gotowanej tu od wielu miesięcy, a obrusy dawno wyrzucono, gdyż nie było w czym ich prać. Na ścianach, pod grubą warstwą kurzu, wisały marnej jakości obrazy (zapewne autorstwa właściciela) z weselszych czasów. Jak zwykle świeciła pustką, właściciele prowadzili ją zapewne po to, żeby mieć zajęcie, usługi grały drugorzędną rolę. Jednak miejsce zapewniało prywatność, z dala od wścibskich oczu. Hedy usiadła w rogu, prosząc o gorący napój, obojętnie jaki – wszystkie smakowały tak samo – i czekała na przybycie doktora.

Kwadrans później, kiedy napój już wystygł i kisił się w kubku, brzęknął dzwonek nad drzwiami: wszedł Maine i unosząc ciężką torbę lekarską, jął przeciskać się między stolikami. Rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca, ale Hedy podchwyciła jego wzrok i wskazała mu krzesło przy swoim stole, ponieważ starsza kobieta za kontuarem – pewnie matka właściciela – była prawie ślepa i nie wiedziała, kogo obsługuje. Usiadł, postawił torbę na posadzce i się uśmiechnął.

– Dzień dobry, moja droga, jak się masz?

– Nie narzekam. – Podłapała to wyrażenie od kobiet na targowisku i przy każdej okazji okraszała nim teraz rozmowę. Widząc, że starsza pani jest pochłonięta czym innym, podsunęła mu kopertę z kuponami na paliwo. – Co u ciebie?

– Jestem trochę zmęczony, ale kto nie jest? Co słyhać u twojej przyjaciółki?

Ustalili sobie własny szyfr: „przyjaciółka” oznaczało Dorotheę, „przyjaciół” Antona, a „drugi przyjaciel” odnosiło się do Kurta. Podczas rzadkich rozmów o kuponach nazywali je „pocztówkami”.

Hedy zrobiła minę na znak, że długo by opowiadać.

– Widziałyśmy się wczoraj. Nerwy jej nie pomagają. – Wymownie poklepała się w klatkę piersiową, a doktor skinął głową. Prawda wyglądała tak, że Hedy została u Dorothei jeszcze godzinę po wiadomościach, zaniepokojona jej kaszlem i sinymi wargami. W ostatnich tygodniach stan zdrowia Dorothei pogorszył się w sposób widoczny, również za sprawą niedożywienia i strachu o Antona. Często powtarzała, że boi się kolejnej zimy pod okupacją. Mimo to sprawiała wrażenie bardziej zainteresowanej swoim albumem z wycinkami o gwiazdach niż szczegółami doniesień radiowych i Hedy kilka razy musiała jej powtarzać, o czym była mowa. Rola opiekunki zaczynała jej ciążyć, gdyż z pewnością wymagała więcej aniżeli wizyty co kilka dni i sprawdzanie, czy Dorothea ma co włożyć do garnka.

Maine sięgnął do torby i wyjął słoiczek z jasnymi strzępkami.

– Tarty imbir – mruknął, przysuwając go w jej stronę. – Od pacjentki. Nie pierwszej świeżości, ale może posypywać nim kolację. Albo smarować klatkę piersiową, jeśli uda jej się zdobyć olej. – Uśmiechnął się krzywo. – Sześć lat akademii, a ja przepisuję ludowe środki jak stara znachorka.

Hedy sięgnęła po słoik i na chwilę nakryła dłonią palce lekarza. Przypomniała sobie, jak podczas pierwszego spotkania wydał jej się podobny do wuja Ottona. Otto zapewne już nie żył, zmieciony przez tę samą zawieruchę, która porwała rodziców; Maine był jedynym ocalałym z tego pokolenia, któremu jeszcze ufała. Najchętniej usiadłaby mu na kolanach, żeby zaśpiewał jej kołysankę.

– Dziękuję. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Jego twarz rozjaśniła się bezbronnym uśmiechem człowieka, który nieczęsto słyszy komplementy. Już miał odpowiedzieć, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem. Natychmiast cofnęli ręce i skulili się na swoich krzesłach. Wszystkie oczy zwróciły się na intruza.

– Macie tu wodę? Dajcie szklanę, z łaski swojej. Suszy mnie jak diabli.

Mężczyzna był wysoki i dobrze zbudowany, miał posępną, grubo ciosaną twarz i rozczochrane, rude włosy. Mówił głębokim, władczym głosem i Hedy od razu spostrzegła, że ma akcent, choć jeszcze wówczas nie wiedziała, że to irlandzki. Podeszedł do kontuaru, gdzie starsza pani bez szemrania nalała mu wodę i patrzyła, jak wypija duszkiem, jakby co dzień miała do czynienia z taką sytuacją.

Hedy zobaczyła, że koperta z kuponami nadal leży na stole. Spojrzała znacząco na doktora, żeby ją schował, i spostrzegła, że ten kręci się dziwnie na krześle, ukrywając twarz przed wzrokiem przybysza. Ogarnęła ją panika: działo się coś strasznego, ale nie była pewna, co takiego. W tej samej chwili mężczyzna przy barze odwrócił się w ich stronę i popatrzył na Maine’a uważnie.

– Doktor, prawda? – Żołądek Hedy wywinął koziołka. – Fintan Quinn... poskładał pan mojego kumpla w szpitalu przed dwoma tygodniami. Po upadku, pamięta pan?

Hedy zastanawiała się, czy uśmiech Maine'a wypadł nieprzekonująco tylko w jej oczach. Przysunęła kopertę i upuściła sobie na kolana.

– Faktycznie. Wraca do zdrowia?

– A jakże. Wrócił już do pracy, jest jak nowy.

Quinn wychylił drugą szklankę wody, a Hedy rozmyślała gorączkowo. Jeśli łączy ich tylko tyle, nie ma powodów do obaw. Ot, zobaczył w kawiarni znajomego lekarza z młodą kobietą. Odetchnęła głęboko, karcąc się w duchu: ładna z niej konspiratorka, płoszy się z byle powodu. Ale po kolejnych słowach mężczyzny serce mało nie stanęło jej w piersi.

– A ty... ty pracujesz w Lager Hühnlein, tak?

Hedy potwierdziła, uznając, że oczywiście kłamstwo przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Istotnie, widziała już tego człowieka. Tak, woził ciężarówką cement na budowę, z łokciem wywieszonym za okno oraz ciekawskimi oczkami w pustej, ogorzałej twarzy. Na tle pozostałych robotników najemnych wyróżniał się dudniącym głosem i rudą czupryną. Hedy posłała mu chłodny, uprzejmy uśmiech, żeby sobie za wiele nie wyobrażał.

– Owszem.

– Tak myślałem. Nie zapominam twarzy.

Wychylił drugą szklankę i ruszył do drzwi, salutując im na odchodne dwoma palcami, jak Amerykanin. I wyszedł tak szybko, jak się pojawił.

Hedy i Maine wymienili nerwowe spojrzenia. Gdy starsza pani znikła na zapleczu, Hedy wcisnęła doktorowi kopertę z kuponami.

– Myślisz, że coś zobaczył? – szepnęła, pochylając się nad blatem.

Maine zaprzeczył.

– A co mógł widzieć? Zwykłą kopertę.

Hedy kiwnęła głową i wypuściła bezwiednie wstrzymywany oddech.

– Zobaczył nas razem ktoś, kto nas kojarzy...

Teraz to on nakrył dłonią jej dłoń.

– Kochana Hedy, z tego, co widziałem w szpitalu, ci panowie nie byliby zainteresowani. Zależało im tylko na tym, by poszkodowany jak najszybciej wrócił do pracy, żeby nie stracić dniówki.

– Ale gdyby dowiedział się... o mnie. – Przestrzegła niepisanej zasady, by nie wypowiadać publicznie słowa „Żyd”. – Słyszałeś, że kilka tygodni temu wywieźli kobiety z Guernsey? – Przygryzła wargę, by nie opowiedzieć mu o ich prawdopodobnym losie.

Poklepał jej palce.

– Masz wszelkie podstawy, aby zachowywać ostrożność, i wiem, że zawsze jesteś ostrożna. Ale starczy ci zmartwień bez wymyślania nowych.

Przytaknęła i zmusiła się do uśmiechu, obiecując sobie w duchu, że gdy następnym razem zobaczy rybaka kuternogę, kupi dodatkową makrelę dla doktora i jego żony.

– Masz rację. Jestem przeczulona przez tę piekielną wojnę. Ale może w przyszłym tygodniu spotkamy się gdzie indziej?

– Zapewne tak będzie rozsądnie. Wolisz wyjść pierwsza? Mam dyżur dopiero od czwartej.

Hedy zapłaciła kobiecie przy ladzie i wyszła na brukowaną ulicę, usiłując otrząsnąć się z lęku, który zagnieździł się w jej brzuchu. Było ciepłe popołudnie i gdy dotarła do parku, słońce ociekało jej po skórze jak melasa. Strzepnęła włosy i nakazała sobie zachować spokój, żyć chwilą obecną. Jak by nie było, zrobiła dziś coś dobrego. Dzięki kuponom Maine dotrze do kilkudziesięciu chorych w bliższej i dalszej okolicy. Poszerzała krąg kontaktów, aby zdobywać prowiant, a jutro wieczorem znowu zobaczy Kurta. Masz za co dziękować, stwierdziła w duchu z naganą, przemykając bocznymi ulicami St Helier, obok żołnierzy oraz flag ze swastyką, na które nawet nie spojrzała.

*

Kurt wiercił się niespokojnie na drewnianej ławce i zerkał na stojących opodal oficerów. Wszyscy palili albo prowadzili wymuszone, nieuważne rozmowy. Tylko wyżsi stopniem, nikogo poniżej porucznika, a do tego cała plejada kapitanów. Oczywiście było, iż żaden nie ma pojęcia, po co ich dzisiaj wezwano, siłą rzeczy chodziło o coś niebagatelnego. Słońce, niebywale ciepłe jak na wrzesień, lało się przez okna skrzydłowe College House, zamieniając kamienny korytarz w piekarnik, kilku starszych oficerów niebezpiecznie spurpurowiało. Jeszcze trochę, pomyślał Kurt, a Berlin będzie musiał wymienić całe dowództwo sztabu.

Rozejrzał się po okazałym wnętrzu z wiekowymi kamiennymi płytami i rzeźbionymi elementami z drewna, modelowego przykładu brytyjskiej wiktoriańskiej szkoły z internatem, którą było przed wojną, i spróbował wyobrazić sobie zasmarkanych chłopców, którzy przetaczali się tymi korytarzami. Gdzie się teraz znajdują? Pewnie ślęczą nad przymusową gramatyką niemiecką w jakimś baraku. Wnętrze musiało być przytłaczające dla młodego chłopca; obecnie, zaludnione przez umundurowanych gryziórków ze sztabu, przypominało ul, gwarne, klaustrofobiczne komórki wokół królowej matki.

Po drugiej stronie pomieszczenia ujrzał Fischera, pogrążonego w rozmowie z administratorem. W relacjach z Kurtem Fischer był ostatnio do rany przyłóż, przeprosił za bałagan w swojej części pokoju i podzielił się papierosami, które dostał od brata z Niemiec. Jednak pod serdecznością czaił się chłód i Kurt miał świadomość, że rozmowy w kwaterze często milkną jak ucięte nożem na jego widok. Przejrzał gierkę Fischera, ale nie zwracał na nią uwagi. Jeśli Wildgrube i jego kumple chcą nadal za nim łązić, pokaże

im figę z makiem, ostatnio ma oczy dokoła głowy. A zważywszy na sytuację w Europie, za pół roku może ich tu nie być.

Zza dwuskrzydłowych drzwi wyłonił się umundurowany pachołek i na jego znak weszli do przestronnej sali konferencyjnej. Kurt ruszył za pozostałymi i stanął na tyłach, mając przyzwoity widok na starszych dowódców przy stole. Okna były tu jeszcze większe, a upał jeszcze bardziej nieznośny. Cokolwiek chcą ogłosić, pomyślał, niech się streszczają.

Pośrodku siedział pułkownik Knackfuss. Kurt wpatrywał się w jego ozdobną stójkę, która wrzynała się w pomarszczoną szyję, i draśnięcia po bokach głowy, gdzie fryzjer ogolił go w nadmiernym pośpiechu. Oficerowie zajęli miejsca, a pułkownik wbijał w papiery głęboko osadzone oczy, wyraźnie grając na zwłokę. Wreszcie nastąpiła cisza i rozległ się ochrypły głos Knackfussa.

– Wezwałem was dziś tutaj, ponieważ rząd szwajcarski zwrócił się ostatnio do naczelnego dowództwa niemieckiego z prośbą o rozważenie wymiany jeńców wojennych. Jak zapewne wiecie, kilka tysięcy obywateli niemieckich z rozkazu Brytyjczyków przebywa obecnie w Persji. – W sali zapanowało lekkie poruszenie. Co to ma wspólnego z administracją Wysp Normandzkich? – Rok temu – ciągnął Knackfuss – gdy ów fakt po raz pierwszy wyszedł na światło dzienne, wydano rozkaz, że Feldkommandantur 515 ma niezwłocznie deportować w odwecie wszystkich Brytyjczyków, którzy nie urodzili się na Wyspach Normandzkich, w stosunku dziesięciu do jednego za jeńców przetrzymywanych w Persji. – Cisza się pogłębiła, kiedy zebrani poczęli głowić się nad implikacjami. Kurt odniósł wrażenie, że część osób wstrzymała oddech. – Ten rozkaz nie został wprowadzony w życie. W styczniu bieżącego roku przekazałem 319. Dywizji Piechoty mój sprzeciw: uważam, że wyspiarze brytyjskiego pochodzenia służą za żywą tarczę, toteż ich deportacja stworzy dodatkowe problemy defensywne, łącznie z potencjalnym oporem. Jednakże... – Knackfuss zaszeleścił papierami, jakby chciał wywrzeć wpływ na zawarte w nich treści. – Jednakże ostatnie działania ze strony Szwajcarów zwróciły uwagę Führera, który wyraził niezadowolenie, że jego wcześniejszy rozkaz nie został wykonany. Berlin nalega, aby deportacje przebiegły zgodnie z rozporządzeniem, czyli wszyscy obywatele brytyjscy bez stałego adresu zamieszkania oraz wszyscy mężczyźni między szesnastym a siedemdziesiątym rokiem życia urodzeni na terytorium Wielkiej Brytanii zostaną przewiezieni wraz z rodzinami do obozów tymczasowych w Niemczech.

Knackfuss opuścił papiery i potoczył wzrokiem po sali, udzielając oficerom pozwolenia na reakcję. Wśród zgromadzonych przetoczył się słumiony pomruk. Kilka osób zwiesiło głowy w przeczuciu tego, co przyniosą kolejne tygodnie, większość twarzy przybrała wyraz ostrożnej neutralności. Kurt nie omieszkał zauważyć, że Fischer mierzy pułkownika niezadowolonym wzrokiem, wyraźnie wzburzony, że oficer tej rangi śmiał podważyć rozkaz Führera. Skwar był obezwładniający, przyprawiał Kurta o mdłości. Starał się myśleć o górskich potokach i szklankach wypełnionych kostkami lodu.

– Według naszych obliczeń – podjął Knackfuss – liczba wyspiarzy objętych rozporządzeniem wynosi około dwóch tysięcy, czyli jeden na dwudziestu mieszkańców. Ogłosimy to w „Evening Post” piętnastego, czyli za pięć dni, pierwsze deportacje rozpoczną się dzień później. – Pomruk przybrał na sile. „Dwadzieścia cztery godziny?”, usłyszał Kurt. „Wolne żarty!”, dodał inny głos. Knackfuss, świadomy zamieszania, przemówił podniesionym głosem: – Staniemy przed wielkim wyzwaniem, lecz element zaskoczenia daje nam przewagę. Mniej czasu na organizację oznacza mniej okazji do buntu.

Rozejrzył się po sali, odnotowując, czyja twarz wyraża niezadowolenie. Fischer przybrał niezobowiązującą maskę i Kurt podjął niemrawy wysiłek, aby pójść jego śladem, lecz gdy dostrzegł w szybie swoje odbicie, miał z lekka obłąkaną minę.

– Możemy napotkać sprzeciw – uzupełnił Knackfuss – jednakże rozkaz wyszedł od samego Führera i ma najwyższy priorytet, więc odstępstwa nie wchodzi w rachubę. Nie muszę wam mówić, że do czasu publicznego ogłoszenia informacja jest ściśle tajna: nie może się dowiedzieć nikt spoza tej sali, nie licząc członków sztabów zaangażowanych w jej realizację. To wszystko. *Heil Hitler*.

Odpowiedział mu las wzniesionych rąk, po czym Knackfuss udał się do prywatnego gabinetu w głębi budynku. Dyskusje rozgorzały pełną parą. Kurt wymamrotał do sąsiada coś o pilnym telefonie, wysliznął się z sali i ruszył korytarzem w stronę najbliższego wyjścia. Gdy spieszył Mont Millais w stronę miasta, mdłości nie ustępowały. Przyglądał się mijanym ludziom, każdemu z osobna, zwykłym mężczyznom i kobietom biegnącym do swoich spraw, do domu na przerwę obiadową, z wózkami lub na zakupy. Któremu z nich grunt usunie się spod nóg za kilka dni? Ile dzieci i starszych ludzi nie przeżyje podróży? Ilu umrze w obozach przejściowych? Znał jednak prawdziwy powód, dla którego go skrecało. Rozkaz oznaczał, że jego dowództwo porzuciło wszelkie pozory normalności. Jeśli Berlin jest gotów tak pomiatać brytyjskimi obywatelami, kolejne represje wobec cudzoziemców i Żydów są jedynie kwestią czasu. Musi iść dzisiaj do Hedy i ją ostrzec, niech spakuje torbę. Trzeba ukryć pod listwą więcej pieniędzy.

Słońce paliło mu twarz, gotował się w grubym mundurze. Stanowczo za gorąco jak na wrzesień. Ale chmury zawieszane wysoko ani drgnęły, a nieruchome powietrze zwiastowało nadejście jeszcze gorętszej nocy.

*

Jeszcze nigdy nie słyszała na tych ulicach takiego hałasu, kakofonii śpiewu, zawodzenia i wściekłych wrzasków, z których czasem wybijały się na powierzchnię pojedyncze głosy. Gdzieś na prawo ktoś zaintonował refren piosenki, którą słyszała w szynkach przed okupacją, „Anglia będzie zawsze istniała”. Z lewej strony dobiegały piskliwe krzyki kobiety i jej dzieci. Na Commercial Street doszło do nielegalnego zgromadzenia dziesięciu

lub dwunastu mężczyzn, którzy wydzielali się ze złością i gestykulowali. Hedy przycisnęła się obok nich przez gęstniejący tłum i ruszyła w stronę portu, ściskając rękę Dorothei.

Kiedy wąska ulica przeszła w otwartą przestrzeń Weighbridge, stanęły jak wryte na widok, który ukazał się ich oczom. Setki ludzi w niewielkich grupach, niektórzy stali, inni kucali, a wszyscy w kilku warstwach odzieży zbyt ciepłej jak na panujące warunki. Każdy ściskał sfatygowaną walizkę bądź zrolowane koce przewiązane szpagatem. Posępni mężczyźni stali na straży rodzin, ich wynędzniałe, czerwone na twarzach kobiety karmiły maluchy kawałkami przypalonej brukwi, a starsze dzieci bezskutecznie zabawiały rozwrzeszczane młodsze. Gdziekolwiek spojrzeła, widziała obejmujących się ludzi. Wielu zalewało się łzami. Rodziny, sąsiedzi, współpracownicy, którzy uważali się za miejscowych aż do zeszłego wieczora, gdy łomotanie do drzwi i kilka świstków brutalnie zburzyły istniejący porządek rzeczy. Kobiety, których rozkaz nie dotyczył, biegły do przyjaciół i teściów nim objętych, wciskając im do rąk skarby wyszperane z czeluści kredensu: puszkę tuńczyka i kilka karłowatych jabłek. Spoceni w zimowych paltach mężczyźni czynili pospieszne ustalenia w sprawie opieki nad domami i firmami, opieki lub pozbycia się domowych zwierząt. Scena oblekła się zszarzałym całunem rozpacz.

Hedy ujrzała, jak Dorothea przyciska rękę do ust.

– Nie wierzyłam, aż do tej chwili. Jak oni mogą? – Rozejrzała się, wypatrując kogoś wśród zgromadzonych. – Muszę ją znaleźć.

Hedy podążyła za jej wzrokiem.

– Wątpię, czy znajdziesz kogoś w takim tłumie.

– Spróbuję.

Brnęły pośród tego chaosu, przechodząc nad nogami, dziećmi i dobytkiem, zaglądając w zbite gromadki. Słońce stanęło w zenicie i Hedy marzyła o cieniu.

Nagle Dorothea zatrzymała się.

– Tam! To ona! – zawołała, wskazując niewielką grupę siedzącą w półokręgu na ziemi. – Sandy? Sandy, to ja! – Z ręką w żelaznym uścisku Dorothei Hedy wpadała na ludzi i potykała się o walizki, aż stanęły przed tamtymi. Ujrzała kobietę w wieku Dorothei, o pięknych, ciemnych włosach i oliwkowych oczach, siedzącą na zwiniętym płaszczu zimowym. Stojący obok niej mężczyzna o tubalnym głosie i czerstwych policzkach, zapewne ojciec, dyskutował zawzięcie z innym panem, w którym Hedy rozpoznała urzędnika poznanego w dniu konfiskaty odbiorników radiowych.

– Ale dlaczego władze do tego dopuściły?! – krzyczał ojciec. – Mieszkamy na wyspie od trzydziestu lat, Le Quesne, czy nie mamy żadnych praw?

Powieki ciążyły urzędnikowi, jakby stan czuwania przerastał jego starzejące się ciało.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Odmówiliśmy rozpowszechniania rozkazu, ale Niemcy wyciągnęli urzędników z domu i przymusili ich pod karą więzienia.

– Mielicie nas chronić. To hańba.

Le Quesne odszedł, lecz zaraz zdybał go ktoś inny.

Dorothea objęła przyjaciółkę.

– Sandy! Przyszłam się pożegnać. Wiecie, dokąd was wysyłają?

– Do jakiegoś obozu w Niemczech – odpowiedziała kobieta. Na dźwięk tego słowa przewróciło się Hedy w żołądku. – Dowiedzieliśmy się wczoraj. – Wyglądała na opanowaną, ale Hedy wyczuła, że cała dygocze w środku.

Dorothea wyjęła z torby mały słoik cukru i wcisnęła go Sandy do ręki.

– Oszczędzałam na ważną okazję, chcę, żebyś go wzięła.

Sandy uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale jej ojciec natychmiast zaoponował.

– Nie potrzebujemy nic od takich jak ty, dziękujemy.

– Tatusiu, proszę! – zawołała Sandy, lecz stary wcisnął się pomiędzy nią a Dorotheę.

– Wyszłaś za jednego z nich, jesteś po ich stronie. Trzymaj się z dala od mojej córki. Zmiataj, nie chcemy cię tu.

Hedy dostrzegła, że przyjaciółce zrobiło się przykro, i chciała ją odciągnąć za łokieć, lecz ku jej zdziwieniu Dorothea dumnie zadarła głowę.

– Może kocham człowieka, który walczy w niemieckim wojsku, ale wiem, po której jestem stronie, dziękuję. – Ucisnęła dłoń Sandy. – Uważaj na siebie, kochana.

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Hedy przyspieszyła kroku, żeby jej nie zgubić.

– To było odważne.

Dorothea wzruszyła ramionami.

– Nie pierwszy raz i nie ostatni. – Po czym stanęła z przekrzywioną głową. – Posłuchaj... śpiewają hymn. – Faktycznie. Od strony licznej grupy na przystani wyraźnie dobiegły dźwięki *Boże, ocal króla*. – Chodźmy do nich.

– Lepiej nie. Szwaby są dzisiaj nerwowe, jeszcze zaczną strzelać.

Ale Dorothea potrząsnęła głową.

– A niech strzelają. Nie wyjadą, Bóg wie dokąd, póki dowiedzą się, co o tym sądzę. – I pomaszerowała w tamtą stronę.

Hedy zawahała się, rozdarta między lojalnością a chęcią powrotu do domu. Obowiązek wziął górę, ale gdy dreptała za stanowczą postacią Dorothei, ogarnął ją mimowolny podziw. Na przekór odtrąceniu ze strony miejscowych, ona dalej ich broni. Anton miał rację co do jej dobrego serca.

Przeciskały się przez tłum, aż dotarły na przystań do spontanicznego chóru i stanęły niepewnie na jego skraju. Gdy rozległo się chaotyczne *Niechaj domowe ogniska płoną*, Dorothea się przyłączyła, zrazu nieśmiało, a potem na cały głos. Śpiewała, jakby czyniła to po raz ostatni w życiu, świszczący oddech ustał na chwilę. Hedy, która nerwowo wypatrywała żołnierzy i szpiclów, zawtórowała jej półgębkiem. Piosenka dobiegła końca, a po niej od razu zabrzmiała *Znów się spotkamy*. Potem kolejna, bardziej hałaśliwa wersja hymnu oraz *Uciekaj, króliku*, trochę bez ładu i składu. Minuty przechodziły w godziny i gdy Niemcy patrzyli pustym wzrokiem ponad głowami zbuntowanych, Hedy, która

poznała już słowa i melodie, śpiewała tak, jak dawno nie miała okazji, na całe gardło. Czasem wymieniali z Dorotheą spojrzenia w pół zwrotki i się uśmiechały.

Słońce z wolna chyliło się ku zachodowi, a ludzie wciąż stali w skwarze na rozgrzanym bruku. Gdy mieli wsiadać na pierwszy statek, karabiny Niemców wycelowały w tłum, gotowe stłumić ewentualny bunt. Schrypnięte głosy chóru wyzywająco przybrały na sile, a Hedy zrozumiała coś z niezbitą pewnością. Kurt miał rację: wydarzenia ostatnich dwóch lat były tylko próbą. Prawdziwa okupacja dopiero się zaczyna, idzie nowe. Wkrótce, być może szybciej, niż się spodziewają, wszystko się zmieni. W tamtej chwili Hedy uświadomiła sobie dotkliwie, że jest korkiem, który unosi się na powierzchni wody w oczekiwaniu, dokąd prąd go zanieśie.

Nabrała tchu, aby wyśpiewać ostatni refren *Problemy swe spakuj już*, a jej głos popłynął po wodzie w nicość.

Zegar ścienny wskazywał za pięć szóstą. Hedy wyszarpnęła z maszyny ostatnią kartkę i położyła ją na stercie skończonych raportów. Następnie potoczyła wzrokiem po reszcie pracowników, gotowych już do wymarszu, znała ich nawyki na pamięć. Bruna, wysoka dziewczyna z Monachium, przed wyjściem zawsze przez dwie minuty szczotkowała włosy, pewnie żeby zrobić wrażenie na kolejnych chłopakach. Rosamund o wąskich wargach, ulubienica panny Vogt, wisiała nad biurkiem przełożonej w nadziei na pochwałę. Śmierzący Derek z obsesją na punkcie porządku krzątał się w nieodłącznym obłoczku stęchlizny. Musiała wykorzystać chwilę zbiorowej nieuwagi, by przełożyć kupony z biurka do kieszeni palta. Udając, że szuka czegoś w torbie, czekała na odpowiedni moment. Wreszcie, gdy Derek przykrywał maszynę, wsunęła kupony do wewnętrznej kieszeni. Nikt niczego nie zauważył, jak zwykle. Przybrała maskę obojętności, po czym sięgnęła po torbę, zdjęła płaszcz z oparcia i wyszła na zakurzony plac.

Po drodze do bramy patrzyła przed siebie, jak zwykle. O tej porze rzadko widywała Kurta: zazwyczaj przebywał w magazynach, zajęty ostatnimi inwentaryzacjami, zresztą dawno ustalili, że nie będą rozmawiać ze sobą w pracy. Gdy jednak się mijali, patrzyli w drugą stronę, a Kurt improwizował rozmowę z kimś, kogo akurat miał pod ręką. Hedy nigdy nie ufała nikomu w Lager Hühnlein, obecnie zaś postrzegała każdego jako potencjalnego wroga. Ludzie szeptali po kątach, w zaciszu schowków i pod latrynami, powtarzając plotki o szpiegach i kolaborantach, planowanych nalotach aliantów i możliwym odwecie Niemców. Nie sposób było odróżnić cynicznych pracowników niemieckich, których naprawdę nie obchodziło, czy ktoś zwędzi im biurko sprzed nosa, od tajnych agentów szpiegujących na prawo i lewo. Stwierdzenie, kto z miejscowych ma serce po właściwej stronie, a kto sprzedałby własną babkę, nastęczało jeszcze większych trudności. Najbezpieczniej było trzymać gębę na kłódkę i w razie czego udawać, że o niczym się nie wie.

Zeszłoroczne obawy, że nadchodzi nowy, bardziej represyjny etap okupacji, okazały się aż nadto trafne. Niemców ogarnęło istne szaleństwo. W ramach „kary” za zatopienie niemieckich okrętów na kilka miesięcy obcięto wyspiarzom racje żywnościowe, a grupa miejscowych trafiła do obozu za słuchanie wiadomości BBC. Najgorsze ze wszystkiego było obwieszczenie, że w odwecie na nieudaną próbę odbicia przez Brytyjczyków

siostrzanej wyspy Sark kolejnych dwustu mieszkańców zostanie deportowanych. Hedy i Kurt wiedzieli z góry, że decyzja obejmie garstkę pozostałych tu Żydów.

Gorączkowo zastanawiali się, co robić. Hedy przekonywała, że na miejscowe władze nie ma co liczyć, i stanowczo zaoponowała, aby Kurt się za nią wstawił, gdyż jej zdaniem wzbudziłoby to podejrzenia i naraziło ich oboje na jeszcze większe niebezpieczeństwo. W końcu, wiedzona desperacją, zwróciła się do feldwebela Schulza, który w świetle jej dotychczasowej pracy i braku ewentualnego zastępstwa niechętnie zgodził się ją wesprzeć. Szansa zdawała się nikła. Trzy tygodnie Hedy żyła w strachu, nocami rzucała się z boku na bok, za dnia zmagła się z rozstrojem żołądka. Kurt kilkakrotnie donosił jej o aresztowaniu albo zniknięciu jakiegoś Żyda (kilku ewidentnie ukrywało się u przyjaciół, co zdaniem Hedy niosło duże ryzyko) i nie ustawał w zapewnieniach, że im dłużej dają jej spokój, tym większa nadzieja na przyszłość. Zaznaczał, że sztab pomija niektóre osoby, jeśli uważa to za stosowne. Lecz jego bladość i drzenie rąk, gdy unosił do ust filiżankę, zdradzały, co czuł naprawdę.

Żadnej oficjalnej decyzji nie podano, ale tuż przed upływem czwartego tygodnia, gdy aresztowania ustały, zaczęli nabierać przekonania, że ta konkretna burza minęła. Może interwencja Schulza odniosła pożądany skutek, a może nazwisko Hedy znalazło się poza rejestrem po tym, jak nie stawiała się na rozmowę w College House rok wcześniej. Wydawało się, że tak czy inaczej życie może wrócić do względnej normalności. Aż do następnego razu.

Nim nadeszło lato, na tyle odzyskali grunt pod nogami, że powrócili do swoich małych aktów sabotażu. W zaciszu mieszkania Hedy zabawiali się opowieściami o tym, jak z rozmysłem umieściła siedemdziesiąt formularzy audytowych w niewłaściwych katalogach: błąd z niemożliwością wykrycia sprawcy, a dla administratorów z Bloku Trzeciego dwie godziny dodatkowej pracy. Lub o tym, jak Kurt „przeoczył” błąd techniczny młodego mechanika i ciężarówka rozkraczyła się na pierwszym kursie tego ranka. Nie łudzili się, że te działania cokolwiek zmieniają, ale sprawiały im złośliwą satysfakcję i dawały namiastkę odwetu.

W takie wieczory kochali się z zimną natarczywością, jakby tylko w ten sposób mogli bezpiecznie dać upust skłębionym emocjom. Innym razem jego chłopięca delikatność wyciskała Hedy łzy z oczu. Było jej wstyd, że kiedykolwiek w niego wątpiła. Nie знаła drugiego człowieka o takiej dobroci, który byłby sobą do tego stopnia. Wzruszało ją, jak próbował uzupełniać jej zapasy tym, co wydebił w wojskowych magazynach, jak z uciechą przekazywał jej wieści o utarczkach i niekompetencji w lokalnej administracji. Najbardziej lubiła, gdy pod jakimś pretekstem zostawał u niej na noc: rozmawiali wówczas do białego rana o tym, jak Hitler mógł dojść do władzy i jak uniknąć powtórki z tego zbiorowego szaleństwa. Ponieważ, gdy lato ustąpiło miejsca jesieni i upadły Włochy, nabrali jeszcze większej wiary w zwycięstwo sił sprzymierzonych. Grunt to przeżyć, podkreślał Kurt,

i dotrzeć do końca. Pokrzepiona jego wiarą i pomna raf, które zdołali ominąć, Hedy zaczynała wierzyć, że przyszłość jest jednak możliwa.

Niebo ciemniało, kiedy ruszyła zwykłą trasą w stronę głównej drogi, a potem St Aubin ku Pierwszej Wieży. Nowy płaszcz z drugiej ręki, wymieniony przez Kurta za francuskie cukierki, był znacznie lepszy niż stary, który rozlazł się w szwach, ale ciągle niedożywienie sprawiało, że nieustannie marzła. Ślinka napłynęła jej do ust na myśl o skrawku ryby, kupionym za niebagatelną sumę od zaprzyjaźnionego rybaka dzień wcześniej. Miała też brukiew i kilka ziemniaków z zeszłego tygodnia, a Kurt dał jej świeczkę ukradzioną z kwatery. Będzie dziś ucztować jak królowa.

Właśnie mijala łukową bramę starej fabryki, gdzie paczkowano herbatę, gdy naraz krzyknęła, czując czyjąś dłoń na ramieniu. Gdy się odwróciła, w pierwszej chwili ogarnęła ją ulga, że nie widzi munduru. Następnie, gdy przyjrzała się obliczu pod czapką w półświecie, ulga szybko przerodziła się w lęk. Rozpoznała go, jeszcze zanim się odezwał, a silny akcent z miejsca przeniósł ją do kawiarni, w której siedziała z doktorem Maine'em ponad rok temu.

– Wiem, co kombinujesz na boku. Dogadajmy się, a nie pisnę słowa.

Hedy przełknęła ślinę, myśląc gorączkowo. Quinn, tak się nazywał. Czy ma na myśli kupony? Skąd o nich wie? Czyżby blefował? Spróbowała przybrać zdziwioną i niewinną minę.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Irlandczyk ścisnął jej ramię. Hedy rozejrzała się, lecz ulica świeciła pustkami. Starannie wybrał tę chwilę, pewnie śledził ją przez całą drogę.

– Wiesz. Kupony na benzynę, które doprowadzasz z roboty.

Serce podeszło jej do gardła. Czy rozmawiał z kimś z jej pracy? Może jednak ktoś coś zauważył. Czy wie, że ma kupony w kieszeni? Postanowiła iść w zaparte.

– Naprawdę nie rozumiem.

Uścisk przybrał na sile, palce boleśnie wpiły się przez płaszcz w chudą rękę.

– Ależ tak. Kradniesz je dla doktora.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

– Bzdura.

Ścisnął jeszcze mocniej i Hedy jęknęła.

– Masz mnie za idiotę? Moja dziewczyna wie, że kupony giną z biura. – Bruna, pomyślała Hedy. Bruna, bawarska zdzira, widać szlaja się nie tylko z żołnierzami. – Przypomniałem sobie was razem. Czułem, że coś się kroi. Wyglądałaś jak złapana na gorącym uczynku.

– Pan bredzi – bąknęła bez przekonania.

Quinn uśmiechnął się pod nosem.

– Spokojnie, nic nie powiem. Ale chcę swoją dolę. Dwa kupony tygodniowo, a będę siedział cicho.

Hedy stała jak słup soli, żeby go nie rozjuszać, i rozmyślała, jak wybrnąć z tej sytuacji. Mogła od razu wręczyć mu dwa kupony i odejść, i właśnie tego domagało się teraz jej ciało. Ale upomniwała się w duchu, że to najemnik bez cienia skrupułów, każdy głupi widział, do czego taki szantaż doprowadzi. Dwa kupony dzisiaj, dziesięć za tydzień, sto za dwa. Albo Vogt ją zdemaskuje, albo nie sprostą żądaniom i Quinn zdradzi ją tak czy inaczej. Nie pozostawało jej nic innego, jak zakończyć to, zanim w ogóle się zacznie.

– Przepraszam, ale jest pan w błędzie. – Wojowniczo spojrzała mu prosto w oczy. – Jestem tylko tłumaczką. Nie kradnę. Nie mogę panu nic dać.

Quinn spoglądał na nią z bezsilnym zniecierpliwieniem. Chyba nie przewidział takiej reakcji i znalazł się w kropce. Hedy słyszała, jak krew dudni jej w uszach, próbowała zachować jasność umysłu. Jeśli się nie myli, Bruna oparła zarzut wyłącznie na podejrzeniach, zresztą Hedy niejednokrotnie odniosła wrażenie, że inni w biurze też kradną. Jeśli Quinn jej teraz uwierzy, może się odczepi. Na chwilę dostrzegła światełko w tunelu. Nagle wybuchł.

– Masz tupet jak na Niemrę, wiesz o tym? Teraz o wszystkim się dowiedzą i pożałujesz. Sama zobaczysz.

Rozluźnił uścisk i oddalił się szybkim krokiem w stronę Pierwszej Wieży. Hedy oparła się o drewniane wrota fabryki, kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Pot spływał z niej strumieniami, chociaż trzęsła się z zimna. Myśli o domu i kolacji odpłynęły, w głowie Hedy kołatała tylko jedna: już po wszystkim.

*

Ostatni ścieg i przegryzła nitkę, po czym uniosła płaszcz w mętym świetle mieszkania, żeby mu się przyjrzeć. Dobra robota, matka byłaby dumna. Byle nie macać podszewki, a nikt nie zgadnie, co kryje: szczoteczkę do zębów (dziś nie do zdobycia, a myśl o niemyciu zębów, choćby prowizoryczną „pastą” z mątwy, budziła w niej wstręt), plik banknotów z listwy, które w końcu się przydadzą, i bezcenne listy matki. Potrząsnęła paltem – na szczęście nic nie szeleściło i nie podskakiwało. Zastanawiała się, czy nie wziąć torby z najpotrzebniejszymi rzeczami, trzymanej pod łóżkiem za namową Kurta. Zrozumiała jednak, że spacer po mieście z takim ekwipunkiem naraziłby ją na rewizję. Grunt to nie rzucać się w oczy.

Przypomniała sobie, jak przed laty szykowały się z Riką do przekroczenia szwajcarskiej granicy, i co mówiła siostra. „Pieniądze na łapówki”, powtarzała jak mantrę. Resztę można załatwić później. Zabawne, rozmyślała, wszyscy w rodzinie zawsze uważali Hedy za tę, która twardo stąpa po ziemi, a Rikę za romantyczkę z głową w chmurach, która płacze nad drobiazgami i złamie się pod byle naciskiem. Tymczasem to Rika organizowała, popędzała i podejmowała najtrudniejsze decyzje, a nawet zgodziła się poprowadzić samochód na zdradzieckich górskich drogach. Teraz to Hedy musi pokazać, z jakiej gliny jest ulepiona.

Pukanie do drzwi ją sparaliżowało. Czy to możliwe, że Quinn wszczął alarm kilka godzin po swojej groźbie? Odszukała rozdarcie w zasłonie, dzięki któremu mogła wyrzec niezauważona. Dorothea. Hedy oparła się o wezglowie, niepewna, czy otworzyć, i rozważyła wszystkie za i przeciw dzisiejszej rozmowy z żoną przyjaciela. W końcu podeszła do drzwi.

– Chciałam ci tylko powiedzieć – zaczęła Dorothea od progu – że dawny znajomy Antona wspomniał mi dziś o transporcie francuskiego sera. Oczywiście szwaby zgarnęły większość, ale jutro będzie co nieco na targu, trzeba tylko przyjść z samego rana. – Uśmiechnęła się szeroko do Hedy, dumna z przyniesionej wiadomości i pełna dziecinnej nadziei na wdzięczność.

– Dziękuję. Ale nie mogę iść jutro na targ.

– Mogę ci kupić, tylko daj mi swoje kartki.

Hedy spojrzała w te jasne, niewinne oczy. Wiedziała, że złamie obietnicę daną Antonowi i zakłuło ją sumienie, lecz było już za późno. Decyzja zapadła.

– Przepraszam, Dorotheo, ale muszę wyjechać na jakiś czas.

– Wyjechać? Jak to?

– Coś się stało. Dowiedzą się, że kradnę kupony.

Dorothea rozdziawiła usta.

– Nadal to robisz?

Hedy potwierdziła.

– Nie mogę ryzykować. Jeśli zostanę, aresztują mnie i wywiozą.

– Może chcesz zatrzymać się u mnie?

Ku własnemu zdziwieniu Hedy parsknęła śmiechem.

– Muszę wyjechać trochę dalej.

Dorothea klapnęła na krzesło, jeszcze bledsza niż zwykle.

– Kurt ci pomoże?

Hedy zastanawiała się, czy nie skłamać, ale już wiedziała, że bez pomocy Dorothei się nie obejdzie.

– Kurt nie wie. Nic mu nie powiedziałam.

Oczy Dorothei z każdą chwilą stawały się coraz bardziej okrągłe.

– Nie wie? Nie możesz tak po prostu zniknąć, Hedy! – Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – On cię kocha. A ty kochasz jego. Prawda?

– I dlatego nie mam innego wyjścia. – Hedy krzątała się po pokoju, porządkując książki i ścieląc łóżko, byle zająć czymś ręce. – Siedział za kradzież kuponów. Tamci od razu skojarzą fakty i Bóg jeden wie, co mu zrobią.

Ku jej zakłopotaniu Dorothea się rozpłakała.

– Nie, tak nie można. Dokąd pójdziesz?

– Mam plan, ale nie mogę ci powiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedziała, w razie gdyby wzięli cię na przesłuchanie.

– Chyba nie spróbujesz opuścić wyspy? – Dorothei zaczęło świstać w płucach. Hedy prychnęła i odwróciła głowę.
– Byłoby to głupie i niebezpieczne.
– Sama nie dasz rady!
– Wszystko przemyślałam.
– Doktor Maine ci pomaga?
– Nie! – Zdumiała ją własna reakcja. – On nic nie wie. Niczego mu nie udowodnią. – Wierzchem dłoni otarła zimny pot z czoła. – Zniknę na jakiś czas, póki sytuacja się nie uspokoi.

W tym momencie Dorothea kompletnie się załamała i ukryła twarz w dłoniach. Hedy patrzyła na to zbyt rozkojarzona i przestraszona, by sama się rozpłakać. Wreszcie uklękła obok, żeby tamta na nią spojrzała.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. – Wyjęła list, który tak długo pisała na ostatniej, cennej kartce, wielokrotnie złożonej z braku koperty. – Przekaż to Kurtowi, proszę. Wolę nie zostawiać tego w mieszkaniu, żeby nie wpadło w niepowołane ręce.

Dorothea wzięła list i przycisnęła go do piersi.

– Oczywiście. Ale czy jesteś pewna, Hedy? Nie wiem, co zaplanowałam, ale mam przeczucie, że to niebezpieczne.

– Gorzej byłoby siedzieć z założonymi rękami. – Hedy narzuciła płaszcz i zapięła guziki.
– Naprawdę przepraszam.

– Za co? – Dorothea wyglądała na szczerze zdumioną.

– Że cię w to wciągają. I zostawiam samą.

– Och, o mnie się nie martw. – W jej głosie zabrzmiała nowa stanowczość. – Tylko uważaj na siebie, na miłość boską.

Hedy włożyła ręce do kieszeni, aby owinąć się szczelniej płaszczem, i poczuła ciężar przedmiotów w nim zaszytych. Głos zadrżał jej lekko, gdy wykrztusiła odpowiedź.

– No przecież. Spokojna głowa, wszystko będzie dobrze.

*

Wychodził właśnie ze swojego ciasnego kantorku, kiedy je zobaczył. Na ścieżce do kantyny stało sześć czy siedem kobiet – domyślił się, że maszynistek – i zawzięcie dyskutowało. Skłaniały głowy ku sobie, jakby chodziło o coś bardzo ważnego, a zarazem wstydliwego, gdyż oglądały się na boki, czy nikt nie słyszy. Pewnie plotkują o chłopakach, stwierdził w duchu. Może któraś zaszła w ciążę? Wiedział z rozmów podsłuchanych w kwaterze, że Fischer przechodził podobną gehennę ze swoją zamężną kochanką, i poczuł cień satysfakcji, że on i Hedy zawsze uważają. Chcąc pokazać, że nie jest zainteresowany, zszedł ze ścieżki i ominął kobiety szerokim łukiem. Ale gdy przechodził obok, jego uwagę przykuły dwa zdania.

– Przynajmniej nie byłaś z nią w bloku! Kto wie, co mogłam złapać!

Usiłował puścić to mimo uszu, lecz coś mu podpowiadało, że musi dowiedzieć się, w czym rzecz. Upuścił teczkę i zaczął zbierać rozsypane papiery. Długo nie musiał czekać.

– Co ten zarząd sobie wyobraża, żeby zatrudniać Żydów? Mam nadzieję, że dorwą sukę.

Podniósł się z wolna i ruszył w ich stronę. Nie wiedząc, jak zagaić, przemówił z wyżyn autorytetu.

– Tarasują panie drogę. Co was tak bulwersuje?

Najwyższa ze wszystkich, blondynka z warkoczem, wystąpiła przed szereg.

– Przepraszamy, panie poruczniku, ale właśnie doszły nas słuchy, że w Bloku Siódmym pracowała Żydówka. Podobno kradła kupony na benzynę.

Dech mu zaparło i kaszlnął, aby to ukryć.

– Czyżby? A gdzie się teraz znajduje?

– Nikt nie wie. Nie pokazała się od dwóch dni. To nie w porządku, panie poruczniku.

– Skandal – zawtórowała jej brunetka z twarzą mopsa. – Ludzie siedzieli obok niej i nie mieli o niczym pojęcia. Mieliśmy prawo wiedzieć.

Kurt spojrział na ich wykrzywione, płonące świętym oburzeniem twarze, po czym obrócił się na pięcie i ruszył w stronę Bloku Siódmego. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, aż go zemdliło. Czy to możliwe? Jak ją przyłapano? I jakim cudem on nic o tym nie wie? Otworzył drzwi baraku, ale zobaczył tylko garstkę sekretarek, pracujących w porze obiadu. Nie widział nigdzie płaszcz Hedy.

Nie tracąc czasu, żeby się zwolnić, wcisnął koledze papiery, narzucił płaszcz i pokonał biegiem trzy kilometry do jej mieszkania. Zziębnięty stanął pod drzwiami i wykrzykując jej imię, szamotał się z kluczem dłuższą chwilę, po czym wszedł do środka. Pusto. Łóżko było porządnie zaścielone, kilka ubrań nadal wisiało w szafie i naszło go straszliwe podejrzenie, że Hedy została aresztowana. Potem jednak głęboko odetchnął i rozejrzał się na spokojnie. Brakowało szczoteczki do zębów i listów od rodziców w szufladzie. Roztrzęsiony padł na czworaka i zajrzał pod listwę: znikły również pieniądze. Odetchnął z ulgą – pewnie zaplanowała ucieczkę. Ale dokąd, u licha, pojechała?

Dopiero kiedy dotarł do domu Dorothei, gdzie powitała go jej stroskana, blada twarz i list wilgotny od spoczonej dłoni, znowu ogarnęła go panika.

– Wybacz – mruknęła Dorothea. – Próbowałam ją skłonić, żeby mi powiedziała, ale uznała, że lepiej nie, że tak będzie dla nas bezpieczniej. – Stała, obejmując się ramionami, i wytrzeszczała na niego oczy. Oparty o balustradę, odczytał list raz jeszcze. Czytał go już trzykrotnie i wciąż wiedział tyle samo, co na początku.

Najdroższy,

Wiedzą o kuponach. Muszę zniknąć. Pragnęłam dotrzeć z Tobą do końca, ale nie narażę Twojego życia razem z własnym. Nie stchórzę tym razem. Może jeszcze się odnajdziemy,

jeśli los tak zechce. Kocham Cię nade wszystko. Uważaj na siebie.

Hedy

Usiadł na schodach, przetarł oczy i odgarnął włosy z twarzy. Musiał rozważyć wszystkie ewentualności i kolejno je wykluczyć, lecz myślał tylko o jej oczach, zielonych i podszytych melancholią, która zaintrygowała go od pierwszej chwili. Ciągłe tajemnice, myśli, których nie wyrażała, nawet przy nim. Musiała być przygotowana na taki rozwój wypadków, pewnie długo to planowała. Przeklinał się, że był tak mało spostrzegawczy, nie zmusił jej do zwierzeń. Zabrała jednak kilka cennych pamiątek, więc samobójstwo raczej nie wchodziło w rachubę.

Ponownie spojrzął na Dorotheę.

– Mówiła, że Maine jej nie pomaga?

– Wyraźnie zaznaczyła, że nie chce go w nic wciągać. Żeby go nie narażać.

– Przecież nikogo innego nie ma! Nikogo! – Chwilę się zastanawiał. – A dawny szef Antona?

– Pan Reis? Przypuszczam, że od miesiący go nie widziała. Zresztą, podobno leży w szpitalu.

– Ale ktoś inny mógłby ją ukryć?

– Kurt, moim zdaniem ona chce uciec z wyspy.

Skręciło go w żołądku.

– Przecież to szaleństwo!

– Przyznała, że to byłoby głupie i niebezpieczne, kiedy ją zapytałam. Ale zauważyłam, że poczerwieniała i unikała mojego wzroku.

Kurt zerwał się i krążył po pokoju tam i z powrotem.

– Zastrzelą ją, ledwo postawi nogę na plaży! Zresztą, co zamierza? Odpłynąć łódką? Przecież wie, że nie ma połączeń z Anglią.

Dorothea przytaknęła.

– Mogłaby jedynie dopłynąć do Francji. Tylko po co?

Jakby prąd go poraził.

– Do Francji?

– No tak.

Serce ponownie załomotało mu w piersi.

– Chyba wiem, dokąd poszła. Ale muszę się spieszyć.

Dorothea kiwnęła głową, powstrzymując się od dalszych pytań.

– Mam w schowku stary rower Antona...

Hedy ocknęła się gwałtownie, zdziwiona, że zasnęła. Próbowwała rozprostować nogi, ale zdrętwiały z zimna i bezruchu, przestała czuć palce u stóp. Nozdrza wypełnił zapach mokrego drewna i farby. Otuliwszy się płaszczem, wytrzeszczyła oczy w ciemności, próbując rozróżnić nieznajome kształty: narzędzia zawieszane na gwoździach, sznury na hakach. Trzy czwarte przestrzeni wypełniał zawieszony w górze kadłub łodzi. Przez okienko wentylacyjne pod dachem półksiężyc rzucał idealny romb srebrnego światła na chropowatą ścianę; przycisnęła do niej ucho i dobiegł ją odległy plusk fal. Domyśliła się, że musi być czwarta lub piąta nad ranem, została jeszcze godzina lub dwie oczekiwania.

Nierówne kroki na kamykach sprawiły, że usiadła bez tchu. Po chwili drzwi się otworzyły i rozpoznała kręłą postać z bokobrodami oraz cichy, burkliwy głos.

– *Ça va?*

– *Bien.*

Patrzyła, jak ciemna postać rybaka wchodzi do chaty i kuśtyka wokół kadłuba, obmacując go palcami z każdej strony. Marna angielszczyzna Jeana-Paula i kilka francuskich zdań w zasobach Hedy ograniczały rozmowę do pojedynczych słów oraz gestykulacji. Prawie nic o sobie nie wiedzieli i Hedy nie była gotowa mu ufać: kiedy wyjęła banknoty, porwał je z gorliwością, która ją zaniepokoiła. Lecz nie mogła pozwolić sobie na luksus pewności. W ciągu miesięcy, gdy kupowała od niego makrele na wybrzeżu, dowiedziała się tylko, że jego żona zmarła przed rokiem, za co, nie wiedząc czemu, obwinił Niemców. Odraza na jego twarzy wespół ze wzmożonym spluwaniem, towarzyszącym tej opowieści, mówiły same za siebie: rybak nienawidził szwabów i czuł, że nie ma nic do stracenia.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek towarzyszyło jej poczucie, że tak daleko zabrnęła. Myśl o wykorzystaniu tej legendarnej, nielegalnej łodzi zakiełkowała w jej głowie z chwilą, gdy się o niej dowiedziała, lecz wówczas była to jedynie fantazja. Później, podczas długich, wyczerpujących tygodni oczekiwania, czy uniknie wywózki, mrzonka nabrała realnych kształtów i stała się rozwiązaniem, w razie gdyby zawiodły inne sposoby. Lecz nawet wtedy, w chwilach przytomności umysłu dochodziła do wniosku, że stary ją wyśmiej, oświadczy, że łódź nie wytrzyma rejsu, a jego „plan ucieczki” był tylko żartem, który będzie opowiadać w tawernach długo po zakończeniu wojny.

Patrzył na nią szyderczo, gdy zjawiała się u niego przed dwoma dniami o zmroku, usiłując wyłuszczyć swój plan przy pomocy rąk i garstki francuskich słówek, które pamiętała. Pewnie myślał, że pracuje dla wroga, bo tylko chrząkał, kuśtykał po pokładzie kutra i machał na nią ręką, żeby się odczepiła. Dopiero gdy napisała kwotę, poważnie się zainteresował. Pół godziny później, po mozolnej wymianie zdań i długim wpatrywaniu się w horyzont, Jean-Paul – którego imię właśnie poznała – splunął z namysłem na pokład i wyciągnął rękę.

Dzięki bazgrołom rybaka na strzępach gazety pierwszy etap ucieczki miała jasno sprecyzowany. Ukryje się w jego warsztacie, położonym w zaroślach na plaży Fauvic,

rzadko patrolowanej. Tuż przed świtem, gdy fale umożliwią wyprawę, Jean-Paul wyminie skały i odpłyną na bezpieczną odległość, zanim uruchomi silnik. Dwadzieścia dwa kilometry na wschód – jeśli sztorm, prąd odpływowy i patrole pozwolą – późnym popołudniem, o zmroku, dobiegą do cichej zatoczki na południe od Portbail na francuskim wybrzeżu. Dalej plan się rozmywał, a im dłużej o nim rozmyślała, zakrawał na szaleństwo. Wyglądało na to, iż będzie musiała po ciemku, w lodowatej wodzie, dopłynąć do brzegu, co może okazać się ponad jej siły. Potem musiałaby ukrywać się przez kilka dni w stodołach i budynkach gospodarczych na obrzeżach wioski okupowanej przez Niemców, dopóki nie znajdzie kogoś, kto zaoferuje pomoc. Wymyśliła, że później nawiąże kontakt z francuskim ruchem oporu, który przetrzuci ją na granicę ze Szwajcarią.

Ale w ciemnym kącie warsztatu była to przerażająco odległa perspektywa i Hedy starała się nie wybiegać myślą tak daleko. Kurczowo trzymała się przeświadczenia, że dalsze pozostanie na tym skrawku okupowanej skały to pewna śmierć, więc jeśli ma szansę na ucieczkę, musi z niej skorzystać. Burczało jej w brzuchu; nie wiedziała, kiedy coś zje, zapewne nieprędko. Przed oczami stanęła jej uśmiechnięta twarz Kurta i wyrwała szloch z piersi, więc Hedy czym prędzej odsunęła ten obraz. Postąpiła słusznie, pokazała, że go kocha. Klamka zapadła, pieniądze wydane, pozostawało tylko czekać na przyptyw.

*

Kurt nacisnął mocniej pedały, aż poczuł, jak bolą go uda. Przez ostatnie miesiące wmawiał sobie, że mimo ubogiej diety nadal jest w dobrej kondycji, lecz przekonał się teraz, że niekoniecznie. Zardzewiały rower i prowizoryczne opony ze starego węża do podlewania również nie pomagały. Gdy posuwał się niemrawo St Clements Road, paliły go płuca. Z jego obliczeń wynikało, że do przyptywu zostało pół godziny – przy założeniu, że jedzie we właściwym kierunku. Jednak z chwilą, gdy przypomniał sobie opowieść Hedy o rybaku i jego sekretnej łodzi, wiedział, że to jedyna możliwość. Kiedy zdążył na wschód, niebo na wprost przybierało odcień cyjanu ponad dachami. Zanim słońce wszędzie wysoko, zdąży odpłynąć. Musi jechać naprzód.

Adrenalina podsyciała złość, którą czuł. Dlaczego, och, dlaczego to zrobiła, jeśli mogła przyjść prosto do niego? Przecież to samobójstwo, czy tego nie widzi? Lecz mimo wściekłości rozumiał jej pobudki. Upartą, głupią niezależność, za którą tak ją podziwiał.

Wjechał w La Rue de Fauvic, obok kamiennych domków, za którymi rozciągały się pola. Dalej widniała ciemna połać, oby morze. Już niedaleko. Na rozstaju ujrzał w półmroku drogę wiodącą na plażę; wiatr przywiał mu zapach soli. Rozejrzawszy się, czy nikt go nie widzi, wykrzesał resztkę sił, aby przeciąć żwir i wjechać na ubity gościniec. Skrzywienie kół niosło się w ciszy. Gdy ścieżka się urwała i morze wystąpiło mu na spotkanie, zeskoczył z roweru i cisnął go na bok. Pokonał biegiem ostatnie kilka metrów, wyjrzał ponad opaską brzegową i zauważył schody. Rzucił się w tamtą stronę.

Rozejrzał się na wszystkie strony. Wysokie fale nacierały rytmicznie na brzeg, zasłaniając każdą skałę i kamień. Serce Kurta zaczęło się uspokajać, dudnienie w uszach ucichło. Wszystko na nic. Na plaży nie było żywego ducha. Nie zdążył, jeśli Hedy w ogóle tu była, a gdziekolwiek znajdowali się teraz ona i rybak, nic już na to nie poradzi. Na myśl, że spędzi bez niej resztę wojny, poczuł ból w piersi. Oczami wyobraźni ujrzał jej obrzmiałe ciało wyrzucone przez fale albo leżące w lesie z kulą w plecach. Zrozpaczony, utkwiał wzrok w widnokręgu.

Jakiś odgłos na plaży kazał mu skierować wzrok na południe. Dostrzegł kształt w bladym świetle, szara bryła na skraju wody. Zatoczył się w tamtą stronę i w końcu ogarnął to umysłem: widział teraz drewnianą łódkę z czymś, co wyglądało jak silnik na rufie. Brnął naprzód, potykając się o kamienie, ślizgając na wodorostach. Tak, dwie osoby spychały łódź na wodę, obie były niskie i drobne. A jedna...

– Hedy!

Jego głos poniósł się echem na plaży. Sylwetki zamarły. Teraz widział ją jak na dłoni, kształt barków i pochylone ciało. Jej towarzysz, starszy mężczyzna, uniósł ręce jakby w obawie, że zaczną strzelać. Kurt dotarł na odległość pięciu metrów, po czym stanął. Hedy wpatrywała się w niego, blada jak ściana i roztrzęsiona z zimna i strachu. W dzieciństwie wszedł raz do ojcowskiego magazynu i zastał ich dostawcę na krześle, z pętlą w ręku; Hedy miała identyczną minę. Przez chwilę trwali w bezruchu, niepewni, co z tego wyniknie.

– Przepraszam, Kurt. – Trzymała się krawędzi burty; nie wiedział, czy podpira łódź, czy boi się, że upadnie. Łódka podskakiwała na falach. – Muszę to zrobić sama.

– Nie. – Przemówił po angielsku, panując nad głosem, awantura byłaby najgorszym z możliwych rozwiązań. Wyglądało na to, że rybak nie jest uzbrojony, ale trudno przewidzieć, co mu strzeli do głowy. Ani co robi Hedy. – To na nic. Tam są patroli, daleko nie wypłyniecie. – Wskazał na łódeczkę: wyglądała całkiem solidnie jak na coś, co powstało w warsztacie bez odpowiednich narzędzi, ale z góry wiedział, jak to się skończy. – Nawet jeśli przybijecie do Francji, nie zejdziesz z plaży.

– Muszę spróbować. Wyślą mnie do obozu, jeśli zostanę – wykrztusiła zduszonym głosem.

– Posłuchaj mnie, proszę. Wiem, że się boisz. Ale coś wymyślimy. – Nadal się nie poruszał, ze wzrokiem utkwionym w tamtych dwoje. Wiedział, że gdyby wskoczyli do łodzi i zaczęli wiosłować, raczej nie starczyłoby mu siły, aby przyciągnąć ich z powrotem. Widząc, że Kurt nie ma broni, rybak opuścił ręce i uwiesił się na łodzi z drugiej strony. Przenosił wzrok z jednego na drugie w oczekiwaniu na rozwój sytuacji. Jego twarz wyłoniła się w bladym świetle jutrzeńki; wyglądał, jakby z wolna przeżuwał tytoń lub korzeń, a z miny pod bokobrodami jasno wynikało, że gotów był zawalczyć o swoje.

Kurt ponownie spojrzął na Hedy, z której jakby uszło powietrze.

Zniżyła głos do szeptu:

– To jedyne wyjście.

– Nie. Jest jeszcze jedno, lepsze. Przy mnie będziesz bezpieczna, obiecuję. Tylko o jedno cię proszę – nie wsiadaj do tej łodzi.

Hedy popatrzyła na niego, po czym przeniosła wzrok na rybaka. Następnie utkwiała spojrzenie w granatowej linii widnokręgu na jaśniejącym niebie. Kurt spostrzegł z ulgą, że wraca do rzeczywistości i uświadamia sobie daremność swojego przedsięwzięcia. Porzuciwszy nadzieję, puściła kadłub i zakołysała się w miejscu, po czym wymachując rękami, upadła do tyłu w płytkiej wodzie, z głową ponad powierzchnią. Kurt podbiegł do niej, wyciągnął z wody i przytulił, oboje dygotali na całym ciele. Hedy rozplakała się na całego, a rybak stał w milczeniu i spoglądał na nich pustym wzrokiem, wciąż mając coś w ustach, wciąż uczepony łodzi, która podskakiwała na falach.

*

Hedy wyjrzała przez dziurę w zasłonie. Prawie zapadła ciemność, wiatr się wzmógł: słyszała, jak hula wśród drzew na Westmount.

– Tylko żebyś wszystko dobrze obciążyła – przypomniał jej Kurt. – I żeby nikt cię nie widział, jak będziesz wracać. Spakowana?

Zajrzała do wiklinowej torby z rzeczami osobistymi, które miała ze sobą zabrać. Było w niej wszystko, co posiadała, z wyjątkiem płaszcza, który leżał na łóżku, jeszcze wilgotny. Nie miała serca sprawdzić, co zostało z listów od rodziców, podejrzewała jednak, że bezkształtna masa. Później rozpruje podszewkę, żeby wyjąć szczoteczkę do zębów.

– Spakowana. Już prawie czas. Co zrobisz?

– Przejdę się po mieszkaniu, czy nie zostały żadne ślady. A klucz?

– Wrzuc do skrzynki – poprosiła. – Już tu nie wrócimy. – Zasłoniła usta, odbijało jej się z nerwów. Piekło ją w pustym żołądku, lecz nie marzyła o jedzeniu, tylko o papierosie. W tej chwili oddałaby wszystko, żeby zapalić. Ale nie mieli już tytoniu, zresztą w tym stanie pewnie by zwymiotowała. Narzuciła płaszczy, drżąc w zetknięciu z mokrą tkaniną, po czym sięgnęła po kupkę starannie wybranych ubrań: bawełnianą koszulę, znoszony sweter z dekoltem w szpic, tweedową spódnicę i sfatygowane buty, za które Kurt zapłacił krocie na czarnym rynku. Wepchnęła rzeczy pod palto i zapięła guziki, przytrzymując wszystko jedną ręką. – Postaram się szybko uwinąć.

– Bądź ostrożna.

Wymknęła się z mieszkania i ruszyła Pierson Road z ręką przyciśniętą do piersi, żeby nic nie wypadło spod płaszcza. Ulica opustoszała przed godziną policyjną, w czym nie było nic dziwnego. Musiała iść szybko i bezszelestnie; starała się stąpać ostrożnie, jak młode jelenie, które widywała w lasach wokół Wiednia. Jakie to szczęście, pomyślała z rozgoryczeniem, że ważę tyle samo, co wtedy, kiedy miałam trzynaście lat. Zdyszana przecięła promenadę w stronę nabrzeża, rozglądając się na wszystkie strony, czujna na

każdy ruch oraz błysk światła. Chwała niebiosom, że księżyc schował się dziś pod pierzyną chmur.

Dotarła do nabrzeża i przeszła przez tory, rok wcześniej położone przez Niemców do przewożenia materiałów budowlanych, i skierowała się ku schodom na plażę. Upewniwszy się po raz ostatni, że w okolicy nie ma patrolu, ruszyła na dół. Wysokie stopnie utrudniały zadanie, poza tym musiała uważać, żeby się nie pośliznąć – upadek i złamana kostka przekreśliłyby wszystkie plany. Wreszcie stanęła na plaży. Po obu stronach wznosiło się ogrodzenie z drutu kolczastego i postawiono tablice, że teren jest zaminowany, ale wystarczy miejsca na to, co zaplanowała. Dysząc nerwowo, wyjęła rzeczy zza pazuchy i położyła je na piasku. Żał było zostawiać takie skarby, kusił ją, żeby zatrzymać chociaż sweter. Całość musiała jednak wyglądać wiarygodnie, a spektakl wymaga pewnych ofiar. Złożyła wszystko w kostkę, po czym wyjęła z kieszeni list pożegnalny i umieściła go na wierzchu. Następnie rozejrzała się za możliwie jak największym kamieniem i użyła go jako przycisku. Wstała, by przyjrzeć się swojemu dziełu. Wiedziała, że nie ma miejsca na niedociągnięcia.

Po czarnej tafli prześliznął się snop reflektora morskiego patrolu. Pomyślała o Jeanie-Paulu, liczącym pieniądze w ciemnym kącie oberży. Widziała na odchodne jego zgarbione, czerstwe ciało, gdy z powrotem zaciągał łódź do warsztatu: może nie chciał podejmować samotnej próby, a może przełożył rejs na kiedy indziej. Miała nadzieję, że mu się uda, choć rozumiała, że pewnie nigdy się o tym nie dowie. Należał do świata, który opuszczała.

Przez kilka godzin nie zgadzała się na pomysł Kurta. Nie, żeby upozorowane samobójstwo było grubymi nićmi szyte; w ostatnich latach wielu wyspiarzy targnęło się na własne życie, a ona miała ku temu więcej powodów niż większość z nich. Bardziej chodziło o to, że w małej, pilnie strzeżonej społeczności człowiek długo się nie ukryje. I czy w ogóle zdołałaby tak żyć? W porównaniu z tym dotychczasowe trudności zdawały się błahe. Ile miałyby to potrwać? Rok, dwa lata? Pięć, sześć, siedem? Cyfry wirowały jej w głowie, oderwane od rzeczywistości, przerażające. Ale nie ma innego wyjścia. Kurt ma rację, jeśli prawdziwe zniknięcie nie wchodzi w rachubę, musi wystarczyć udawane.

Obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem wykreowaną przez siebie opowieść, zakradła się z powrotem na schody i główną drogę. Szybko, ile sił w nogach, minęła dawny People's Park, obecnie kwaterę Organizacji Todt, co rusz oglądając się na boki. Korzystała przy tym z okazji, by nacieszyć się świeżym powietrzem i rozkoszować zapachem morza oraz drzew iglastych. Objęła wzrokiem wspaniałość gwiazd, majestat kłębiastych chmur, i próbowała wyryć je w pamięci. Upłynie dużo czasu, nim znów to wszystko zobaczy.

Dotarła do wąskiego wlotu alejki na tyłach szeregowych domów West Park Avenue i upewniwszy się po raz ostatni, że nie jest obserwowana, ruszyła szybkim krokiem w stronę siódemki. Podniosła drewnianą zasuwę i weszła na podwórko, następnie podbiegła do tylnego wejścia i zapukała cztery razy, tak jak się umówili. Drzwi natychmiast się otworzyły i Hedy weszła do środka, roztrzęsiona z zimna i strachu. Kurt

stał w kuchni z wyczekiwaniem na twarzy. Dorothea objęła ją szybko, po czym zamknęła drzwi i zasunęła ciężki, czarny rygiel.

9

Kurt stanął w korytarzu kwatery i nadstawił uszu. Na szczęście – albo nieszczęście, w zależności jak na to spojrzeć – w starym domu wszystko skrzypiało i każdy krok na górnych piętrach było słychać na parterze. Pozostali oficerowie kręcili się w swoich pokojach, chodzili do łazienki, zamykali drzwi. Uznał, że ta pora będzie idealna: część ludzi wyszła już na nocną zmianę, a reszta korzystała z przerwy w pracy, żeby się umyć, napisać do domu lub uciąć komara. Za około kwadrans Fischer i pozostali zejść na dół na kolację przygotowaną przez miejscową gospodynię, panią Mezec, która przychodziła codziennie, by zabrać rzeczy do prania i przygotować posiłki. Podobno była kuzynką właścicieli, którzy wyjechali w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, i miała oko na dom. Odzywała się jedynie w sytuacjach, gdy było to bezwzględnie konieczne, i w każdy piątek brała pensję z ponurym skinieniem głowy. Większość oficerów nie zwracała na nią uwagi bądź pozwalała sobie na niewybredne żarty, jaka to wdzięczna byłaby za ich względy. Kurt często obwąchiwał talerz, który przed nim stawiała, doskonale wiedząc, jak odpłaciłby się na jej miejscu.

Wszedł do kuchni z miną, jak miał nadzieję, niezobowiązującego zainteresowania dzisiejszym jadłospisem i uśmiechnął się do pani Mezec, która właśnie mieszała coś w garnku. Nie wysiliła się na powitanie. Kurt poprawił ustawienie krzeseł, jakby szykował stół na przyjęcie, po czym usiadł.

– Co dziś na kolację, pani Mezec?

– Gulasz wieprzowy.

Entuzjastycznie pokiwał głową, ciekaw, którego nieszczęsnego rolnika pozbawiono cennej świni. Oznaczało to jednak, że w spiżarni najpewniej ostały się resztki mięsa. Hedy początkowo odmawiała jedzenia wieprzowiny, ale już dawno porzuciła tradycję.

– Brzmi pysznie. Tak przy okazji, okno w łazience znowu się zacina. Zechciałaby pani zerknąć?

Obrzuciła go spojrzeniem, od którego muchy padały w powietrzu.

– Nie jestem od naprawiania.

Kurt uśmiechnął się przymilnie.

– Oczywiście, ale ma pani... jak to się u was mówi... smykałkę.

Pani Mezec odłożyła drewnianą łyżkę i przewróciwszy oczami, czego nawet nie próbowała ukryć, wyszła z kuchni, żeby to sprawdzić. Kurt zerwał się od stołu i rzucił do spiżarni, przytrzymując zatrząsk drzwi palcem, żeby nie szczęknął. Wewnątrz panował

półmrok, lecz tak jak podejrzewał, na półce leżała okazała gicz przykryta muślinem. Wystarczyło odkroić plaster. Już miał wyjąć ostry nóż z szuflady, kiedy usłyszał kroki na schodach. Diabli nadali, będzie musiał zakraść się o świcie, żeby dokończyć misję. Czym prędzej stanął przy zlewie i udał, że myje ręce.

– Dobry wieczór, Rümmele. – Fischer był elegancko ubrany i pachniał perfumowanym mydłem. Kurt mógł się tylko domyślać, skąd, u licha, je wziął. Krążyły plotki, że porzuciwszy zamężną kochankę w ciąży, zajął się wdową po miejscowym arystokracie. – Czekasz na kolację?

– No ba. Konam z głodu – odparł Kurt lekkim tonem. – Jak ci minął dzień?

Fischer odchrząknął i rzucił na stół lokalną gazetę.

– Strata zakichanego czasu. Musiałem iść na pogrzeb alianckich marynarzy, których wyrzuciło na plażę. Ci z góry postanowili wysłać gwardię honorową i pluton salutowy, żeby okazać „szacunek”. Na cholere, pytam?

W rzeczy samej, pomyślał Kurt, zważywszy na to, jak traktujemy ich za życia. Ale nadał twarzy wyraz uprzejmego zainteresowania. Fischer wskazał na gazetę.

– Gdzieś tutaj jest zdjęcie. – Kurt posłusznie wziął dziennik i go przekartkował, a Fischer nadawał dalej. – Rzygać mi się chce, że alianci minują morze dokoła wysp, żeby obciąć nam dostawy z Francji, a my mamy im oddawać honory.

Kurt przytaknął odruchowo, ale już nie słuchał. Wewnątrz gazety znajdowało się zdjęcie Hedy, wykonane u fotografa i pozowane, a sądząc po zaokrąglonej twarzy i świetlistej cerze, na pewno stare, być może sprzed wojny. Może zamówiła portret, żeby wysłać rodzinie w Austrii. Miała zaczesane do tyłu, gęste, błyszczące włosy, oczy spoglądały ku górze na coś lub kogoś z prawej strony obiektywu; uśmiechała się lekko, a zarazem twarz wyrażała lekki smutek. Zdjęcie opatrzone tekstem po niemiecku, z angielskim tłumaczeniem pod spodem:

OGŁOSZENIE

Niemieckie władze poszukują panny Hedwig Bercu (patrz zdjęcie), maszynistki, narodowość nieznana, lat 24, zamieszkałej dawniej przy West Park, I Canon Tower. Widziana ostatnio 4 listopada 1943 roku. Osoby znające miejsce pobytu panny Bercu są proszone o kontakt z Feldkommandantur 515, która gwarantuje im anonimowość. Każdy, kto ukrywa pannę Bercu bądź pomaga jej w inny sposób, podlega surowej karze.

I podpis komendanta, z dzisiejszą datą.

Raz jeszcze odczytał anons. Spodziewał się tego, rzecz jasna. Od zniknięcia Hedy minęło dziesięć dni i na przekór jej staraniom tajna policja nie miała kłopotu z ustaleniem adresu. Zmartwiło go jednak, że w tekście nie ma mowy o samobójstwie. Czyżby nie znaleźli ubrań i listu? Może nie uwierzyli, że odebrała sobie życie? A może brak wzmianki na ten

temat to pułapka? Zerknął na Fischera, zastanawiając się, czy ten celowo nie podsunął mu gazety, żeby zobaczył zdjęcie. Może to podstęp w celu wybadania reakcji Kurta? Głowił się nad tym, gdy naraz spostrzegł, że Fischer nadal coś do niego mówi.

– Nie uważasz?

– Hm?

– Mówię, żeby następnym razem wrzucić trupy do rowu i po sprawie. Albo wykorzystać je na opał. Diabelnie zimno w tym domu! – Fischer zaśmiał się z własnego dowcipu.

Kurt pomyślał o krematoriach i miał ochotę rzucić Fischerem o ścianę. Opanował się jednak i z uśmiechem złożył gazetę.

– Jeszcze jak. A wiesz, mój znajomy inżynier zdobył w zeszłym tygodniu drewno na opał. Zajrzę do niego, może coś nam odpali. – Pomachał gazetą, idąc za ciosem. – Mogę pożyczyć? Widziałem zdjęcie tej zaginionej Żydówki: gość mieszka obok budowy, może coś widział.

Fischer kiwnął głową jak gdyby nigdy nic. Kurt wyszedł na korytarz, zdjął płaszcz z wieszaka i wymknął się z domu. Jeśli część trasy pokona truchtem, dotrze na West Park Avenue w ciągu pół godziny.

*

– W porządku, sprawdzam. – Hedy wyłożyła swoje dziesięć kart na stół

Dorothea pochyliła się nad blatem, aby rzucić okiem, i zmarszczyła brwi z lekkim zakłopotaniem.

– Musisz mieć co najmniej trzy po kolei, Hedy.

– Przecież mam: królową, króla i asa.

– W tej grze as jest najsłabszy, pamiętasz? – Dorothea oparła się na krześle i uśmiechnęła szeroko jak do dziecka. – Nieważne, rozdajmy jeszcze raz. Prawie ci się udało.

– A możemy przerwać? – Hedy usłyszała w swoim głosie napięcie. – Jestem trochę zmęczona.

Była to marna wymówka, lecz myśl o dalszym siedzeniu przy stole i rozegraniu kolejnej partii bezsensownej gry wzbudziła aż nadto znajome ostatnio uczucie paniki. Jak zwykle towarzyszyła mu wzmożona potliwość, brak tchu i przemożna chęć, by wybiec na ulicę. Wiele ją kosztowało, by wytrwać na tym krześle. Dorothea zebrała karty i schowała je z powrotem do pudełka.

– Masz rację, ile można grać. Może sprawdzę, co mamy w spiżarni?

Hedy utkwiała wzrok w nowej współlokatorce, zdumiona jej stoicyzmem. Jakby miały ujrzeć półki uginające się od pieczonych kurczaków oraz ciast domowej roboty i wystarczyło zdecydować, co dziś podadzą. Niezmordowana wesołość oraz twarde unikanie przykrych wspomnień i myśli zbijały Hedy z tropu; raz czy dwa zastanawiała się nawet, czy Dorothea ma coś z głową. Nie dalej jak przedwczoraj wyciągnęła radio

ze schowka pod schodami i skulone w progu wysłuchały ściszonej wiadomości, gotowe natychmiast ukryć odbiornik, gdyby ktoś zapukał. Wiadomości nie napawały optymizmem, a głównym tematem była klęska aliantów w bitwie o Dodekanez. Tymczasem Dorothea schowała radio i zajęła się albumami z wycinkami o gwiazdach, nucąc skoczny amerykański standard, jakby wszystko po niej spłynęło. Hedy, doprowadzona melodią do granic wytrzymałości, sprawdziła dla zabicia czasu w starym atlasie, gdzie leży Leros.

Zauważyła też, że Dorothea zaczęła unikać każdej wzmianki o Antonie, chociaż Hedy widziała, jak całuje jego zdjęcie przed pójściem spać. Hedy mogła mówić o nim wyłącznie w kontekście przeszłości i tylko dobre wspomnienia były dozwolone. Dyskusję o miejscowych problemach też z miejsca ucinano, bez względu na to, czy dotyczyła zeszlotygodniowych nalotów, od których szyby mało nie wypadły z okien, czy ogłoszeń w sprawie braku soli. Dorothea przewrotnie kierowała rozmowę na ukochane gwiazdy filmowe bądź wymyślone życiorysy lalek z włóczki, które trzymała na parapecie sypialni. Przedstawiła je Hedy jedną po drugiej, tłumacząc pochodzenie ich imion i zaglądając w pozbawione wyrazu włóczkowe oczy, jakby czytała im w myślach. Hedy spoglądała czasem na to przerośnięte dziecko z urojeniami i musiała sobie przypomnieć, że ma do czynienia z tą samą kobietą, która bez strachu śpiewała pieśni patriotyczne w obecności Niemców.

Uświadomiła sobie, że Dorothea czeka na odpowiedź.

– Naturalnie – rzekła Hedy. – Chodźmy.

Początkowo odrzuciła sugestię Kurta, by ukryć się u Dorothei. Po pierwsze, była pewna, że Dorothea nie zgodzi się na tak niebezpieczny układ na dłuższą metę. A Hedy dostanie bzika, zdana na jej towarzystwo dłużej niż dwie godziny.

Ale Kurt wysunął niepodważalne argumenty. Praktycznie nikt na wyspie nie jest w stanie ich powiązać, gdyż pokazały się razem publicznie zaledwie kilka razy. Żadna nie ma przyjaciół, którzy mogą wpaść niezapowiedziani lub zadawać niewygodne pytania, a w domu jest dużo miejsca bez Antona. Poza tym, czy mają inny wybór?

Dorothea zgodziła się od razu. Nie wahała się ani chwili, nawet gdy Kurt bez ogródek wyłuszczył jej związane z tym ryzyko. Wieczorem, w dniu przybycia Hedy, sprawiała wrażenie podekscytowanej perspektywą wspólnego zamieszkania i biegała z pokoju do pokoju w poszukiwaniu koców na stary, pojedynczy materac, który wciągnęła z Kurtem na strych przez malutki właz. Wsunęła pod okap stare skrzynki i wiekowe, rozpadające się chodniczki, aby stworzyć część sypialną, po czym umieściła tam cenną świecę w świeczniku i kilka książek do czytania. W ciągu dnia Hedy mogła swobodnie przemieszczać się po domu, byle trzymała się z dala od okien. W razie gdyby ktoś zapukał, komódka umieszczona strategicznie pod wejściem na strych oraz krótka drabinka umożliwiały jej powrót do kryjówki w ciągu pół minuty.

Hedy siliła się na wdzięczność, ale nowa, więzienna rzeczywistość stanowiła dla niej trudną próbę. Warunki do spania, na przekór staraniom gospodyni, doskwierały jej

w sposób szczególny. Nieprzenikniona ciemność, gdy zdmuchiwała świecę, była koszmarem: ilekroć opodal przebiegała mysz lub szczur, znalezienie zapalki graniczyło z cudem. Z uwagi na ziąb spała w ubraniu, a gdy musiała iść za potrzebą, ryzykowała, że nie trafi do wiadra, albo musiała czekać do rana. Żeby nadrobić brak snu, w ciągu dnia uciniała sobie drzemkę w salonie, ale najmniejszy hałas na ulicy sprawiał, że zrywała się jak oparzona. Po raz pierwszy zaczęła się martwić bardziej stanem umysłu niż ciała. Poczucie obowiązku i wdzięczność odsuwały te myśli na drugi plan, zresztą nie chciała, by Dorothea trzęsła się nad nią jeszcze bardziej niż dotychczas. Ale świadomość, że najlepszym remedium na ów stan byłby spacer na świeżym powietrzu, obecnie nie do pomyślenia, sprawiała, że miała ochotę zwinąć się w kłębek i krzyczeć.

Do tego dochodziła kwestia wyżywienia. Ponieważ nie mogły już korzystać z kartek Hedy, musiały zadowolić się jedną i tym, co Kurt zdołał im czasem podrzucić. Obecnie były od niego zależne, tak jak on liczył na ich rozsądek i bezpieczeństwo. Niekiedy podczas urywanych, popołudniowych drzemek Hedy śniła o przewiązonym sznurkiem trójnogu z patyków, stojącym w szczerym polu i targanym przez wiatr, pod naporem którego w każdej chwili mógł się przewrócić. Wówczas budziła się z krzykiem, a na pytanie Dorothei odpowiadała, że śniły jej się potwory. Nie dowiedziała się, czy Dorothea jej wierzy, w każdym razie więcej o tym nie rozmawiały.

Zerwały się na dźwięk umówionego pukania. Dorothea upewniła się przez okno w kuchni, że to Kurt, i go wpuściła. Hedy podbiegła i go uściskała, kryjąc rozczarowanie, że przyszedł tylko z gazetą.

– Wybacz – rzekł, czytając jej w myślach. – Fischer pokrzyżował mi szyki, ale postaram się jeszcze dziś zejść do kuchni. Pomyślałem, że musisz to zobaczyć.

Pokazał jej ogłoszenie. Hedy przeczytała je kilkakrotnie i utkwiała wzrok w zdjęciu. Zrobiła je w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku i wstrząsnęły nią zmiany fizyczne, które w niej zaszły; zastanawiała się, czy Kurt myśli o tym samym. Złożyła gazetę i mu oddała.

– Wiedzieliśmy, że tak będzie. Może jeszcze nie znaleźli listu i odzieży. Ludzie nieczęsto bywają teraz na plaży.

– Może i tak.

– Zostaniesz chwilę?

Z żalem zaprzeczył.

– Wyszedłem po drewno, muszę wracać. – Pogłaskał ją po twarzy. – Starczy wam jedzenia na dziś?

Hedy zdobyła się na bohaterski uśmiech.

– Damy sobie radę. Nic się nie martw.

Kurt pocałował ją delikatnie w usta i zniknął za drzwiami. Hedy miała ochotę się rozplakać, ale przełknęła łzy. Dorothea na pocieszenie musnęła palcami jej kark i pchnęła ją w stronę spiżarni.

Otworzyła drzwi.

– No dobrze, co my tu mamy? Co powiesz na tłuczoną brukiew z gotowanym ziemniakiem?

– Ledwo wystarczy dla jednej osoby.

Dorothea zaśmiała się niedorzecznie.

– Ty zagotuj wodę, a ja pokroję brukiew, dobrze? – Kiedy Hedy lała do garnka lodowatą wodę, Dorothea wzięła brukiew i zaczęła z wprawą kroić ją w plastry na drewnianej desce, nucąc pod nosem melodię, którą Hedy skądś znała. – Znasz? – spytała.

Hedy zmusiła się do odpowiedzi.

– Z filmu, prawda?

– *Panowie w cylindrach*, z Fredem Astaire’em i Ginger Rogers. Najlepszy utwór tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Oglądałaś?

– Nie pamiętam.

Przez głowę przelatywały jej urywki ogłoszenia. „Widziana ostatnio... każdy, kto ukrywa... podlega surowej karze”. Nóż Dorothei zatapiał się w warzywo, plastry spadały jeden za drugim, bezradne w zetknięciu ze stalą. Ostrze raz po raz tonęło w bladym miększu. Hedy poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła, i zrozumiała, że nawet tak mizerny posiłek może być ponad jej siły.

– Czy wiesz – mówiła Dorothea – że Ginger Rogers musiała stoczyć bój z reżyserem o tę suknię? Wiesz, tę z piórami. Ale postawiła na swoim i to najpiękniejsza suknia w całym filmie. Po kolacji pokażę ci zdjęcie. Mam też zdjęcia innych sukien Ginger. Ma styl, nie sądzisz? Chcesz obejrzeć?

Hedy usłyszała swój głos z głębi długiego tunelu, kiedy zmusiła się do bladego uśmiechu.

– Tak. Tak, bardzo chętnie.

*

Kurt zastygł na ścieżce ze wzrokiem skierowanym w niebo. Wszyscy wokół niego zrobili to samo, jak zaczarowani. Samolot, doskonale widoczny na błękitnym, zimowym niebie, wspiął się, po czym zanurkował, prezentując światu okrągły znak RAF-u. Zewsząd rozległy się strzały artylerii przeciwlotniczej i widok dymu, który buchnął z ogona, zaparł wszystkim dech; myśleli, że dostał. Kurt czekał, aż spadnie, kosząc ludzi i domy, lecz samolot począł znowu się wznosić, a dym utworzył kształt litery „V”.

Zbiorowy pomruk na placu przeszedł w gwar, gdy ludzie zaczęli pytać jeden przez drugiego, w czym rzecz. Czy to początek nalotu, czy ostrzeżenie przed czymś jeszcze gorszym? A kiedy dym się rozwiął i samolot pomknął na północ ku angielskiemu wybrzeżu, większość doszła do wniosku, że to zapewne życzenia świąteczne dla wyspiarzy

od pana Churchilla. Brawo, pomyślał Kurt, choć zrzucenie prowiantu sprawiłoby tym ludziom znacznie więcej radości.

Skierował się z powrotem do blaszanej szopy, gdzie ostatnia partia furgonetek czekała na naprawę. Wtedy go zobaczył. Wszędzie rozpoznałby ten kapelusz, kretyńsko przekrzywiony na bakier, nawet w tłumie. A kiedy świńskie oczka odnalazły Kurta i zmrużyły się w fałszywym uśmiechu, domyślił się, że nie chodzi o towarzyską wizytę. Uznał, że lepiej zrobić pierwszy krok, i wyciągnął rękę na powitanie.

– Jak się masz, Erichu? Dawno się nie widzieliśmy.

Wildgrube podał mu oślizłą dłoń.

– O tak. Bardzo dawno.

Kurt od razu uświadomił sobie swój błąd. Po paskudnym wieczorze w klubie oficerskim wzburzenie nie pozwalało mu widywać się z tamtym na towarzyskim gruncie. Prawdę powiedziawszy, nie miał pewności, czy nie wypije za dużo i czegoś nie chlapnie, może nawet wywoła bójkę. Nie pił już z Wildgrubem i zasłaniał się jakąś wymówką, ilekroć tajniak proponował mu „męski wieczór”. Nie licząc urodzin, które Wildgrube sam sobie wyprawił i na których Kurt wysiedział niechętnie pół godziny, spotykali się przy oficjalnych okazjach bądź wpadali na siebie na ulicy. Nie ulegało wątpliwości, że Wildgrube czuje się urażony i nie omieszka Kurtowi za to odpłacić.

Kurt zbeształ się w duchu, że nie przewidział takiej ewentualności. Przywołał na twarz serdeczny uśmiech.

– Cóż mogę dla ciebie zrobić?

Wildgrube dobył z wewnętrznej kieszeni zeszytik i przekartkował go, aż doszedł do właściwej strony. Kurt widział, że ma tam zdjęcia ludzi będących przedmiotem zainteresowania tajnej policji. Wildgrube podsunął mu pod nos jedno z nich.

– Znasz tę dziewczynę?

Kurt nie musiał patrzeć, lecz udał, że przygląda się uważnie. Była to fotografia Hedy, którą zamieszczono w gazecie. Krew zaczęła mu żwawiej krążyć, ale umysł przemówił ścisłym głosem: to, jak się teraz zachowa, może wpłynąć na jego dalsze losy.

– Widziałem to zdjęcie w gazecie kilka tygodni temu. Zaginęła, tak? – Przeniósł wzrok na tajniaka i ujrzał, że tamten nie spuszcza z niego oczu.

– Owszem. Kojarzysz ją?

Czując gorący, kwaśny oddech tamtego na twarzy, Kurt pospiesznie zebrał myśli, usiłując ocenić, co Wildgrube może już wiedzieć.

– Trochę. – Próbował przypomnieć sobie treść wcześniejszych rozmów. – Czy to Żydówka, która dostała tu pracę? – Wildgrube potwierdził lekkim skinieniem. – Właściwie nie wygląda na Żydówkę. Może stąd wynikał ten błąd, ktoś nie sprawdził jej papierów.

– Ale ją kojarzysz?

– Z widzenia.

– Nic poza tym?

– Niestety, nie.

Wildgrube schował zeszycik z powrotem do kieszeni. Kurt poznał po drgnięciu kącika ust, że tamten ma asa w rękawie i rozkoszuje się myślą, że zaraz go zaprezentuje. Żalony typ, pomyślał. Zabawa w kotka i myszkę nadaje sens jego życiu.

Wildgrube z lubością przeciągał tę chwilę.

– Niestety, poruczniku, inni twierdzą co innego. Feldwebel Schulz pamięta jak dziś, że byłeś nią zainteresowany, gdy przyszła na rozmowę kwalifikacyjną dwa lata temu. Nawet za nią poszedłeś.

Jezu, spłoszył się Kurt. Jakim cudem ludzie pamiętają takie rzeczy? Jakby nie mieli o czym myśleć.

– Cóż, jeżeli Schulz tak twierdzi, zapewne się nie myli. Niezła cizia, jeśli mam być szczerzy... jakbyś nie zauważył – dodał pośpiesznie.

– Kilkakrotnie widziano też, jak z nią rozmawiałeś.

Kurt grał na zwłokę. A byli tacy ostrożni. Oczywiście Wildgrube może kłamać. Ale mogło się zdarzyć, że zanim Kurt dowiedział się prawdy, zanim przedsięwziął środki bezpieczeństwa...

– Możliwe, że rozmawiałem z nią raz czy dwa. Ale szczerze powiedziawszy, Erichu... – spróbował się uśmiechnąć, nie wiedząc, czy zdoła – ...rozmawiam z wieloma dziewczętami. Trudno, żebym zapamiętał! – Zaśmiał się, ale wyraz twarzy Wildgrubego nie uległ zmianie.

– Czy masz świadomość, że ta kobieta dłuższy czas kradła kupony na benzynę?

Kurt wydmuchał ze świstem powietrze.

– A więc to prawda. Słyszałem plotki sekretarek. Została przyłapana?

– Mamy wystarczające podstawy, żeby ją aresztować.

– I dlatego znikła? – Kurt badał grunt.

– Bez wątplenia. Szkodnik jest na wolności i zapadł się pod ziemię. Obawiam się też, iż zainteresowanie kuponami to coś, co was łączy.

Kurt nabrał tchu. Atak był jedynym rozwiązaniem.

– Do diabła, Erichu, dałbyś już spokój. Zbłądziłem raz, przed laty, i dostałem za swoje. Połowa pracowników coś kradnie! Masz zamiar uważać mnie za współnika każdego, kogo przyłapiesz?

Wildgrube beznamiętnie się w niego wpatrywał.

– Zatem nic nie wiesz o tej kobiecie ani gdzie przebywa?

– A skąd miałbym wiedzieć? – Bezsilnie rozłożył ręce. – Ale wyspa jest mała, więc nie powinno być trudno ją znaleźć.

– I właśnie to jest ciekawe. – Wildgrube poprawił kapelusz, przekrzywiając go jeszcze bardziej. – Znaleźliśmy stertę ubrań na plaży i list pożegnalny, napisany jej własną ręką. Porównaliśmy z próbkami w biurze.

– A widzisz. No to masz odpowiedź na swoje pytanie.

– Poniekąd. Ale niezupełnie. Znasz się na pływach? – Kurt neutralnie wzruszył ramionami, choć domyślał się, do czego tamten zmierza. – Są tu największe różnice wysokości przyplływów i odpływów na świecie. Jak zaobserwowaliśmy na podstawie statków zbombardowanych w okolicy, ciała niezawodnie są wyrzucane na brzeg. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu fale przytargały masę śmieci. I żadnego topielca. Ani jednego, przez cały miesiąc.

– Może wypchała kieszenie kamieniami albo natrafiła na minę.

– Możliwe. Albo to całe „samobójstwo” to fortel i dziewczyna wciąż jest na wyspie. Jeśli tak, prędzej czy później ją znajdziemy. Dostanie za swoje, ona i jej pomagierzy. – Wildgrube strzepnął niewidoczny pyłek z peleryny. – Miło się z tobą gawędziło, Kurt. Dziękuję za pomoc w tej sprawie. Nie wątpię, że wrócimy do tematu. – Po czym skłonił się teatralnie i odszedł. Kurt odprowadził podskakujący kapelusz wzrokiem, powtarzając w myślach jedno słowo. *Scheisse... scheisse... scheisse.*

*

Nadeszła Wigilia. Z parku niosły się dźwięki kolęd i drzwi trzaskały na ulicy, gdy kobiety pędziły do miasta i z powrotem w poszukiwaniu czegoś na świąteczny stół. Większość wracała z niczym. Widoczne przez okno skrawki nieba miały ołowiany odcień, który udzielał się dachom i kominom, gdzieś za chmurami słońce chyliło się ku zachodowi.

Hedy siedziała z podkulonymi nogami i kręciła się w poszukiwaniu wygodnej pozycji. Odkryła niedawno, że brak tkanki tłuszczowej oznacza, iż długotrwałe siedzenie, nawet na poduszce, może być bolesnym doświadczeniem. Ale cóż innego miała do roboty? Całe popołudnie chodziła z pokoju do pokoju w poszukiwaniu równowagi między rozgrzaniem się a utratą energii, lecz wczoraj nawet wspinaczka po schodach na strych przyprawiła ją o zawroty głowy. To osłabienie ją przerażało. A gdyby musiała uciekać? Gdyby zachorowała? Konieczność leczenia pociągnęłaby za sobą wciągnięcie do spisku doktora Maine’a, a tego chciała uniknąć. Póki co, nie doszło do żadnych aresztowań w związku z jej sprawą, co oznaczało, że albo Quinn nie wspomniał o lekarzu, albo Niemcy odstąpili od prześladowania użytecznej jednostki w oparciu o pogłoski. Dorothea wspomniała, że widziała chyba, jak przed dwoma tygodniami Maine wychodzi ze szpitala, ale było ciemno, więc nie była pewna. Hedy usilnie pragnęła w to wierzyć.

Spojrzała na kalendarz sporządzony z wycinków z czasopism filmowych, z datami zaznaczonymi tępym ołówkiem. Przed oczami stanęło jej Boże Narodzenie w Wiedniu: światełka na placach, stragany pełne towarów na jarmarku. Nie obchodzili świąt, ale lubiła tę atmosferę na ulicach i udzielała się jej ekscytacja przyjaciół i sąsiadów chrześcijan. Kiedyś Rika dostała od wielbiciela wielką paczkę żółtych i różowych słodczy. Ciekawe, co dzisiaj robi – o ile jeszcze żyje.

Mieszkała u Dorothei ponad sześć tygodni. Miały na tydzień sześćdziesiąt gramów margaryny, dwieście gramów mąki, osiemdziesiąt pięć gramów cukru, sto piętnaście mięsa oraz dwa kilogramy chleba. Ledwo pamiętała smak herbaty. Sól była niemożliwa do zdobycia, chyba że ktoś miał dostęp do wody morskiej. W każdy piątek Dorothea wpadała jak burza do domu z wyrazem szczęścia na bladej twarzy i kładła na stole prowiant na cały tydzień. Uradowane pochłaniały znośny obiad, na przykład kawałek ozora ze skibką okupacyjnego chleba bez smaku lub ochłap baraniny z importu, uduszonej z garstką ziemniaków. Następnie z ociąganiem chowały resztę do spiżarni i przez kolejne dni wydzielały sobie po trochu. Kurt nadal przynosił, co mógł, lecz wiedząc, że jest obserwowany, obecnie ograniczał wizyty do jednej bądź dwóch w tygodniu i często zjawiał się z pustymi rękami. W zeszłą niedzielę zabawił tylko dziesięć minut, uściskał Hedy w przelocie i pocałował ją w czoło; czasami się zastanawiała, czy ten brak nie jest najbardziej dotkliwy spośród wszystkich.

Mijały godziny. Na zewnątrz zapadła całkowita ciemność, w domu panował ziąb. Nie miała odwagi rozpaść ognia: zostało im niewiele drewna, zresztą pod nieobecność Dorothei nie mogła ryzykować. Ograniczyła się do zapalenia lampy naftowej. Od sąsiadów dobiegały odgłosy świętowania, zebrano się u nich kilka osób. Hedy próbowała sobie przypomnieć, jakie to uczucie beztrąsko spędzać czas.

Kiedy zegar wskazał ósmą, zaczęła się niepokoić. Dorothea nigdy nie przebywała do późna poza domem, nawet gdy odwiedzała chorą babcię. Wyszła w porze obiadu, mamrocząc coś o odwiedzinach u kuzyna w St Martin. Hedy uznała to wówczas za dziwne: Dorothea nigdy wcześniej o nim nie wspominała, rzadko też unikała rozmów na temat swoich poczynąń. Hedy wyczuła, że coś jest na rzeczy, ale z rozsądku – albo tchórzostwa – nie zapytała.

Ósma trzydzieści. Zaczęła się zastanawiać, co pocnie, jeśli Dorothea nie wróci. Nie było telefonu, zresztą do kogo miałaby zadzwonić? Nie mogła niczego ustalić ani nawet wyjść i kupić gazety. Musiałaby zdać się na Kurta, który przynosiłby jej wieści ze świata i prowiant. Z każdą upływającą minutą martwiła się coraz bardziej, walcząc ze sobą, by nie podejść do okna, odsunąć zasłony i wyjrzeć na ciemną, wyludnioną ulicę.

Nagle usłyszała stukot końskich kopyt oraz zgrzyt ciężkich kół wozu. Konie rzadko się tu zapuszczały, zwłaszcza o tej porze. Hedy wstała, sięgnęła po lampę i stanęła w progu salonu, łapiąc oddech. Z zewnątrz dobiegły osobliwe dźwięki: łoskot, szuranie i stękanie ludzi niosących ciężkie przedmioty. A potem coś jeszcze – piskliwy odgłos, który brzmiał jak... Nie, pomyślała sobie, chyba się przesłyszała. To przecież nie...?

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie i hałas wtargnął do domu jak huragan. Piski, tupanie i ziajanie. Hedy osłupiała, kiedy Dorothea zatrzasnęła drzwi i przywarła do nich plecami z mieszaniną paniki i triumfu na twarzy. W tej samej chwili Hedy krzyknęła, gdy coś otarło się o nią na wysokości kolan. Podążyła wzrokiem za piskiem i kształtem,

i ujrzała pędzącą korytarzem w stronę kuchni... młodą świnię. Spojrzała na Dorotheę, język stanął jej kołkiem.

Głos Dorothei też nabrał z podniecenia piskliwych tonów.

– Szybko! Zatrzaśnij ją w kuchni! – Bez tchu pchnęła Hedy w tamtą stronę. – Chciałam wprowadzić ją od tyłu, ale bałam się, że mi zwieje. Musimy ją zabić, zanim sąsiedzi usłyszą.

Hedy przeniosła wzrok z Dorothei na świnię, która biegła w kółko po kuchni w poszukiwaniu wyjścia.

– Oszalałaś? Żadna z nas nie wie, jak szlachtuje się świnię! – Przyłgnęła do ściany, na poły w obawie, że zwierzę się na nią rzuci. W uszach dźwięczało jej zapamiętane w dzieciństwie zdanie: „Wieprz, ponieważ ma rozdzielone kopyto, ale nie przeżuwa – będzie dla was nieczysty. Nie będziecie jedli ich mięsa ani dotykali ich padliny – są one dla was nieczyste⁴”. Dawno porzuciła zasady koszernej strawy – z mięs dostępnych na wyspie ostała się głównie wieprzowina – ale zabić? To zupełnie co innego.

Ale Dorothea miała błysk w oku, jakiego Hedy jeszcze u niej nie widziała.

– Damy radę, zobaczysz. Użyjemy tego. – Przetrzęsła starą skrzynię w holu, gdzie trzymała stare gazety, a Hedy z niepokojem patrzyła na zwierzę, które waliło głową w ścianę. Dorothea wyjęła spod gazet cienki, płaski przedmiot, który Hedy ledwo widziała w półmroku. Dopiero gdy tamta odpięła zatrzaśk i wysunęła go z pochwy, Hedy spostrzegła, że to nóż, długi na jakieś dwadzieścia centymetrów, z czystym, lśniącym ostrzem. – Anton zostawił mi go przed wyjazdem, na wszelki wypadek. Chyba ostry. – Uniosła go triumfalnie.

Hedy oparła się ręką o ścianę, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę. Wstrząśnięta spoglądała na tę obcą osobę, nieustraszoną wariatkę z nożem, gotową mordować zwierzęta we własnej kuchni.

– Nie, Dorotheo, nie mogę! Nawet jej nie dotknę. Naprawdę!

Dorothea położyła jej dłoń na ramieniu, łagodnie, ale stanowczo.

– Sama nie dam rady. Musisz mi pomóc. – Hedy dalej potrzasała głową, lecz ucisk palców Dorothei przybrał na sile. – Nie żartuję. Jeśli ktoś z sąsiadów coś zwietrzy, doniesie szwabom. – Chwilę nasłuchiwała hałasów zza ściany. – Urządzili przyjęcie, doskonale. Do dzieła!

Wkroczyła dziarsko do kuchni z nożem wsuniętym za stanik, co jeszcze bardziej pobudziło świnię, której kroczy na kuchennej posadzce brzmiały jak szatańskie stepowanie. Hedy dostrzegła szczecinę, mokry, różowy ryj błysnął w ciemnościach. Chciało jej się krzyżeć, ale Dorothea przemówiła spokojnym głosem.

– Zamknij drzwi, żeby nie zaczęła nam harcować po całym domu. I weź blaszaną balię do drewna, powinna się zmieścić.

Zbyt przerażona, by zaoponować, Hedy przesunęła się rakiem w stronę spiżarni, byle nie stanąć tyłem do świni. Po omacku znalazła balię, złapała za jeden koniec i przesunęła ją

hałaśliwie po posadzce, pomagając sobie nogą.

– Świetnie. Teraz musimy tylko złapać drania! – syknęła Dorothea. Hedy uniosła nieco wyżej lampę. – Myśl o kotletach! No dobrze... Spróbuję zapędzić ją do kąta. Rób to, co ja, posuwaj się naprzód. – Dorothea rozłożyła ręce i pohukując, próbowała zapędzić zwierzę w róg pomieszczenia. Hedy odstawiła lampę – gdyby zgasła, to by dopiero było – i z wysuniętymi rękami też ruszyła do przodu, przez co miały świnie jak w kleszczach. Kwik przybrał na sile, a Hedy pragnęła zamknąć oczy, żeby nic nie widzieć, ale szła ze wzrokiem utkwionym w przerażoną ofiarę. Jeszcze kilka kroków i Dorothea padła na kolana, po czym chwyciła świnie wpół i przyparła ją do ściany.

– Łap z przodu, prędko, Hedy! – Słowa zabrzmiały tak kategorycznie, że Hedy spełniła polecenie: wysunęła ręce i odwracając głowę ze strachu przed ugryzieniem, złapała po omacku najpierw jedną, a potem drugą nogę. Dorothea odwróciła się jakoś i chwyciwszy świnie od tyłu, podniosła ją za tylne nogi. – Teraz do balii i na grzbiet! Spróbuj ją przytrzymać, a ja poderżnę gardło!

Hedy usłyszała własny piskliwy głos, na poły krzyk.

– Nie mogę, nie mogę!

– Możesz! Mała jest, nie ma tyle siły. Hop i do góry!

Nadludzkim wysiłkiem przierzuciły wierzgające zwierzę do blaszanej balii. Hedy ścisnęła oburącz przednie nogi, a świnia wiła się i szamotała na wszystkie strony. Nagle coś zabulgotało i smród łajna ją obezwładnił. Poczowała, że zaraz zwymiotuje.

– Prędko! – Dorothea też krzyczała. Muszą załatwić to jak najszybciej, bo sąsiedzi usłyszą, przyjęcie czy nie. Hedy ujrzała, jak Dorothea wyciąga nóż zza stanika i podcina świni gardło. Kwik ustał natychmiast, ale szamotanie się nasiliło.

– Jeszcze raz! – krzyknęła Hedy. – Ona żyje!

Dorothea wyszarpnęła nóż i ciachnęła ponownie. Świnia znieruchomiła w balii, na wpół zanurzona we krwi oraz łajnie. Hedy dopadła zlewu i zwymiotowała żółcią z pustego żołądka. Zanim się odwróciła, Dorothea zdążyła dźwignąć zwierzę i rozpruła mu brzuch od góry do dołu, wnętrzności spłynęły do odrażającej zupy. Ręce miała unurzane we krwi aż po nadgarstki. Gdy większość krwi wypłynęła, puściła truchło i spojrzała na Hedy z wyrazem bezbrzeżnej ulgi na twarzy. Dopiero wtedy, słysząc jej świszczący oddech i widząc łzy w oczach, Hedy zrozumiała, ile ją to kosztowało. Przysunawszy się, uściśnęła jej ramię.

– Dobra robota. To było niesamowite.

Dorothea przymknęła oczy i potrząsnęła głową.

– Chodź, musimy ją umyć... zakopię wnętrzności w parku. A potem... – Uśmiechnęła się. – Potem wyprawimy sobie świąteczną ucztę!

Hedy obróciła językiem kawałek wątróbki w ustach, napawając się smakiem. Pochłonęła już nerkę i kawałek serca, ale zostawiła na koniec największy przysmak. Odrobina soku wypłynęła jej z kącika ust i Hedy wepchnęła ją palcem, żeby nic nie uronić. Dorothea zrobiła to w tej samej chwili i obie zachichotały jak małe dziewczynki. Hedy wzięła kolejny kęs, zdumiona własnym zachowaniem. Oczekiwała po sobie odrazy, a przynajmniej żalu, koszmarnych wspomnień z jatki, mdłości, z jakimi szorowała truchło pod kranem, oczami wyobraźni widziała zgrozę matki. Ale teraz czuła się tak, jakby ożywała w niej każda komórka ciała, niczym zwiędła roślina, w końcu podlana. Śpiewy za ścianą to cichły, to rozbrzmiewały na nowo, potęgując świąteczny nastrój, a blask lampy naftowej tańczył na ścianie ponad stołem. Dorothea otworzyła butelkę beaujolais, trzymaną na specjalną okazję – trąciło octem, ale pieściło język aksamitnym smakiem – i po trzecim łyku Hedy zaszumiało w głowie.

– Co zrobimy z resztą? – zastanowiła się na głos, zgarniając skórka od chleba reszkę sosu z talerza.

Dorothea wzruszyła ramionami.

– Jutro musimy zdjąć skórę i pokroić mięso. Schowamy je na strychu, tam jest zimno... Wybacz, postaram się znaleźć miejsce jak najdalej od ciebie. Powinno starczyć co najmniej na tydzień.

– Może do ogródka?

– Za duże ryzyko. Ktoś może je ukraść albo pies się dobierze.

– Myślisz, że damy radę zjeść wszystko przez tydzień?

– Jeśli nie, wymienimy na jajka albo króliki. Na wsi można jeszcze co nieco znaleźć, jeśli wiadomo, kogo zapytać.

Hedy natrafiła na chrząstkę, ale przeżuła ją radośnie.

– Jak twój kuzyn tego dokonał? Myślałam, że Niemcy rozliczają rolników z każdego narodzonego prosiaka.

– Wieśniacy mają swoje sposoby. Przemycają maciorę do innej zagrody, kiedy szwabcy nie patrzą, wtedy jest liczona jako inny egzemplarz i nie widać, że którejś brakuje. – Prychnęła śmiechem przez nos. – Podobno jeden rolnik nasadził świni czepek, wpakował ją do łóżka i wmówił szkopom, że to jego chora mamusia! Nie chcieli nawet przestąpić progu!

Hedy wybuchnęła śmiechem i jadły dalej, dopóki znowu się nie odezwała.

– Wciąż nie rozumiem, jakim cudem zgodził się nam pomóc. Myślałam, że z całej rodziny tylko babcia z tobą rozmawia.

Dorothea spuściła wzrok i chwilę się zawahała.

– Nie chciał i dał mi do zrozumienia, że robi to w drodze wyjątku. Więcej nie możemy go o nic prosić.

– Dlaczego właśnie dziś? Bo są święta?

Dorothea potrząsnęła głową.

– Powiedziałaś mu, że Anton zginął.

Hedy aż zamurowało.

– Okłamałaś rodzinę?

– Nie wiem, czy to kłamstwo.

– Dorotheo!

– Od miesięcy nie mam żadnych wieści. Pewnie nie żyje.

Hedy poczuła przyływ litości.

– Przecież tak nie myślisz. Jak możesz z tym żyć?

Dorothea spojrzała jej prosto w oczy.

– Kocham Antona całym sercem, ale przed faktami nie ma ucieczki. Bóg wskaże drogę mnie i nam wszystkim, jeśli taka będzie Jego wola.

Hedy niepewnie zmieniła pozycję na krześle.

– Nadal wierzysz w Boga? Po ostatnich kilku latach?

Dorothea zrobiła zdziwioną minę.

– Oczywiście. – Ponownie utkwiała wzrok w talerzu i wytarła go do czysta palcem, żeby nic się nie zmarnowało. Hedy poszła za przykładem Dorothei, zerkając na nią ukradkiem. Dorothea miała sińce pod oczami, w smoliście czarnych włosach po bokach głowy jaśniały srebrne nitki. Hedy zwróciła jednak uwagę na stanowczy zarys jej żuchwy i blade usta, które się zaciskały, kiedy miała podjąć decyzję albo wyrazić swoje zdanie.

Gdy Dorothea wstała, aby zebrać talerze i odnieść je do zlewu, Hedy ją powstrzymała.

– Czy dlatego zgodziłaś się mnie ukryć?

Dorothea zwróciła się ku niej z naczyniami w rękach.

– Nie rozumiem.

– Ponieważ wierzysz, że Bóg chciałby tego? I uważasz to za swoją powinność?

– Nie myślałam o tym w ten sposób.

– Ale wiesz, ile ryzykujesz – naciskała Hedy. – A jeśli Anton żyje? Może za niespełna rok wróci! Jesteście młodzi, moglibyście spędzić razem resztę życia. A ty narażasz to wszystko dla mnie.

Dorothea zastanowiła się chwilę, po czym znowu usiadła, odstawiając naczynia.

– Jeśli mam być szczerą, w ogóle o tym nie myślałam. Jesteś najbliższą przyjaciółką Antona, wpadłaś w tarapaty. Zrobiłam to, co należało.

Hedy potrząsnęła głową.

– Nie chcę ponosić odpowiedzialności za to, co może cię spotkać. Kurt mógłby znaleźć mi inne miejsce.

– Nie opowiadaj bzdur. – Dorothea ją objęła. – Tu jesteś o wiele bezpieczniejsza. I lubię z tobą mieszkać. – Chciała się odsunąć, pomna zwykłej rezerwy Hedy, która jednak tym razem odwzajemniła uścisk.

– Dziękuję.

Trwały tak przez chwilę, po czym podskoczyły na dźwięk umówionego pukania. Dorothea pospieszyła otworzyć i Kurt wszedł do środka lekkim krokiem, z postawionym kołnierzem z powodu zimna i dla niepoznaki. Hedy, rozgrzana winem i niedawnymi przeżyciami, podbiegła i pocałowała go namiętnie przy Dorothei. Zaczęły się przekrzykiwać, zasypując go opowieściami o świni, dramatycznej jatce, wspianym posiłku.

Kurt wysłuchał tego wszystkiego, po czym odgarnął włosy i spojrzał na nie z mieszaniną zgrozy i podziwu.

– Gdyby zatrzymano was po drodze, aresztowaliby cię wraz z kuzynem. Za kilka dni wszyscy bylibyśmy za kratkami.

Dorothea przytaknęła.

– Wiem.

Kurt spojrzał na Hedy, żeby go poparła, lecz ona wzruszyła ramionami.

– Zrobiła to dla nas. Moim zdaniem jest niewiarygodnie odważna.

Kurt wzniosł mały kieliszek z winem, które naląła mu Dorothea.

– Masz rację. Wesołych świąt, oby w przyszłym roku były lepsze. – Spojrzał z zakłopotaniem na Dorotheę i przeniósł wzrok na Hedy, zbyt skrępowany, aby ująć to bez ogródek. – Mam dwie godziny...

Dorothea wskazała ręką schody, nie czekając, aż zapyta wprost.

– Idźcie do mnie, i tak muszę posprzątać w kuchni. – Hedy poczerwieniała, lecz tamta udała, że ją przegania. – Świętujcie, w końcu mamy Boże Narodzenie.

Kurt kiwnął głową w podzięcie i pociągnął Hedy w stronę schodów. Zatrzymała się w połowie drogi i wychyliła przez barierkę.

– Dziękuję. Dobra z ciebie przyjaciółka, Dory. – Zawahała się chwilę. – Myślę, że Anton żyje. Byłby z ciebie naprawdę dumny. – Po czym ruszyła za Kurtem, czując, jak jej ciało rozgrzewa się na samą o nim myśl.

4 Stary Testament, Księga Kapłańska 11,7, Biblia Tysiąclecia.

Czerwiec 1944

Hedy! Hedy, zbudź się!

Hedy usiadła z rozmachem na sienniku iomal nie wyrznęła głową w belkę, ogarnięta paniką, zanim zdążyła się na dobre obudzić. W odpryskach porannego światła wpadającego przez właz w podłodze ledwo widziała twarz Dorothei, która się uśmiechała.

– Co? Co się stało?

– Posłuchaj. Słyszysz?

Hedy zastygła w bezruchu. Dźwięk dochodził z zewnątrz, bardzo odległy, lecz przenikał przez okna i ściany. Był to bez wątpienia warkot silników samolotowych. Nie jednego lub dwóch, do czego przywykły, ale kilkunastu, może nawet kilkudziesięciu. Za dźwiękiem podążył kolejny, głośniejszy i przerywany, tra-ta-ta artylerii przeciwlotniczej. Hedy odrzuciła koce i rzuciła się w stronę włazu.

– Chcę zobaczyć.

Dorothea kiwnęła głową i zeszła po drabinie do sypialni piętro niżej, a Hedy za nią. Pospieшыły do okna. Dorothea odsunęła zaciemnienie i cienką, materiałową zasłonkę, po czym przycisnęła twarz do szyby, śledząc poczynania sąsiadów. Stwierdziwszy, że podwórka są puste, skinęła na Hedy.

– Proszę... – Porwała z łóżka mały ręcznik i jej podała. – Załóż na głowę, jakbyś właśnie umyła włosy. Jeśli ktoś cię zobaczy, powiem, że to byłam ja.

Hedy zrobiła, co jej przykazano, po czym uklękła na łóżku i wyjrzała na podwórko oraz tyły wznoszących się dalej domów. Zapomniane kolory świata zewnętrznego, nawet w ten nietypowo jak na porę roku pochmurny dzień, rozpały jej zmysły: szmaragdowa zieleń zaniedbanej trawy, subtelny błękit i fiolet deszczowych chmur! Lecz największa sensacja widniała w oddali na niebie. Cały dywizjon, niczym schludna formacja zdyscyplinowanych owadów, leciał ku wybrzeżu Francji, a za nim drugi i kolejny. Siedziała jak zahipnotyzowana, urzeczona światłem, złożonością i kształtem, po czym opuściła zasłonę.

– O której to się zaczęło?

– Jakiś czas temu i końca nie widać.

– A więc to już? Inwazja aliantów?

– Cóż by innego?

Hedy mimowolnie zacisnęła zęby i pięści, wydając zawzięty pomruk.

– Dawać! Pokażcie tym łajdakom! – Widok odruchowego grymasu na twarzy Dorothei przywołał ją do porządku. – Och, przepraszam, Dory.

Dorothea potrząsnęła głową.

– Nic się nie stało. Wiem, co miałaś na myśli. – Pospiesznie zapięła sweter, ręce jej drżały. – Idę na targ, może się czegoś dowiem.

– Tylko uważaj! – zawołała za nią Hedy. – Szwaby będą podminowane.

Umyta i ubrana, bezskutecznie próbowała znaleźć sobie zajęcie w oczekiwaniu na powrót Dorothei. Tykanie kuchennego zegara przeszywało powietrze, gdy spacerowała po korytarzu; nadal słyszała daleki warkot silników i terkot niemieckich karabinów. Korciło ją, żeby wyjąć radio spod schodów, ale się nie odważyła. Nie miała obiadu, lecz pewnie i tak nic nie przełknęłyby z nerwów.

Wreszcie, chwilę po czwartej, Dorothea wróciła, zarumieniona z podniecenia. Hedy natychmiast zaciągnęła ją do kuchni i posadziła przy stole.

– Istne szaleństwo! – zawołała Dorothea z ożywieniem. – Wszyscy miejscowi chodzą uśmiechnięci, niektórzy noszą nawet czerwono-biało-niebieskie rozetki! Wyjeżdżają całe ciężarówki Niemców do obsadzenia dział i pilnowania kwater. Ktoś mi mówił, że w poprzek niektórych dróg z i do miasta postawiono blokady z drutem kolczastym.

Hedy odetchnęła głęboko, próbując wyobrazić sobie to wszystko.

– Czyli szwaby myślą, że kroi się zmasowany atak aliantów?

– Na to wygląda. Zatrzymywali mnóstwo ludzi, zwykłych przechodniów i rowerzystów, sprawdzali dokumenty. – Ręce Dorothei podrygiwały. – Krąży tyle pogłosek. Ktoś widział ponoć amerykański statek w zatoce dziś rano, ale to bzdura. Jakaś kobieta mi mówiła, że widziała samego Churchilla w aucie z komendantem. Chyba ma coś z głową – dodała ze smutkiem.

Hedy poklepała ją po sinej, lodowatej dłoni.

– Grunt to spokój. Dowiemy się więcej z wiadomości wieczorem. – Urwała. – Kurta pewnie nie widziałaś?

Dorothea zaprzeczyła.

– Wątpię, by w najbliższym czasie zdołał się wyrwać. Pewnie siedzą tam jak na szpilkach.

Ale tuż przed dziewiątą, kiedy zjadły już swój makaron i Dorothea miała właśnie wyciągnąć z kryjówki radio, Hedy usłyszała jego pukanie. Poszarzały na twarzy, z podkrążonymi oczami, usiadł przy stole i cisnął czapkę na sąsiednie krzesło, a kobiety stanęły nad nim nerwowo.

– Nie macie pojęcia, co się dzieje. Tysiące lądują na plaży w Normandii, przy wsparciu z powietrza. To musi być początek końca.

– I co teraz... znaczy, tutaj, u nas? – Dorothea z przejściem kołysała się na stopach.

Kurt wyjął z wewnętrznej kieszeni wieczorną gazetę.

– Sama zobacz.

Hedy sięgnęła po dziennik i przeczytała na głos obwieszczenie na pierwszej stronie:

– „Wróg Rzeszy atakuje francuską ziemię. Oczekuje się, że mieszkańcy Jersey zachowają spokój i powstrzymają się od aktów sabotażu oraz wrogich działań przeciwko siłom niemieckim, nawet jeśli walki obejmą Jersey. W razie jakichkolwiek oznak niepokoju i zamieszek ulice zostaną zamknięte dla ruchu i weźmiemy zakładników. Atak wymierzony w siły niemieckie będzie karany śmiercią”. Podpisano: „Komendant”. – Hedy zadrżała. – Chyba się boją. Naprawdę spodziewają się buntu mieszkańców?

– Bóg raczy wiedzieć – odpowiedział Kurt. – Przedsięwzięli środki ostrożności: odsyłają zbędny personel, pielęgniarki i pracowników kantyny. A pracownicy College House śpią na terenie budynku na wypadek nocnego ataku, choć nie bardzo wiem, jaki to ma sens.

– Zatem nie myślą o kapitulacji?

– Większość zwykłych żołnierzy chętnie by się poddała, ale ci z góry nie przyłożą do tego ręki. Przez dwa lata stworzyliśmy tu taką fortecę, że byłaby jatka. – Potarł oczy, jakby chciał przegnać ten obraz. – Przypuszczam jednak, że alianci są tego świadomi. I dlatego nie sądzę... – Urwał raptownie.

Hedy poczuła, jak jej nadzieja się rozwiewa.

– Nie sądzisz, że co?

Kurt westchnął głęboko.

– Alianci będą chcieli ograniczyć straty. Na ich miejscu posuwałbym się naprzód, żeby umocnić się na kontynencie. Wyspy Normandzkie są jednak małe, można tu wrócić, gdy siły wroga zostaną zepchnięte dalej.

Hedy zachwiała się i musiała usiąść.

– Chcesz powiedzieć, że... nas ominą?

– Całkiem możliwe.

– Ale jeśli do tego dojdzie, wyspy zostaną odcięte. Nie będzie dostaw paliwa ani żywności z Francji lub Anglii. Co z nami będzie? – Poczowała bolesny ucisk w gardle. – Umrzemy z głodu.

Kurt ścisnął jej dłoń, ale nie poczuła się przez to lepiej.

– Właśnie.

*

– Publiczna sieć telefoniczna pozostanie zawieszona. Sekcja więzienia przy Gloucester Street jest wydzielana dla ofiar i zawisnie nad nią flaga Czerwonego Krzyża. Zapasy żywności zostaną przeniesione z magazynów poza miastem do magazynów na miejscu...

Baron von Aufsess umilkł, czytając listę, jakby odsiewał niektóre punkty. Kurt, który stał dobre sześć metrów od niego, mógłby przysiąc, że nowy główny administrator westchnął cicho. Następnie baron odkaslnął i czytał dalej, a jego szorstki, arystokratyczny głos niósł

się po sali. Coś o ziemniakach i zakazie wstępu na plażę. Innymi słowy to, co zawsze: bronić garnizonu, stłamsić mieszkańców i żadnej kapitulacji.

Kurt zbłądził wzrokiem za okno College House. Świeciło słońce, mewy szybowały na letnim wietrze, a wysoko w górze alianckie samoloty sunęły dalej po lazurowym niebie. Od czasu do czasu rozlegał się stłumiony łoskot jednego z wielkich dział po drugiej stronie Kanału; dzień wcześniej artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła w Les Landes brytyjskiego pilota, niszcząc przy tym dwa domy.

Baron wyliczał priorytety i polecenia: wojskowi mają postępować z rozwagą, lecz tłumić najmniejsze przejawy niesubordynacji; na tym etapie nie można wykluczyć deportacji wszystkich cywilów do Francji. Kurt rozejrzał się po wynędzniałych twarzach, napiętych pod stoicką maską, i zastanawiał się, kogo próbują nabrać. Zupełnie jak na filmach z Belą Lugosim, które oglądał w dzieciństwie, gdy wszyscy chłopcy wysuwali podbródki, udając, że się nie boją. Kurta od kilku dni bolał brzuch, a gryząca woń potu i siarki podpowiadała mu, że nie jest sam.

Von Aufsess dobrnął do końca listy i polecił zastępcy rozdać nowe rozkazy przypisane każdej sekcji. Kurt miał za zadanie sprawdzić stan każdej ciężarówki na swoim terenie i zwiększyć ładowność, gdyby zaszła taka potrzeba. Odwracając się, spostrzegł Wildgrubego, który stał z tyłu. Tak jak wszyscy członkowie tajnej policji, przyszedł w mundurze, w którym Kurt widział go po raz pierwszy. Wnosząc z dumnej postawy i błysku w oku, szpieg rozkoszował się możliwością wystąpienia w roli prawdziwego żołnierza; Kurt musiał przyznać, że prostak zyskał dzięki temu aurę prestiżu. Ruszył do drzwi w nadziei, że uniknie spotkania, zaraz jednak poczuł łapę Wildgrubego na ramieniu.

– Kurt, przyjacielu. Jak się masz?

– Doskonale, Erichu. Jakiś ty dziś elegancki.

Wildgrube musnął od niechcienia mankiety.

– Trzeba pokazać się od najlepszej strony w obliczu tego, co nas czeka. – Kurt przytaknął, licząc, że na tym zakończą rozmowę. Rzadko widywał Wildgrubego, odkąd ten próbował go zastraszyć; miał nadzieję, że urwany trop wespół z brakiem personelu doprowadzą do zamknięcia śledztwa. Widywał czasem jakiegoś tajniaka przed swoją kwaterą i dwukrotnie skrócił wizytę na West Park Avenue w obawie, że jest śledzony, wydawało się jednak, że Wildgrube odpuścił. Uśmiechnął się uprzejmie i chciał ruszyć dalej, lecz tamten pociągnął go za łokieć.

– Oczywiście, ostatnie wydarzenia będą wymagały drobnych... porządków.

– Porządków?

– Dawne sprawy, nierozwiązane problemy. Trzeba odszumować wyspę.

Jakim trzeba być człowiekiem, pomyślał Kurt, żeby mówić takie rzeczy?

– I co w związku z tym?

– A to, że pętają się tutaj jeszcze dawne pasożyty. Musisz coś o mnie wiedzieć, Kurt... – Uśmiechnął się jak wąż na widok rannej myszy. – Ludzie często chwalał moje zamiłowanie

do czystości. – Poklepał Kurta po ramieniu i oddalił się korytarzem, jasnowłose łeb podskakiwał w tłumie.

Kurt odprowadził go wzrokiem. Wildgrube osiem miesięcy po zniknięciu Hedy wiedział tyle samo, co po tygodniu, po prostu lubił się puszyć. Gdyby odkrył coś nowego, z chęcią zaciągnąłby Kurta na przesłuchanie. Kurt stwierdził, że ma w tym tygodniu dość zmartwień, tych prawdziwych, znacznie poważniejszych od czczych gróźb durnia.

Przecisnął się przez zatłoczony korytarz, obserwując po drodze innych oficerów oraz ich reakcję na poranną odprawę. Niektórzy milczeli ponuro, inni silili się na brawurę, twierdząc, że wreszcie coś się dzieje. Wcisnął ręce do kieszeni dla okazania pośpiechu i gorliwości, i poczuł zaraz, że podszewka, luźna od pewnego czasu, ustępuje pod naciskiem i ręka wpada mu do nogawki. Sprawdził w dużym lustrze w holu, czy jest to widoczne, i przy okazji przyjrzał się całemu swojemu odbiciu. Schudł, przez co mundur wisiał na nim jak ojcowski garnitur na małym chłopcu. Na kolanie miał plamę od trawy po tym, jak naprawiał coś w zeszłym tygodniu, pani Mezec nie przyłożyła się zbytnio, żeby ją wywabić. Przy okazji odnotował brak guzika na bluzie, która się wybrzuszała, zamiast leżeć bez zarzutu. Tysiącletnia Rzesza, pomyślał ironicznie, dosłownie rozłazi się w szwach.

*

– Ale mój najulubieńszy fragment... – Oczy Dorothei rozbłysły na wspomnienie tej chwili. Wygładziła ręką otwarty album z wycinkami na stole. – ...to ten, gdy porzuca Westleya przy ołtarzu i biegnie do samochodu. Widzisz, naprawdę kocha Petera i uświadamia sobie, że prawdziwa miłość jest najważniejsza.

– I jej ojciec to pochwała? – Hedy obwiodła palcem kontur twarzy Claudette Colbert. Krawędzie zaczynały zwijać się z braku kleju, prawe ucho aktorki już znikło.

– To on każe jej iść! Wie, że nie kocha Westleya, i chce, żeby była szczęśliwa. – Dorothea przewróciła kartkę. Snopy złocistoróżowego wieczornego światła padały przez kuchenne okno na blat, tworząc wzory na wystrzępionym papierze i podkreślając wszystkie zarysy jej twarzy. – To mój ulubiony film, kiedy będzie po wszystkim, pójdziemy go obejrzeć.

– Chętnie. Zapowiada się wspaniale.

Hedy powoli zebrała łyżki i talerze po kolacji złożonej z ziemniaków bez soli i postawiła je obok zlewu. Ziemniaki były twarde w środku i leżały jej na żołądku; odcięto dopływ gazu, więc korzystały z komunalnego pieca i nic nie było należycie dogotowane.

– Myślisz czasami o rodzicach, Dorotheo? – rzuciła bez zastanowienia i od razu pożałowała tego pytania. Dorothea zawsze gładko unikała tematu rodziny, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie o tym rozmawiać. Hedy zauważyła jednak, że w ostatnich tygodniach poruszały bardziej osobiste kwestie, które jeszcze pół roku temu byłyby nie do

pomyślenia. Być może wynikało to z przeświadczenia, że zbliża się koniec tego dziwnego, przymusowego małżeństwa, choć wołały nie myśleć, jak będzie on wyglądać.

Dorothea wpatrywała się w album.

– Czasami.

– Nie chciałybyś ich odwiedzić?

– Strata czasu. Ojczym by na to nie pozwolił.

– Jesteś pewna? Minęło sporo czasu. – Długa chwila ciszy. Dorothea z wolna przewróciła kolejną kartkę. Claudette Colbert ustąpiła miejsca Katharine Hepburn pozującej z Carym Grantem w garniturze. – Kurt mówi, że wielu starszych ludzi choruje z niedożywienia i braku leków.

– Wiem. – Pasek z napisem *Drapieżne maleństwo* romantyczną, wywiniętą czcionką odkleił się całkowicie i opadł na dół strony. Dorothea bez powodzenia próbowała go przytwierdzić z powrotem.

Hedy ponownie usiadła na krześle.

– Tylko... wiem, że gdybym ja mogła raz jeszcze ujrzeć rodziców, bez względu na okoliczności...

– Próbowałam, tak? – Dorothea zatrzasnęła album, jej głos zabrzmiał ostro jak nigdy. – Poszłam do nich w lutym, w urodziny matki. Ojczym nawet nie podszedł do drzwi i zagroził, że jeśli matka nie wróci do domu, to z nią też skończy. – Skuliła się, zawstydzona wybuchem. – Babcia napisała do nich, ale podarł list. Tak jak mówił: umarłam dla nich.

Hedy położyła rękę na jej przedramieniu.

– Przykro mi. Nie wspominaj.

– Masz dosyć własnych problemów.

– To wymagało odwagi.

Dorothea uniosła starannie wyskubane brwi i po chwili zadumy znowu je opuściła.

– Tak bardzo kochałam Antona i naprawdę wierzyłam, że nic innego się nie liczy. Ale teraz... – Spojrzała w okno i ostatnie promienie słońca nadały jej oczom intensywnie niebieski odcień. – Teraz nie jestem już taka pewna. Nawet jeśli jednak wróci. Ty i Kurt przynajmniej macie siebie nawzajem. Czasem, kiedy widzę was razem...

– Przepraszam, nie chcieliśmy...

– Nie pleć głupstw. Przecież wiem. Nie zrobiłabyś mi przykrości.

Hedy ogarnął wstyd, gdy napłynęły wspomnienia: początkowa niechęć do Dorothei, nadzieja, że ślub zostanie odwołany. Dorothea na pewno coś wyczuwała, choć po części, lecz w jej okrągłych, ufnych oczach nie było cienia urazy. Hedy już układała w głowie przeprosiny, gdy tamta nagle się rozkaszała.

– Zostało nam jeszcze trochę musztardy w proszku?

– Nie wiem, a co?

– Nie mogę oddychać.

Hedy pobiegła do spiżarni i przejrzała półki w poszukiwaniu opakowania. Znalazła puszkę z łyżeczką proszku wewnątrz i wróciła do Dorothei.

– Mam. Daj mi chwilę.

Wytrząsnęła część proszku na spodek, dodała kilka kropli wody i rozrobiła żółtą pastę. Dorothea prawie leżała na krześle i ze świstem łąpała powietrze krótkimi, urywanymi haustami. Hedy rozpięła jej bluzkę i posmarowała pastą klatkę. Dorothea się wzdrygnęła i zaczęła pojękiwać.

– Piecze!

– Wiem. – Hedy rozmyślnie przemówiła ściszym, opanowanym głosem. – Ale pomoże. Postaraj się miarowo oddychać. Licz ze mną, wdech na pięć i wydech tak samo. Jeden, dwa... – Myślała gorączkowo. Co pocznie, jeśli Dorothea zsinieje lub straci przytomność? Kurt przyjdzie najwcześniej jutro, o szukaniu pomocy u sąsiadów nie było mowy: Hedy nigdy nie widziała ich na oczy i nie mogła przewidzieć, jak zachowają się na widok cudzoziemki. – ...I pięć. A teraz wydech. No już, dasz radę. – Musi coś wymyślić. Może zaciągnie Dorotheę przed dom sąsiadów, zapuka do drzwi i ucieknie, zanim ją zobaczą? Szpital znajduje się niespełna dziesięć minut drogi stąd, chyba ktoś pobiegnie po pomoc? Choć szanse, że mają tam lekarstwo, równały się zeru. – I jeszcze raz. Świetnie ci idzie.

Oddech stał się jeszcze płytszy i bardziej wymęczony. Hedy przyjrzała się twarzy Dorothei w gasnącym świetle i potwierdziły się jej najgorsze obawy: usta przybierały liliowoszary odcień. Powieki lekko opadły i Dorothea zaczęła się słaniać nad stołem. Hedy posadziła ją z powrotem i przytrzymała plecy, żeby udroźnić drogi oddechowe, głaskała przy tym jej włosy i szeptała słowa otuchy. Lecz gdy świszający oddech zaczął stawać się coraz słabszy, zrozumiała, że musi działać.

– Idę po pomoc, Dory. Postaraj się wytrzymać. – Odwróciła się, ale coś chwyciło ją za nadgarstek. W pierwszej chwili nie wierzyła, że to Dorothea, gdyż ucisk osadził ją w miejscu.

– Nie! Zbyt niebezpieczne! – wycharczała Dorothea, walcząc z oddechem, który nie mógł się przedrzeć przez mgłę zalegającą w płucach.

– Wiem, ale tylko w szpitalu mogą nam pomóc.

Dorothea wciąż trzymała ją jak w kleszczach, samym tylko kciukiem i palcem wskazującym.

– Nie! Nie warto! – Rozcapierzyła palce prawej ręki i podsunęła je pod nos Hedy. – Pięć minut.

Widząc, że propozycja jeszcze pogorszyła sprawę, i w obawie, że Dorothea może nie doczekać jej powrotu, Hedy opadła z powrotem na krzesło z myślą, że popełnia straszliwy błąd. Dorothea mozolnie wciągała oddech za oddechem z twarzą zmarszczoną w skupieniu, tocząc walkę z samą sobą. Mijały minuty, złociste promyki przeszły w półmrok i fioletowe cienie, a Dorothea prowadziła swoje zmagania, szara na twarzy, aż

w końcu oddech minimalnie zelżał, a wraz z nim ucisk palców na nadgarstku. Uniosła zwiotczałą rękę na znak, że sytuacja uległa poprawie, i po chwili jej wargi i czoło nabrały kolorów.

– Już w porządku.

Z ulgi rozboleła Hedy w gardle.

– Chwała Bogu. Ale następnym razem...

Dorothea potrząsnęła głową.

– Nie! Tak daleko zaszliśmy, trzeba dotrzeć do końca. – I po chwili to ona pocieszała Hedy, która spuściła głowę i rozplakała się jak dziecko.

*

Krab kieszeniec, zawinięty w gazetę i podartą poszewkę, był do niego tak przyciśnięty, że Kurt czuł, jak się wierci. Patrzył, jak sprzedawca obwiązuje mu ciasno szczypcę sznurkiem, ale stwór nadal walczył i nie było to miłe doznanie. Zakup pochłonał znaczną część jego wypłaty oraz część godnego pożałowania przydziału tytoniu, ale nieważne. Idąc Cheapside, Kurt trzymał go mocno i wyobrażał sobie minę Hedy, kiedy zobaczy prezent. Oczywiście nie będzie majonezu, chleba zapewne też. Ale jego ostatni wynalazek w postaci starej puszki po farbie zawieszony w kominku umożliwi im ugotowanie kraba w domu, jeśli wystarczy opału; zjedzą go prosto ze skorupy. Oczami wyobraźni ujrzał, jak kobiety odłamują szczypcę, zlizując pyszne mięso z palców, i musiał się uśmiechnąć.

Na rogu ulicy zmuszony był utwierdzić się w podejrzeniu, które dręczyło go od pewnego czasu. Ktoś go śledził. Rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nic nie jedzie, wypatrując nietypowych zachowań, i dostrzegł mężczyznę w prochowcu oraz kapeluszu z wąskim, wywiniętym rondem, który z głupia frant sterczał w bramie z gazetą. Z daleka nie widział, czy to Wildgrube – kapelusz temu przeczył – jednak zachowanie wskazywało na kogoś z jego przybocznych. Tak czy siak, o wizycie na West Park Avenue mógł zapomnieć. Kurt skierował się do małego parku i ruszył zwirową ścieżką, po czym niespodziewanie skręcił w stronę północnego krańca Elizabeth Place. Jeśli typ go śledzi, te manewry z pewnością ujawnią jego zamiary. Kurt wiedział, że jest kryty: kraba zakupił legalnie i nie miał przy sobie nic, z czego musiałby się tłumaczyć, dlatego dążył do konfrontacji. Już układał w głowie kąśliwą reprimendę, coś o marnowaniu zasobów i nękanii niemieckich oficerów w ich czasie wolnym od pracy.

Gdy po wyjściu z parku podążył w stronę ulicy, obejrzał się przez ramię. Mężczyzna nadal szedł w pewnej odległości za nim, nawet tego nie ukrywając. Ruszał się ślamazarnie i Kurtowi zaświtało w głowie, że to nie kwestia nieudolności, tylko braku kondycji. Ostatnio karmiono ich skandalicznie, może gruźlica dziesiątkująca miejscową ludność naruszyła świętość tajnej policji. Mają za swoje, łajdaki, pomyślał. Lecz ta myśl podsunęła mu inne rozwiązanie: mógłby przyspieszyć kroku i zgubić prześladowcę.

Jak pomyślał, tak zrobił, i ruszył szybkim marszem, długie nogi chodziły jak tłoki na kamiennym bruku. Na rogu Parade Road pospieszenie skręcił w lewo i minął truchtem domy szeregowe. Wiedział, że po lewej stronie ujrzy wlot alei równoległej do West Park Avenue; jeśli zwiększy dzielącą ich odległość, wślizgnie się tam niepostrzeżenie, zanim tamten zdąży się połapać, że znikł. Już miał to uczynić, kiedy zerknął do tyłu i zobaczył, że mężczyzna wciąż siedzi mu na ogonie.

Musiał zmienić plany. Znajdował się teraz zbyt blisko domu, żeby ryzykować. Ludzie Wildgrubego nie zawahaliby się przewrócić do góry nogami całej ulicy w nadziei na znalezienie czegoś, co zapewniłoby im awans lub pochwałę. Kurt postanowił wrócić do pierwotnego planu i stanąć ze szpiegiem twarzą w twarz – typ wyglądał na zmęczonego, co dawało Kurtowi dodatkową przewagę. Ściągnął barki, wyprostował plecy i podszedł do mężczyzny, który stanął na chodniku i zdyszany oparł się o pobliską ścianę. Spuścił głowę, żeby dojść do siebie, rondo kapelusza zasłaniało mu twarz.

Kurt przybrał oficjalny ton.

– Co ty sobie wyobrażasz, do cholery? – Tamten uniósł głowę i Kurta zatkało. Minęły ponad dwa lata, odkąd widział tę pobrużdżoną twarz, ale rozpoznał mężczyznę od razu, mimo że bardzo schudł i się postarzał. – Doktor Maine!

– Przepraszam... – Lekarz machnął ręką na znak, że potrzebuje jeszcze chwili, po czym stanął prosto. – Poszedłbym prosto do domu panny Le Brocq... znaczy, pani Weber, ale nie byłem pewien, jak wygląda sytuacja. Lepiej nie zwracać niepotrzebnie uwagi, prawda? – Kurt przytaknął. – Potem zobaczyłem pana na Cheapside i przyszło mi do głowy, że pan tam idzie.

– Coś się stało? – Kurt rozejrzał się niespokojnie; ulica świeciła pustką, lecz miał obawy, że niejedna para oczu obserwuje ich zza rozkołysanej firanki.

Maine potwierdził.

– Niestety. – Spod ronda wyjrzały utrudzone, brązowe oczy. – I to coś bardzo poważnego.

*

– Przecież nie znam tego człowieka. Nic nie rozumiem.

Dorothea siedziała na skraju krzesła i obgryzała resztki paznokci. Hedy patrzyła to na nią, to na Kurta, próbując zapanować nad gwałtownym biciem serca. Krab podrygiwał zapomniany w zlewie, egzekucję chwilowo odroczone.

– W zeszłym tygodniu tajna policja wzięła Fintana Quinna na kolejne przesłuchanie, w ramach „porządków” Wildgrubego – wyjaśnił Kurt. – Musieli go przycisnąć, ponieważ tym razem podał nazwisko doktora, łącząc go z kradzieżą kuponów. Następnego dnia wezwali też Maine’a. – Na myśl o łagodnym, znękanym doktorze na przesłuchaniu Hedy przymknęła oczy ze zgrozą. – Oczywiście nic im nie powiedział – ciągnął Kurt – i nie mają

dowodów, więc nic mu nie grozi. Sprawdzili jednak listę jego pacjentów i znaleźli nazwisko Dorothei. Próbują teraz połączyć kropki w nadziei, że to doprowadzi ich do Hedy.

Hedy przełknęła.

– Mają zamiar przeszukać dom?

– Maine nie był pewien. Podśłuchiwał przez drzwi, a jego niemiecki nie jest najlepszy. Zdawało mu się jednak, że usłyszał słowo *Freitag*.

– Piątek! To dziś! – Oczy Dorothei zaszklily się w przyprawie paniki.

– Dlatego nie ma czasu do stracenia.

– Ukryjemy Hedy na strychu?

Hedy poczuła mdłości. Pokój falował jej przed oczami, a krew ścinała się w żyłach. Zatem nadeszła ta chwila. Przestała być człowiekiem i stała się problemem, żywą kulą u nogi, którą upycha się jak nielegalne radio pod schodami albo pistolet. Otworzyła usta, lecz nie wydobyła z nich żadnego dźwięku.

– W razie rewizji strych jest zbyt niebezpieczny – stwierdził Kurt. – Zajrzę tam w pierwszej kolejności.

– No to gdzie? Jeśli Maine też jest pod obserwacją...

– Chyba mam pomysł – przerwał Kurt. – Przede wszystkim trzeba wynieść radio. Masz gdzie je zostawić?

Dorothea pokiwała głową.

– U babci. Schowam je do szopy.

Kurt przytaknął.

– Zawieź na tacze, tylko dobrze przykryj, liśćmi, starym kocem, czymkolwiek. Idź teraz, dopóki poranna zmiana zaczyna pracę, na ulicach będzie spokojnie. – Następnie zwrócił się do Hedy i spojrzał jej prosto w oczy. – A ty... ciebie musimy ubrać.

– Ubrać?

– To niebezpieczne, ale nic lepszego nie wymyślę. I może się uda. – Sięgnął po płócienną torbę, którą przyniósł, i rozpiął paski. – Masz to włożyć.

Hedy patrzyła, jak wyciąga zawartość i kładzie na stole ubrania. Usłyszała, że Dorothea wciąga ze świstem powietrze, i nogi się pod nią ugięły.

– Kurt, chyba nie mówisz poważnie. To szaleństwo!

Na blacie spoczywał szary, wełniany mundur sierżanta sztabowego Wehrmachtu.

I jak?

Hedy spojrzała na Kurta, a potem w odłamek szkła lustrzanego, ustawiony na stołku i oparty o ścianę w sypialni Dorothei. Wyglądała na jeszcze niższą pod tym kątem. Objęła wzrokiem nowy strój – ciężką bluzę z metalowymi guzikami i bryczesy, zwężane w kostkach i wzmocnione na pośladkach – i zdumiała się wyimaginowaną siłą, jaka może płynąć z ubioru. Pomyślała o żołnierzach w obozach koncentracyjnych, którzy noszą to samo i uważają się za nadludzi, wyższą rasę. Ona widziała tylko wychudzoną Żydówkę, która bawi się w niesmaczne przebieranki.

– Nic innego nie miałem. Jakiś sierżant zostawił go u nas kilka miesięcy temu. Na szczęście był drobny.

– Akurat! Nikt nie weźmie mnie za żołnierza. – Spojrzała na niego, dławiąc się ze strachu. – To na nic, Kurt.

Ujął oburącz jej twarz.

– Lepszej możliwości nie mamy. Ci ludzie wpadają w pułapkę własnej logiki: jeśli uznają coś za niemożliwe, nie biorą tego pod uwagę. Nie będą szukać czegoś, co jest na widoku. – Musnął ustami jej wargi. – Włóż czapkę, a zobaczysz różnicę.

Hedy włożyła czapkę i wsunęła włosy pod spód.

– Lepiej?

– Nadal za dużo włosów. Wybacz, najdroższa, ale muszą zniknąć.

Hedy bez słowa kiwnęła głową. Nie było czasu na dyskusje, które nic nie wnoszą. Po chwili Kurt wrócił z kuchennymi nożyczkami Dorothei, jedynymi w domu, i zaczął ciąć. Hedy nie odrywała wzroku od jego twarzy, wiedząc, że spokój jest udawany. Ciął metodycznie dokoła głowy i czasem uśmiechał się krzepiąco. Wróciła myślami do tego ranka, kiedy spędziła godzinę nad zlewem, myjąc ukochane loki ogryzkiem kiepskiego mydła, które pieniało się nie lepiej niż pumeks. Ależ to było dawno temu. Nawet gorączkowa bieranina po domu ledwo dwie godziny wcześniej, aby zatrzeć wszelkie ślady jej obecności, wcisnąć ubrania do szafy Dorothei i przenieść materac ze strychu do pustego pokoju, jawiła się niczym odległa przeszłość. Życia nie mierzyło się już w dniach bądź tygodniach, ale minutach, co czyniło ją wrażliwą na każdy widok, dźwięk i kolor, a zarazem dziwnie odrętwiała.

Jasne kędziory spadały jej na ramiona i zsuwały się na podłogę, podczas gdy Dorothea, nadal zdyszana po wyprawie do babci z radiem, krzątała się u jej stóp, zgarniając dowody

na starą, metalową szufelkę. Następnie Kurt zmoczył brzytwę w misce z zimną wodą i Hedy stanęła nieruchomo, gdy skrobał jej kark i wokół uszu, póki nie zostało tam nic prócz gołej, podrażnionej skóry. Raz czy dwa ją drasnął i wzdrygnęła się, nie wydając żadnego odgłosu; przycisnął skaleczenia chusteczką, aż krwawienie ustało. Kiedy było po wszystkim, czule ucałował ją w czoło i nasadziwszy jej z powrotem czapkę, odwrócił do lustra. Chwyciła dech. Miał rację: postrzyżyny zrobiły różnicę. Miała przed sobą drobnego, niedożywionego żołnierza armii niemieckiej. Mundur był gruby i ciepły, mimo to czuła, że dygocze na całym ciele.

Kurt, stojąc za nią, otoczył ją ramionami.

– Dobrze się składa, że taka z ciebie ślicznotka, hę?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Musimy iść.

Położył dłoń na ramieniu Dorothei, by dodać jej otuchy.

– Zostaw nam znak. Jeżeli drzwi z tyłu będą uchylone, to znaczy, że jeszcze ich nie było albo nadal są w domu.

Przytaknęła bez mrugnięcia okiem.

– Powodzenia.

Wyjście na zewnątrz pobudziło zmysły. Przytłoczyła ją świeżość wiatru schyłku lata, świetlistość nadchodzącego wieczoru i zapachy napływające z ulicy. Asphalt, końskie odchody, woń dalekich sosen, spalin, soli morskiej... Dotarli szybkim krokiem do końca alei i wyszli na ulicę. Natychmiast zakręciło jej się w głowie. Bezmiar nieba, zdawałoby się bezkresna połać drogi: jak poradzi sobie z taką jawnością? W oddali majaczyła zatoka St Aubin's, a za nią otwarte wody Kanału. Pomyślała o jego głębi, pełnej skał, morskich istot i uzbrojonych okrętów. Jak to możliwe, by odnaleźć się w takim przestworzu, będąc tak odsłoniętym? Wrosła nogami w ziemię, lecz Kurt pchnął ją lekko i w tej samej chwili poddała się losowi, oddając mu panowanie nad sytuacją. Obiecała sobie, że go nie zawiedzie, bez względu na to, co się wydarzy.

Ruszyli Parade Road. Spacer w linii prostej z chodnikiem pod stopami wprawił ją w uniesienie, a przy tym był wyczerpujący, zwłaszcza w obcych, niemieckich butach. Po raz pierwszy miała na sobie spodnie i dotyk tkaniny między nogami wywarł na niej szczególne wrażenie. Usiłowała wpasować się w mundur, stąpać pewnym, stanowczym krokiem, jak mężczyzna, lecz docierały do niej otaczające odgłosy, mimo że wieczór był spokojny. Warkot dalekiego silnika, wołanie z okna, ptaki na drzewach, samolot w oddali. Jakaż trwała szkoda wyrządziły jej zmysłom miesiące w odcięciu od świata? Czy będzie jeszcze taka jak dawniej?

– Dokąd idziemy?

– Będziemy trzymać się bocznych ulic – odpowiedział Kurt – gdzie panuje mniejszy ruch.

Pragnęła się rozglądać, ale szła ze spuszczonego wzrokiem, zdając się na Kurta. Jeden czy dwóch miejscowych, którzy wracali do domów przed godziną policyjną, przeszło na ich widok na drugą stronę. Hedy zwalczyła chęć, aby na nich zerknąć, przyjrzeć się konturom ludzkiej twarzy nienależącej do Kurta lub Dorothei. Skupiła się jednak na stawianiu nogi za nogą. Nie minęła minuta, jak dostała zadyszki.

– Kurt? Jestem zmęczona. – Od razu wyczuła jego napięcie, mieszaninę współczucia i frustracji.

– Wiem. Pójdziemy do parku i usiądziemy, ale dosłownie na chwilę, dobrze?

Spojrzała na niego spod czapki. Wodził wzrokiem dokoła pod kątem ewentualnych zagrożeń.

– Kurt? Wiesz, że cię kocham? – Wzbierała w niej trwoga. Jeśli plan zawiedzie, jedno było pewne: wszystko rozegra się w kilka sekund i więcej go nie zobaczy.

– Ja ciebie też, najdroższa. Nic już nie mów.

Doszli do Parade Road i znaleźli ławkę. Słońce zaszło i wiatr gnał po trawnikach pierwsze pożółkłe liście. Opodal, dwójkami i trójkami, zamajaczyły niemieckie mundury, po czym znikły, zastąpione innymi. Na widok dwóch szeregowców idących w stronę parku Kurt dał jej znak, żeby zrobiła to samo.

– Siedzenie prosi się o rozmowę – mruknął. – Musimy iść naprzód.

– A jeśli ktoś mnie zagadnie?

– Po co miałyby to robić? Chodźmy.

Zboczyli z Parade i skręcili w niewielką sieć ulic przecinających tę część miasta. Drzwi domów wychodziły tu prosto na wąski chodnik, toteż od ludzi, którzy wyglądali przez okna od frontu, dzieliło ich zaledwie kilka metrów. Hedy szła z brodą wciśniętą w klatkę piersiową, dobrze chociaż, że sama ulica była wyludniona. Po kilku okrążeniach Kurt rozejrzał się niespokojnie.

– Musimy iść dalej. Ludzie nabiorą podejrzeń, jeśli ci sami dwaj żołnierze będą łązić tam i z powrotem.

Pomaszerowali przed siebie. O zmroku przecięli Val Plaisant, minęli Rouge Bouillon i ruszyli Trinity Hill, gdzie miasto się rozrzedzało i przechodziło w kręte, wysadzone drzewami drogi.

Kurt stanął.

– Tam nic nie ma, musimy zawrócić. Pójdziemy od północnej strony.

Hedy nie czuła stóp.

– Długo jeszcze?

– Pewnie wyślą ludzi wkrótce po rozpoczęciu godziny policyjnej. Co najmniej dwie godziny.

Zatopiła zęby w dolną wargę. Nie zawieź go, powtarzała sobie w duchu.

Szli dalej, przez St Saviours Hill, po czym z powrotem na południe w stronę Howard Davis Park. Ostatnie przebłyski światła znikły, a gdy niebo stało się czarne, dźwięk

samolotów przybrał na sile; pewnie alianci szykują się do nocnych nalotów, pomyślała. Nadstawiła uszu, czy nie słyhać artylerii przeciwlotniczej, ale usłyszała tylko odgłosy ćwiczeń Niemców na wypadek ataku lądowego. Nogi zdawały się poruszać niezależnie od jej woli, jak dyndające na sznurku nogi drewnianej lalki. Wszystko będzie dobrze, zapewniała się w duchu. Jeszcze tylko trochę.

Zobaczyła ich na zakręcie Colombiere. Trzech podoficerów na chodniku, wszyscy umundurowani. Poczowała, że Kurt próbuje odciągnąć ją w drugą stronę, w tej samej chwili jednak na cichej ulicy rozległ się głos po niemiecku.

– *Haben Sie Feuer, Leutnant?*

Dzieliła ich niewielka odległość i wyczuli, że tamci są pijani. Hedy zobaczyła, jak barki Kurta sztywnieją pod mundurem, i odebrała jego myśli jakby szóstym zmysłem. Jeśli odmówi, choćby wesoło, i pójdzie dalej, zabije im ćwieka, mimo że są pijani. Jeśli się zgodzi i da im cenną zapałkę, nie sposób będzie uniknąć rozmowy. Ruszył palcami na znak, że Hedy ma zostać, gdzie jest, po czym ruszył naprzód, obmacując kieszenie.

– Jakie plany na dziś, panie poruczniku?

W dźwięcznym głosie Kurta zabrzmiała pewność siebie.

– Wyszliśmy się napić.

– Możemy się przyłączyć? Skończyliśmy butelkę, a nasze zwykłe miejsca są zamknięte.

Kurt udał, że się śmieje.

– Przykro mi, żołnierzu! Tu ci nie pomogę.

Hedy stała z boku ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jakby pochłaniało ją coś innego. Ale najwyższy z całej trójki, kapral, zwrócił się w jej stronę.

– Może pan, sierżancie? Postawicie nam piwo?

Poczowała panikę. Od tamtych wciąż dzieliła ją przyzwoita odległość, jakieś pięć metrów, więc w ciemności mogła podtrzymać złudzenie, wiedziała jednak, że gdy otworzy usta, to po niej. Nie zdążyli przygotować się na taką ewentualność i teraz od niej zależy, jak się wywiną. Mózg kręcił się jak oszalały, niczym zepsuty automat do gier. Pomyślała o Rice. Uśmiechy na granicy, urok, pewność siebie. Chodzi o to, aby stworzyć bajeczkę i wmówić ludziom, że jest prawdą. W tamtej chwili zaświtała jej w głowie pewna myśl. Przechyliła się na prawą stronę, dość, żeby stracić równowagę, i potknęła, prosząc w duchu niebios, aby Kurt domyślił się, w czym rzecz. Przez długą, straszną chwilę myślała, że nie zrozumiał. Po czym usłyszała jego głos.

– Obawiam się, że sierżant już ma dosyć. Więcej nie wypije.

Pomna zachowania pijanego kuzyna z rodzinnych uroczystości przed laty, przepraszająco uniosła rękę i zwiesiła ją bezwładnie, robiąc następny chwiejny krok naprzód. Cisza, która zapadła, zdawała się przeciągać w nieskończoność i zawisała w powietrzu, nasuwając Hedy obawę, że przeszarżowała.

Wreszcie Kurt musiał dać im przyzwolenie na reakcję, ponieważ gruchnął śmiech przetykany żartobliwymi komentarzami.

- Pan sierżant się załatwił!
- Ktoś jutro będzie cierpiał!
- Kręci się w główce?

Kapral klepał towarzyszy po plecach, a tamci odpowiadali mu kuksańcami, rechocząc na całego. Kurt podszedł do Hedy i grzmotnął ją w ramię, na co zakołysała się, nie wypadając z roli. Tym razem ją podtrzymał i pokierował naprzód.

- Miłego wieczoru, panowie – rzucił na pożegnanie.

Kiedy się oddalali, w uszach wciąż dźwięczał im śmiech tamtych. Kurt nadal ścisnął jej ramię, a gdy opadły emocje i dotarło do niej, co właściwie zaszło, bez jego podparcia padłaby jak długa na chodnik. Szli dalej, mijając zamknięte sklepy i ciemne okna miasta. Hedy dyszała, a z Kurta biło wręcz nerwowe napięcie. Upłynęło kilka minut, zanim się odezwał, upewniwszy się najpierw, że nikt nie usłyszy. Słowa przeszyły ją dreszczem, jakiego w życiu nie doznała.

- Boże jedyny, najdroższa. Świetnie się spisałaś!

Kiedy dotarli na róg West Park Avenue, minęła już północ. Poleciwszy jej, aby poczekała na progu sklepu, Kurt poszedł sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Wrócił po chwili i razem wśliznęli się w aleję, a następnie do domu.

Dorothea stała w salonie ze łzami bezsilności w oczach. Dom był w opłakanym stanie. Przewrócone krzesła, rzeczy ze strychu ciśnięte pod schody. Wszędzie lśniło potłuczone szkło.

Kurt otoczył ją ramieniem.

- Ilu ich było? Dużo poniszczyli?

Dorothea potwierdziła.

– Czterech żołnierzy. Wyrzucili wszystko z kredensu, wywrócili łóżka do góry nogami. Słukli mi ostatni imbryk... skąd ja teraz wezmę drugi?

Hedy też ją objęła.

– Tak mi przykro, to musiało być dla ciebie straszne. Ale zaraz zrobimy porządek. Grunt, że niczego nie znaleźli. – Poczowała, że Dorothea się wzdrygnęła. – Bo nie znaleźli, prawda?

Palce Dorothei pofrunęły do twarzy i bezwiednie postukały w policzek.

– Przepraszam... myślałam, że wszędzie zamiotłam, że taka jestem ostrożna... to moja wina. – Słowa padały jedno za drugim, a łzy popłynęły strumieniem i nie mogła już nic dodać.

Hedy skrzywiła się w brzuchu i poczuła, że musi pilnie skorzystać z łazienki.

- Co znaleźli?

– Guzik, pod krzesłem w kuchni. Od niemieckiego munduru.

Hedy spojrzała na Kurta, który zbladł jak ściana.

– To nie twoja wina, Dorotheo, tylko moja. Wiedziałem, że go zgubiłem, ale nie przyszło mi do głowy, że tutaj. *Scheisse!*

Hedy zdjęła czapkę i pogładziła ogoloną szyję.

- Nie pomyśleli, że to Antona?
- Tak im powiedziałam, ale chyba mi nie uwierzyli. Wyjechał zbyt dawno temu. – Popatrzyła na niego z desperacką nadzieją. – Przecież to niczego nie dowodzi, prawda?
- Kurt odgarnął zbłąkany kosmyk z czoła.
- Nie, ale Wildgrube zaraz to podchwyci. Od dawna szuka czegoś, co połączy mnie z Hedy.
- Myślisz, że wróca? Musimy wyjść?
- Ku jej uldze Kurt potrząsnął głową.
- Nie dziś, ale wróca, jutro, pojutrze albo w przyszłym tygodniu. I następnym razem zrobią to bez uprzedzenia. Potrzebne nam coś, co zmyli trop. Ale niech mnie szlag trafi, jeśli wiem co.
- Hedy dotknęła jego ramienia.
- Chyba mam pomysł.

*

Dziewczyna za barem pewnie miała nie więcej niż siedemnaście lat, ale znękana twarz postarzała ją co najmniej o piętnaście. Kręcąc resztką brandy na dnie brudnego kieliszka, Kurt zastanawiał się, jakie okoliczności skłoniły ją do podjęcia tego zajęcia. Może jej ojciec stracił pracę, jak wielu okolicznych mężczyzn, i każdy grosz się liczył, żeby kupić żywność na czarnym rynku. Albo jej rodzice nie żyją i musi utrzymać siebie i rodzeństwo. Jakkolwiek było, z trudem ukrywała pogardę do hałaśliwych oficerów, którzy przesiadywali tu dziś, szurali krzesłami o parkiet i wypalali papierosami dziury w tapicerce. Jak to mawiają Francuzi? *Fin de siècle*. Kurt obserwował ich, jak piją i śmieją się z żartów, które powtarzali już setki razy. Rasa panów, pomyślał z goryczą, dopijając brandy. Wolne żarty.

Ogarnął wzrokiem salę. Fischer siedział na fotelu w najciemniejszym kącie, zatopiony w poufnej rozmowie z dwoma wysokiej rangi oficerami z College House; gdy spostrzegł, że Kurt strzyże uszami, jeszcze bardziej zniżyli głosy. Lecz nie oni go dziś interesowali. Cel Kurta siedział przy oknie i pił z kumplami z tajnej policji. Wildgrube dawno porzucił wszelkie pozory co do prawdziwej natury swojej pracy i teraz z lubością się nią afiszował. Obecność innych szpiegów dodała Kurtowi niezbędnej pewności siebie: znacznie ułatwi mu zadanie.

Dzisiaj bawili tu chyba wszyscy. Był to ostatni klub dla oficerów, który się jeszcze ostał, i „sprawdzona” klientela mogła liczyć na stałą dostawę francuskiej brandy, po części dlatego, że bywał tu szef tajnej policji, brylujący na czarnym rynku. Czasem można było dostać nawet kawałek chleba i nieco sera, chociaż porcje zmniejszyły się o ponad połowę. Kurt patrzył, jak Wildgrube pije drugiego drinka, przejawiał jednak niezwykłą jak na siebie samokontrolę i wstrzemięźliwość, sączył, zamiast żłopać, i rzucał Kurtowi dyskretne, jak

zapewne mniemał, taksujące spojrzenia. Kurt z hukiem odstawił kieliszek na kontuar, pomaszerował do szpiega i stanął przed nim

– No proszę, nasz ważniak we własnej osobie.

Wildgrube zmierzył go wzrokiem, poddając ocenie jego nastrój.

– Poruczniku...

– Aresztowałeś kogoś interesującego ostatnio?

Wildgrube zerknął na boki, zjeżony tym brakiem szacunku.

– Że co proszę?

Kurt podszedł bliżej, wykorzystując przewagę w postaci różnicy wzrostu, żeby go zastraszyć.

– Nie ma co się wstydzić, Erichu. Sądziłem, że szcycisz się swoją pracą.

Wildgrube cofnął się nieznacznie, zwiększając dzielącą ich odległość.

– Chyba wszyscy jesteśmy dumni z naszej służby dla Rzeszy.

– A więc wykrztuś to z siebie. Przewróciłeś do góry nogami jakieś ładne domy? Rozwaliłeś coś na kawałki? Wiem, że twoi ludzie to uwielbiają.

Wildgrube zacisnął wargi w wąską kreskę. Różowe usta nie pasowały mu do bladej twarzy, wyglądały jak uszminkowane.

– Jeśli macie uwagi do mojego wydziału, poruczniku, proponuję, żebyście złożyli oficjalną skargę.

– Nie, wolę powiedzieć ci to prosto w oczy. Teraz, gdy jesteśmy odcięci od świata, musisz być w swoim żywiole. Można komuś porządnie dopiec. Nieważne, że ci ludzie nic nie zrobili, co? Trzeba im pokazać, kto tu rządzi, zgadza się?

– Mówię poważnie, Kurt. Nie czas na to i miejsce. Proponuję, żebyś wrócił do domu, zanim wpakujesz się w prawdziwe kłopoty.

Kurt nachylił się do niego tak blisko, że poczuł jego cuchnący oddech.

– Idę. Nie podoba mi się atmosfera, która tu panuje. Ale będę cię miał na oku, Erichu, nie myśl sobie. – Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i wymaszerował z klubu, trącając młodego oficera po drodze.

Na zewnątrz nabrał w płuca nocne powietrze i schronił się w pobliskiej bramie, żeby zapalić papierosa. Odczekawszy trzydzieści sekund, ruszył naprzód w miarę rześkim krokiem. Na rogu spojrzął na boki, czy nic nie jedzie: służbowych aut było o tej porze niewiele, ale miał pretekst, żeby się obejrzeć. I tak jak się spodziewał, podążał za nim Wildgrube z czapką pod pachą, w cieniu budynków, aby pozostać niezauważonym. Towarzyszyło mu dwóch roślących młodszych oficerów i wszyscy trzej czekali, aż Kurt ruszy dalej.

Skierował się w stronę Cheapside i opanował pokusę, by ponownie zerknąć przez ramię. Serce tłukło mu w piersi, a pot spływał strumieniami po plecach pod mundurem. Umysł miał opanowany i wyważony, lecz ciało z uciechą mu przypominało, że w kwestii strachu

zawsze ma przewagę. Pomyślał o Hedy i zaśmiał się cicho. Miłość. Obłąd, do jakiego nas pcha. Gdyż to, bez wątpienia, było istne szaleństwo.

*

Hedy przymknęła oczy i odetchnęła głęboko, próbując myśleć o przyjemnych sprawach, co okazało się trudniejsze, niż się spodziewała. Wizja ciepłej kuchni rodzinnego domu sprawiła jej ból... a nadmorskich spacerów z Antonem nasunęła wspomnienie tego, co przeminęło bezpowrotnie. Koniec końców padło na nią i Kurta przytulonych w łóżku w bliżej nieokreślonym pokoju i przyszłości, czuła w nozdrzach jego zapach, gdy tulił ją w ramionach. Jeśli się na tym skupi, powiedziała sobie, może fizyczny ból i zgroza wtopią się w podświadomość.

Odrobinę zmieniała pozycję, żeby zmniejszyć nacisk. Przestrzeń była wilgotna i zimna. Nad sobą miała niewiele ponad pięć centymetrów, deski więziły ją jak trumna, w jednej pozycji. Najlżejszy ruch sprawiał, że belka wpijała się w ciało, a drzazga dźgała przez ubranie, ponadto zwiększał ryzyko, że spadnie przez gips sufitu poniżej. Rozprostowanie nogi albo kręgosłupa choć trochę nie wchodziło w rachubę. Kiedy Dorothea oznajmiła, że już czas, i przykręciła ostatnie deski podłogowe nad jej głową, kompletna ciemność i ograniczona przestrzeń wzbudziły w Hedy taką panikę, że była ledwie żywa ze strachu. Ale powtarzała sobie, że jest w zasadzie tak samo jak na ciemnym strychu, z którym oswoiła się przez ostatnie dziesięć miesięcy: jeśli zapanuje nad oddechem i nie dopuści, aby kurz zakręcił jej w nosie, wszystko będzie dobrze.

Na szczęście przez szczeliny między deskami podłogi słyszała, co się dzieje w sypialni nad jej głową, a to zapewniało jej łączność ze światem i uciszało klaustrofobię. Wiedziała też, że nie musi długo czekać. Z parteru dobiegł szcęk otwieranych i zamykanych drzwi. Zabrzmiały kroki na schodach, a potem niesprecyzowane szmery towarzyszące krzątaniu. Chwilę później wiekowe sprężyny łóżka Dorothei jęknęły, uginając się pod ciężarem ludzkiego ciała. Rozległy się szepty, nerwowa, urywana wymiana zdań, i znowu zapadła cisza. Zdawało się, że wszyscy nasłuchują.

Przymknęła oczy, próbując określić, ile czasu minęło. W dzieciństwie grała w tę grę w szkole: zmuszała się, by nie patrzeć na zegar, sama ze sobą robiąc zakłady. Granica błędu wynosiła pięć minut: jeśli odgadnie godzinę, papa zabierze ją na lody w niedzielę, jeśli pomyli się o więcej niż dziesięć minut, przejdzie przez pokrzywy na poboczu drogi. Nabrała wprawy. Teraz obliczyła, że minęło dobre pół godziny, odkąd cokolwiek usłyszała. Chyba niewiele dłużej? Jeśli się uda, wówczas...

HUK.

Dźwięk wywołał u niej taki wstrząs, że podskoczyła i belki wryły się w ciało. Serce waliło jej jak młotem, jeszcze mocniej zacisnęła powieki. Przyszli.

*

Łoskot otwieranych przemocą drzwi z pewnością usłyszeli sąsiedzi cztery domy dalej. Kurt dźwignął się na łokciach, wsparty głową o pręty wezglowia, i spojrzał na Dorotheę, której pobladła twarz zlała się niemal z poduszką. Odruchowo podciągnęła kołdrę pod brodę, przerażona własną nagością, i wybałuszyła oczy ze zgrozy. Sprawdził, czy spodnie tkwią ciśnięte jak należy pośrodku pokoju, a potem zerknął na przestrzeń pomiędzy nim i Dorotheą. Z przepaszającym grymasem przysunął się nieco bliżej, a ona kiwnęła głową. Zbyt daleko zabrnęli, żeby teraz coś zepsuć, miało być wiarygodnie.

Leżeli nieruchomo, wsłuchani w tupot na parterze, a potem na schodach. Kurt na sekundę przymknął oczy i nabrał tchu, gdy drzwi omal nie wypadły z framugi. Wildgrube stanął w progu, za nim majaczyły dwa cienie potężnych pomocników. Zaróżowione od nocnego powietrza policzki uwypuklały triumfalny błysk w oczach. Ileż musiał o tym marzyć, pomyślał Kurt – wyobrażać sobie, jak zakłada Kurtowi kajdanki i rzuca przełożonemu raport na biurko. Ale zaraz wzrok szpiega spoczął na Dorothei i gdy porównał ją z zapamiętanym zdjęciem Hedy, coś mu się nie zgadzało. Jego twarz przypominała Kurtowi książkę z dzieciństwa, gdzie złączone obrazki kartkowało się szybko kciukiem i wyłaniała się z nich historyjka: na przestrzeni trzech sekund oblicze tajniaka przeszło od zachwyту do zdumienia i rozczarowania, wreszcie białej gorączki.

– Dokumenty, dziwko! – W przyptywie paniki, która wcale nie była udawana, Dorothea zakwiliła, wskazując palcem komodę. – Wstawaj i przynieś. – Posłusznie wstała i owinęła się kocem, pozostawiając Kurta gołego na materacu. Wildgrube starannie przestudiował dokument, Kurtowi wydało się jednak, że ukradkowe spojrzenie na jego genitalia trwało nieco dłużej, aniżeli wymagała tego zwykła ciekawość.

– Ubierzcie się, poruczniku! – Kurt w milczeniu spełnił polecenie. – A więc to tak szanujecie kolegę w służbie Rzeszy, żołnierza, który walczy za ojczyznę? Pieprzycie mu żonę w jego własnym domu? – Kurt zrobił skruszoną minę. – Jak długo to trwa?

Kurt westchnął, niby w przeczuciu, że to go ostatecznie pogrąży.

– Od wyjazdu jej męża. – Odważył się zerknąć na Wildgrubego, wiedząc, że ten liczy wstecz, pomny dziwnego zachowania Kurta, i myśli, że znalazł odpowiedzi na wszystkie pytania. Jego twarz przybrała wyraz odrazy, lecz zanim to się stało, Kurt ujrzał w niej coś jeszcze, a mianowicie podziw.

– Gdybym miał taką władzę – oświadczył Wildgrube – aresztowałbym was oboje. Ale bądź spokojny: gdy wygramy tę wojnę, zostaniesz surowo osądzony. Brzydę się wami – wypluł, po czym z teatralnym dramatyзмом obrócił się na pięcie i opuścił sypialnię. Kurt – w samych spodniach – i Dorothea, wciąż owinięta jedynie kocem, stali nieruchomo jak posągi, póki kroki nie dotarły do drzwi frontowych, które z hukiem się zatrzasnęły. Nawet wówczas upłynęła cała minuta, nim któreś z nich odważyło się coś powiedzieć.

Wreszcie Dorothea zachichotała nerwowo.

– Chyba się udało!

Kurt przytaknął.

– Tak myślę. – Zawstydzony, podał jej sukienkę leżącą w nogach łóżka. – Nałóż to szybko, pewnie ci zimno. Trzeba odkręcić deski.

*

Hedy pochyliła się nad miednicą, gdzie namoczyła i wyżyła szmatkę, którą przetała ostrożnie ciało. Woda spływała jej po rękach i między piersiami, wytyczając ścieżki w kurzu i brudzie, a następnie znikła pod halką. Hedy czuła na sobie wzrok Kurta, dotkliwie świadoma nierównych kępek włosów na głowie oraz chudego ciała, które upodabniało ją do chłopca. Ale gdy na niego spojrzała, patrzył na nią z uwielbieniem.

– Jak się czujesz? – zapytał. Kiwnęła głową na znak, że już lepiej, mimo że kości wciąż miała obolałe i minęło całe pół godziny, odkąd ją wyciągnęli, zanim przestała dygotać. – Byłaś bardzo dzielna.

– Ty też dobrze się spisałeś. Jeszcze raz mi opowiedz, jak było w klubie. – Robił to już dwukrotnie, ale czuła się jak dziecko, które prosi o bajkę przed snem.

Usiadł na krześle naprzeciw niej.

– Wiedziałem, że teraz albo nigdy. Trochę wypił, ale niezbyt wiele, i wręcz się palił, żeby nas przyłapać, potwierdzić swoją teorię. Tak jak powiedziałaś, wystarczyło go przekonać, że ma ku temu doskonałą okazję.

Uśmiechnęła się na samą myśl.

– Naprawdę na niego nakrzyczałeś?

– Wystarczająco, żeby go upokorzyć, wzbudzić w nim chęć zemsty. W przypadku takich jak on to nic trudnego. – Drzwi się otworzyły i Dorothea wśliznęła się jak duch. Hedy zauważyła, że unika wzroku Kurta i uparcie staje do niego tyłem, kręcąc się po kuchni i dolewając gorącą wodę do miski. Hedy rzuciła mu wymowne spojrzenie: musiał wziąć sprawy w swoje ręce. – A Dory – podjął jak gdyby nigdy nic – powinna dostać Oscara za taki popis! Niewiele brakowało, a sam bym jej uwierzył!

Dorothea poczerwieniała aż po cebulki włosów.

– Wiedziałam, że musimy wypaść jak najlepiej.

– Naprawdę nic nie widziałem – zapewnił ją Kurt. – Kiedy się kładłaś, miałem zamknięte oczy.

Uśmiechnęła się dzielnie, wciąż zawstydzona.

– Nic nie szkodzi, naprawdę. Wiem, że Anton by zrozumiał, gdyby tu był.

– Mało tego – oznajmiła Hedy. – Byłby z ciebie dumny. Z nas wszystkich. – Wzięła mały ręcznik, żeby się osuszyć, i spojrzała na Kurta. – Ale czy to wystarczy, żeby ich zmylić?

Potwierdził z niezachwianą pewnością siebie.

– Wildgrube nie może sobie pozwolić na osobistą wendetę. Wyszedłby na idiotę. Bóg jeden wie, że będzie miał zajęcie, zważywszy na to, co się teraz dzieje.

– Zatem jesteście bezpieczniejsi?

Zacisnął usta.

– Bezpieczniejsi, ale nie bezpieczni. Wciąż musimy mieć się na baczności. Choć jeśli mam być szczery, tajna policja przestała być naszym największym problemem. – Ponagliły go wzrokiem, żeby wyjaśnił, co ma na myśli. – Za kilka miesięcy wyspy mogą przymierać głodem. Fischer był w klubie z oficerami i podsłuchałem, jak mówili, że Churchill nie pozwala Czerwonemu Krzyżowi przysłać pomocy.

Dorothea wytrzeszczyła oczy.

– Ale dlaczego?

– Pewnie myśli, że wszystko zgarnęliby Niemcy. Ale z tego, co mówili, to może być zemsta za kolaborację.

– Kolaborację? – Hedy cisnęła ręcznik na oparcie krzesła. – Skąd ten pomysł? Churchill nie ma pojęcia, co się tutaj dzieje!

– Podobno rząd brytyjski odniósł wrażenie, że świetnie się dogadujemy i nie było aż tak źle.

Hedy przeniosła wzrok na Dorotheę i zobaczyła, że wzbiera w niej wściekłość.

– Myśleli, że będziemy walczyć z niemieckim wojskiem gołymi rękami?

– Powtarzam tylko, co słyszałem.

Hedy odruchowo utkwiała wzrok w spiżarni, szacując, co w najbliższym czasie będą jadły.

– Jak mamy przeżyć, bez dostaw żywności i pomocy z zewnątrz?

– Garnizon powinien utrzymać się do stycznia – rzekł Kurt – jeśli skonfiskuje wszystkie zapasy żywności. Ale będzie mi coraz trudniej coś wam przynosić. A jeśli alianci nie przejdą szybko przez Francję, to...

Hedy podeszła do okna i musnęła zaciemnienie palcami na wspomnienie świata zewnętrznego, którego ostatnio zakosztowała. Nagle kuchnia wydała się mniejsza niż do tej pory.

Kurt wstał i otoczył ramionami jej kibić.

– Nic się nie martw, najdroższa. Churchill będzie musiał ustąpić, jeśli sytuacja się pogorszy. Wytrzymamy – powiedział, ale w jego głosie zabrakło przekonania.

Hedy westchnęła z rezygnacją.

– Kto wie? Może ta zima wykończy nas bez udziału tajnej policji.

Usiedli we trójkę przy kuchennym stole, a po chwili Dorothea przyniosła karty. Grali o kamyki z ogrodu, siedząc w ciszy, bo nic nie przychodziło im do głowy. Lato się skończyło. Noce stawały się chłodniejsze, a zachody słońca przeniosły się w okolice popołudnia. Zza Kanału dochodził odległy huk wystrzałów, aż szyby dzwoniły w starych futrynach.

*

Tik, tak, tik, tak. Kuchenny zegar snuł hipnotyczny rytm w ciemności. Minie kolejna godzina, zanim włączą prąd, a ostatnią świecę zużyły kilka dni temu. Nawet czytanie, ostatnia przyjemna czynność, jaka im została, późnym popołudniem stawało się niemożliwe. W mieście plotkowano, że za dwa miesiące w ogóle nie będzie elektryczności.

Hedy skuliła się przy kominku i ogrzała ręce nad stygnącym popiołem. Obok paleniska stał pusty koszyk na drewno opałowe z resztką uschłych liści i gałązek na dnie. Dorothea spędziła cały poprzedni dzień na Westmount, zbierając chrust na rozpałkę, ale kto mógł, robił to samo, a lwią część zgarniali ludzie uzbrojeni w ostre piły. Nie pomogło też, że przyniesione przez nią gałązki były doszczętnie mokre i w zimnym, zawilgłym domu będą schnąć przez kilka dni.

Usiadła, nasłuchując, jak deszcz bębni o szyby i odbija się od betonu na podwórku. Padało od wielu dni, tygodni. Od dziesięciu lat nie było tak mokrego listopada, powiadali miejscowi. Ponownie zaburczało jej w brzuchu i poczuła ukłucie bólu, będącego pewnie zapowiedzią wrzodu. Kurt ostatnio skarżył się na to samo, nawet oficerowie chodzili głodni. W zeszłym tygodniu usłyszała od niego, że aresztowano grupę zwykłych żołnierzy za napaści na domy i kradzieże. Hedy chciała założyć dodatkowy rygiel na drzwiach kuchennych, ale Dorothea na próżno obesła wszystkie sklepy w mieście. Stwierdziły, że może nie ma to aż takiego znaczenia: włamywacze prędzej obiorą sobie za cel gospodarstwa, gdzie wciąż można znaleźć króliki albo warzywa. Po cóż włamywać się do domu w mieście, w którym nic nie ma?

Prognozy Kurta okazały się słuszne. Po nieudanym nalocie na dom Wildgrube i jego świta stracili interesowanie Kurtem i chyba dali sobie spokój z tropieniem Żydówki. Cała trójka powoli utwierdzała się w przekonaniu, że żołdacy nie wrócą, i Hedy sypiała w pokoju gościnnym. Cudownie było leżeć na prawdziwym łóżku i móc w nocy wstać w razie potrzeby, choć po miesiącach życia jak nietoperz na strychu paradoksalnie spała teraz gorzej niż dawniej. Właściwie jak każdy. Jak tu spać, kiedy głód ssie w brzuchu i kwas podchodzi do gardła, gdy tylko człowiek się położy? Ubiegłego wieczoru nie miały w domu nic do jedzenia, póki Kurt nie zjawił się z kawałkiem kiełbasy i skibką czegoś, co nie zasługiwało na miano chleba. Dwa dni wcześniej Dorothea zemdląła przy schodach.

Usłyszała szcęk drzwi wejściowych i wyżej wspomniana wpadła do środka, zatraskując je za sobą. Hedy wyszła jej na spotkanie. Tak dostroiły się do swoich ruchów i zachowań, że natychmiast wyczuwały najdrobniejszą zmianę nastroju. Hedy patrzyła, jak Dorothea składa parasol z dwoma połamanymi drutami i staje w przedpokoju, ociekając wodą. Miała zaczerwienione oczy i zaciśnięte usta, jakby czuła, że zaraz wybuchnie.

– Co się stało?

– Właśnie widziałam, jak starsza pani Le Cornu z sąsiedztwa płacze na ulicy. Kot jej zginął. Uważa, że Niemcy go ukradli.

– Nie! – Hedy zakryła usta dłonią.

– To samo przytrafiło się jej sąsiadce. Łapią koty i podobno gotują je w koszarach. Zauważyłam, że psy też gdzieś znikły.

– Ale to straszne! – Przypomniała sobie szary, puszysty pyszczek Hemingwaya i miała nadzieję, że zostało mu to oszczędzone.

– Tak, straszne. Wszystko jest straszne. Mam tego dosyć. – Łzy spłynęły jej po twarzy. – Stałam w kolejce do rzeźnika – podobno dostali królicze mięso, ale to nie była prawda – kiedy doszło do bójkę pomiędzy dwiema kobietami. Normalnie zaczęły się okładać. O dwa zgniłe jabłka.

Wydała dziwny jęk i osunęła się po ścianie na podłogę, szlochając w dłonie. Woda z płaszczka i włosów zebrała się wokół niej w kałużę.

Hedy uklękła obok i otoczyła ją ramieniem.

– Już dobrze.

– Nie, nie jest dobrze. To się dzieje wszędzie – załkała Dorothea. – Wszyscy chodzą głodni i wściekli! W sklepach nic nie ma i do czasu odpływu nie możemy nawet nic złowić, zresztą wszyscy rzucą się wtedy do wody.

– A twój kuzyn? – Hedy przygryzła wargę. Obie wiedziały, że pytanie jest głupie i bezzasadne, ale Dorothea udała, że wręcz przeciwnie.

– Niemcy konfiskują wszystko. Wątpię, czy zdoła wyżywić dzieci, a co dopiero nas. – Zamilkła, przytłoczona niedolą, po czym wzięła głęboki oddech. – Jestem taka głupia. Nie wierzyłam Kurtowi, kiedy mówił w czerwcu, że alianci nas ominą. Byłam pewna, że przyjdą. Mama kochała króla Jerzego, zawsze wstawaliśmy do hymnu, ale nigdy w życiu bym nie pomyślała, że on do tego dopuści. Myślałam, że przyślą statek, cokolwiek...

Hedy przytuliła ją mocno.

– Gdyby przysłali, Niemcy by się postawili i doszłoby do rozlewu krwi. Możliwe, że wszyscy już byśmy nie żyli.

– Może tak byłoby lepiej! – W ciemności jej blada skóra była niemal przezroczysta i Hedy dostrzegła błękitne żyły pod powierzchnią. – Może lepiej umrzeć w walce, szybko, zamiast siedzieć beczynnym i czekać nie wiadomo na co.

– Ale wciąż tu jesteśmy. – Hedy przyciągnęła ją do siebie. – Tak długo wytrwaaliśmy, Dory, wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Walczyliśmy tak, jak potrafiliśmy. Nie możemy się teraz poddać.

Dorothea nadal płakała, ale to był teraz inny płacz, cichy, pełen rezygnacji.

– Nie wiem, czy mam jeszcze siłę, Hedy. Jestem taka zmęczona, wciąż wszystko mnie boli. Czasem... – Wytarła smarki z nosa. – Czasem chciałabym dostać w nocy ataku astmy i się nie obudzić.

– Nie mów tak! – Hedy usłyszały swój piskliwy i zdesperowany głos. – Potrzebuję cię, Anton też. Jeszcze trochę. Kurt zawsze nam coś podrzuci. To musi się wkrótce skończyć. Musi.

Dorothea potrząsnęła głową.

– Nie wiem...

– Ale ja wiem! Belgia została wyzwolona. Amerykanie przechodzą przez Ren. Alianci wygrają, Dory, wszyscy to wiedzą. Musimy przetrzymać jeszcze tylko kilka... – Nie mogła wykrztusić „miesiący”, chociaż tak właśnie pomyślała. – Tygodni...

– Jestem taka zmęczona. Tak strasznie zmęczona.

Hedy przycisnęła twarz do jej spuszczonej głowy i przymknęła oczy. Sukienka nasiąkała wodą z podłogi, potęgując uczucie zimna, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Nie było dokąd pójść ani co robić, mogły tylko siedzieć i kojąco kołysać się na posadzce, obserwować parę płynącą z ust i słuchać niestrudzonego tik-tak kuchennego zegara.

12

1945

„Evening Post”

8 maja 1945

Uprasza się o zachowanie spokoju i godności w nadchodzącym czasie oraz powstrzymanie się od wszelkich demonstracji.

(...)

Uważam, że flagi mogą zostać wywieszone na koniec popołudniowego przemówienia premiera i mając na uwadze porządek publiczny, zwracam się z prośbą, aby nie robić tego przed wyznaczonym czasem.

Dzień wcześniej byłem świadkiem zwolnienia większości więźniów politycznych i dokładam wszelkich starań, aby w trybie natychmiastowym zwolniono pozostałych.

Będziecie na bieżąco informowani o wszelkich postępach.

A.M. Coutanche, baliw

Pachnie inaczej, pomyślał Kurt, wchodząc z pozostałymi oficerami do sali głównej College House. Nie mieszaniną wilgotnych mundurów, potu i skórzanych butów, jak zawsze. Nie był to nawet smrodek strachu, wszechobecny na początku inwazji lądowej. Zrazu nie umiał tego określić, lecz odpowiedź kryła się w twarzach jego współpracowników, bezsilnej pochyłości pleców, a zwłaszcza nieskrywanych przekleństwach oraz pytaniach, które błędziły pośród zebranych. Pytaniach, których nie mamrotano już ukradkiem po kątach, tylko wypluwano z wściekłością i urazą. Tak cuchnęła porażka.

Wyjrzał przez to samo okno z szybkami w ołowianych ramkach, przez które wyglądał tyle razy; uderzył go widok błękitnego nieba i białych obłoków. Powtórzył w myślach komunikat, aby nadać im realny wymiar. To już koniec. Hitler nie żyje, Niemcy przegrały, marzenie o Vaterlandzie się rozwiało. Miliony poszły na zatracenie w imię mrzonki narodu opętanego furią i ideologią, który nie był w stanie dostrzec swego prawdziwego odbicia. Dla mirażu. Po nic. Próbował sprecyzować, co czuje, lecz rozpoznał tylko niejasne poczucie ulgi.

Dzień rozrachunku przestał być ewentualnością w bliżej nieokreślonej przyszłości. W ciągu kilku dni – może godzin – wojska brytyjskie dobiją do brzegu i wszyscy tutaj obecni pójdą do więzienia. Niektórzy zostaną straceni. Zastanowił się z dziwną obojętnością, czy będzie wśród nich. Cóż za tragedia, pomyślał, przetrwać tak długo, utrzymać przy życiu ukochaną kobietę i zgasnąć teraz, gdy szczęście stało się wreszcie możliwe. Ale nie litował się nad sobą i nie czuł strachu, tylko osobliwy spokój. Nad niczym już nie panował, wszystkie jego obowiązki odeszły w przeszłość. Może to jeden z niuansów dzisiejszej woni: bierna przyjemność płynąca ze zwolnienia ze służby. Przyszłość wymknęła się spod kontroli.

Baron von Aufsess stanął na biurku i przemówił pewnym głosem, jakby rozdzielał zadania w normalny dzień.

– Zostałem poinformowany – oznajmił – że o trzeciej po południu pan Churchill zwróci się z odezwą do narodu brytyjskiego za pośrednictwem BBC. Otrzymałem rozkazy, że mamy udaremnić nielegalną transmisję... – Tutaj się zawahał i kaszlnął, co Kurt wziął za znak interpunkcyjny. – Jednakże wiemy również z pewnych źródeł, że statki brytyjskiej marynarki wojennej płyną już na wyspy z rozkazem naszej natychmiastowej kapitulacji, toteż udzielam zgody na wysłuchanie transmisji, jeśli ktoś posiada odbiornik. – Przez salę przetoczył się szmer. Wszyscy wiedzieli, że co najmniej połowa miejscowych ma radio lub nielegalny odbiornik kryształkowy. – Tymczasem musicie wiedzieć – ciągnął von Aufsess – że będę dziś rozmawiał z baliwem w sprawie udostępnienia magazynów żywności. Baliw nakazał mieszkańcom działać z rozwagą, żeby nikomu nie przyszło do głowy się mścić.

Kurt skrzywił się, bliski śmiechu. Wciąż to skrywane poczucie wyższości! Kolejne dni będą jak kubeł zimnej wody.

Baron odprawił oficerów i asystenci rozdali wytyczne spisane odręcznie na kartkach. Kurt rzucił okiem na swoje i schował je do kieszeni na piersi. Przesuwając się z wolna w stronę drzwi, podejrzwał kilka cudzych. „Usunąć... zniszczyć... rozebrać”. Oczywistym priorytetem sztabu stało się zatuszowanie tego, co działo się tu przez ostatnie pięć lat. Góry dokumentów, prywatne magazyny żywności: wszystko, co mogło zostać uznane przez aliantów jako sprzeczne z konwencją haską. Kurt zapiął mundur i ruszył spod College House z tłumem, ale zamiast iść do pracy palić dokumenty, tak jak mu przykazano, przed wzniesieniem skręcił w stronę West Park Avenue. Do diabła z nimi – co mogą mu teraz zrobić? Przede wszystkim pragnął teraz zobaczyć Hedy.

Na ulicach roiło się od miejscowych, z których wielu ewidentnie wyszło z pracy. Niektórzy uśmiechali się do niego z mściwą satysfakcją, kiedy ich mijał. Inni wykrzykiwali obelgi. Grupa kilku kobiet patrzyła, jak czterech niemieckich szeregowców usiłuje usunąć wielki, czerwony krzyż namalowany dziewięć miesięcy temu na ścianie klubu oficerskiego, aby uchronić go przed zbombardowaniem. Wapno sprawiło, że krzyż przybrał różowy odcień, ale wciąż był widoczny, ku rosnącej panice upstrzonych farbą żołnierzy. Kurt prychnął, rozbawiony trwałością obrazu. Wapna nie wystarczy, pomyślał.

Na przekór apelom władz w oknach powiewało już wiele brytyjskich i lokalnych flag. Pojawiły się znikąd, po latach spędzonych w piwnicach i na strychach lub zapleczach sklepów. Przecinając Val Plaisant, zauważył rozradowanego starszego pana, który stawał na parapacie głośniki, aby dobrą wieść wszem wobec i każdemu z osobna wiadomym czynić. Kurtowi udzielił się jego optymizm i musiał się uśmiechnąć. Dziwnie być otoczonym przez tyle radości i mieć świadomość, że wywołał ją własny upadek.

Przy domu Dorothei zapukał jak zawsze i został wpuszczony. Dorothea wyglądała olśniewająco w sukni, którą miała na swoim ślubie, lecz od tamtej pory jej nie wkładała. Hedy była ubrana w szarą, bawełnianą sukienkę w kwiatki i rozpinany sweter, noszone przez większość dni w ciągu ostatniego półtora roku, ale serce Kurta topniało, gdy na nią patrzył. W oczach miała błysk, jakiego nie widział od miesiący, a lekkość jej ruchów przypominała mu wróżki z ilustracji w bajkach. Włosy, które jeszcze całkowicie nie odrosły, wiły się na wysokości podbródka, a ich jasnobrązowy odcień urzekał go jak zawsze.

– Zjadłyśmy wczoraj na kolację całą puszkę łososia! – zakomunikowała. – Tylko ona nam została z kwietniowych darów, ale podobno statki wiozą prowiant, więc stwierdziłyśmy, że nie będziemy sobie żałować!

– Doskonały pomysł. – Kurt wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, zachwycony ich miękkością. – Macie gdzie wysłuchać przemówienia o trzeciej?

– Dorothea przytargała z powrotem radio od babci. Po drodze minęła z taczka niemieckiego żołnierza, ale nawet nie zapytał jej, co ma pod kocem! Dopiero wtedy w pełni do nas dotarło, że to już koniec.

Nawinął jej kosmyk na palec.

– Jutro przyplyną brytyjskie statki. Powinnyście iść do portu przywitać Angoli, będzie święto.

– Pójdziesz z nami? – spytała Dorothea, przeglądając się w lusterku pustej puderniczki.

Kurt zerknął na Hedy. Spojrzenie, które wymienili, mówiło samo za siebie.

– Możliwe, że będę zajęty.

Hedy ujęła dłoń, którą dotykał jej włosów, i zaciągnęła go do salonu.

– Mam plan. Jak tylko będzie bezpiecznie, pójdę do urzędu i wszystko opowiem. O tobie, o tym, jak mi pomogłeś.

Spróbował nadać twarzy wyraz zadowolenia i wdzięczności.

– Cóż, bardzo dziękuję...

– Przypuszczam, że na początku zatrzymają was wszystkich. Ale nie mogą każdego traktować tak samo, będą chcieli wyłonić przywódców. Jestem żywym dowodem, że należysz do innej kategorii.

– Jestem oficerem, Hedy. – Starał się mówić łagodnie. – To wiąże się z pewnymi konsekwencjami.

– Początkowo owszem, ale brytyjskie sądownictwo jest bardzo sprawiedliwe. Gdy tylko poznają całą prawdę, poczynią pewne wyjątki, jestem tego pewna. Może nawet nie będziesz musiał odbyć kary.

Nie chciał jej odbierać nadziei i raz jeszcze pozwolił sobie zatonać w tym morskich oczach. W promieniach słońca wpadających przez okno przyciągnął ją do siebie, rozkoszując się ciepłem jej ciała, miękkością piersi pod sukienką, krzepiącym dotykiem chudych ramion obejmujących go za szyję. Pocałował ją długo i namiętnie, a potem zanurzył nos w jej szyi, wdychając naturalny zapach skóry. Wreszcie odsunął się i zmusił do szerokiego uśmiechu.

– Muszę iść, najdroższa. Mam dużo roboty. Miłego słuchania. – I ruszył na wschód, do swojej kwatery.

*

Hedy i Dorothea patrzyły zdumione na tłumy w porcie. Krzyki, śpiewy i wiwaty zdawały się sięgać nieba. Twarze kołysały się i wirowały niczym olbrzymi, chaotyczny wir ludzkości, żeby lepiej widzieć lub odnaleźć przyjaciela zagubionego w tłoku. Najwięcej ludzi kotłowało się od strony West Park, gdzie zastępy brytyjskich żołnierzy schodziły z pokładów, krocząc beładną procesją wśród tysięcy entuzjastów. Starzy rolnicy wyciągali do nich ręce, a kobiety, młode i stare, dopadały przybyszów i obsypywały ich pocałunkami. Palce pchały się przez każdą szparę, błagając o słodycze i papierosy z żołnierskich kieszeni.

Hedy zapamiętała wodziła wzrokiem.

– Patrz, Dory... hotel!

Pomme d'Or, będący w czasie wojny siedzibą niemieckiej marynarki wojennej, wypełniał się brytyjskimi mundurami, które przelewały się z balkonu. Widok flagi brytyjskiej wyrwał kolejny ryk z piersi tłumu i gruchnęło spontaniczne *Boże ocal króla*, które poniosło się po całym porcie. Gdziekolwiek spojrzeła, napotykała wzruszone twarze: kobiety tuliły dzieci, mężowie całowali żony, starcy ocierali łzy radości.

– Czyż to nie wspaniałe? – zadźwięczał wysoki głos Dorothei, lecz gdy Hedy zwróciła się w jej stronę, ujrzała maskę teatralnej euforii. Wiedziała, że jej twarz wyraża to samo kłamstwo. Przeraził ją widok tego, co ujrzała. Bliskość przyciśniętych do niej obcych ciał, dziesiątki nieznanych rąk, które dotykały jej rąk i nóg – doznanie wzbudziło w niej wstęt. Poczula się zbrukana. Oddychała pospiesznie, zastanawiając się, jak astma Dorothei wytrzyma taki natłok wzruszeń.

W tej samej chwili, niczym wywołana jej myślami, po drugiej stronie Weighbridge pojawiła się znajoma postać mężczyzny w starym, brązowym prochowcu, niesionego strumieniem ludzi w stronę okrętów. Oliver Maine w tym momencie odwrócił głowę i cudem zauważył Hedy, po czym natychmiast zdarł z głowy kapelusz, machając nim jak

szalony w serdecznym, triumfalnym geście. Hedy także pomachała i gestem dała do zrozumienia, że nie zdoła się do niego przedrzeć, na co się roześmiał i zniknął w tłumie. Zrobiło jej się ciepło na sercu i obiecała sobie, że gdy minie to szaleństwo, pierwsze kroki skieruje do szpitala. Może za tydzień lub dwa zdobędzie odrobinę cukru i kilka jaj. Upiecze mu wtedy jabłecznik dla żony.

Spostrzegła, że Dorothea szarpie ją za rękę.

– Tam jest dwóch żołnierzy. Może wiedzą coś o wojnie w Europie.

– Co mieliby wiedzieć?

Ale Dorothea już ciągnęła ją w stronę dwóch młodych Brytyjczyków, próbując okrzykami zwrócić ich uwagę. Gdy znalazły się przy nich, złapała jednego za ramię. Dość pulchny jak na wyspiarskie standardy, miał niewiele ponad dwadzieścia lat i bladą skórę. Dorothea przysunęła do niego twarz.

– Mogę o coś zapytać? Próbuję dowiedzieć się czegoś o moim mężu. Ostatnio walczył w Prusach Wschodnich. Wiecie może, co tam się stało z żołnierzami?

Anglik spojrział na nią zdziwiony. Hedy pociągnęła ją za sukienkę, lecz Dorothea ani drgnęła wpatrzona w młodego człowieka.

– Tam nie ma Anglików, złotko. Stamtąd idą Rusczy. W którym pułku jest twój mężulek?

Hedy znów pociągnęła, lecz tamta ani myślała odpuścić.

– Jest Austriakiem, zmuszono go do walki po niemieckiej stronie. Wiecie, czy Rosjanie brali jeńców? Gdzie mogę się dowiedzieć, czy żyje?

Anglik cofnął się, jego kolega również.

– Twój mąż walczył dla szwabów?

– Nie chciał, wcielono go siłą. Myślałam, że wiecie, gdzie mogę sprawdzić, co się z nim stało.

– Dory – mruknęła Hedy. – Chodźmy. Nie teraz.

Na dźwięk jej głosu chłopak odwrócił się jak oparzony.

– Słyszałeś ten akcent? Też jesteś Niemcą?

– Nie, nie jestem. – Serce mocniej zabiło jej w piersi. – Ja... ja tylko...

Tamci zmierzli je wzrokiem i poszli dalej.

Hedy popatrzyła za nimi i odwróciła się do Dorothei, z której jakby uszło powietrze.

– Może nie dziś, Dory. Oni nie są stąd, nie rozumieją. Pójdźmy może do Fort Regent, tam wciągną flagę.

Ale Dorothea już nie patrzyła na Hedy ani oddalających się żołnierzy. Jej uwagę skupiło zamieszanie, które wybuchło po stronie promenady. Kilku młodych mężczyzn bez koszul sunęło przez tłum w pogoni za czymś lub kimś. Ludzie rozstępowali się przed nimi i nagle oczom wszystkich ukazał się ich cel. Hedy uznała w pierwszej chwili, że to chłopiec w jasnym, obcisłym stroju, po czym spostrzegła ze zgrozą, że to młoda dziewczyna, niedbale ogolona do czaszki i kompletnie naga. Biegła, ile sił w nogach, żeby uciec prześladowcom, a jej przerażone krzyki niosły się nad głowami ciżby, zwracając

powszechną uwagę. Chwilę później umknęła w boczną ulicę, a dwóch oprawców zostało zatrzymanych przez miejscowego policjanta.

Hedy spojrzała na Dorotheę, której twarz stała się całkowicie bezbarwna.

– Boże, Hedy... czy ja dobrze myślę?

Hedy szukała odpowiednich słów, ale ich nie znalazła. Kiwnęła głową.

– Czy tak będzie? Tak będą nas traktować? Po to było to wszystko?

Hedy wzięła ją za rękę.

– Chodźmy stąd. Pójdziemy odebrać paczkę z Czerwonego Krzyża, a potem wrócimy do domu.

Dorothea bezwolnie podreptała za nią falującymi ulicami, w uszach wciąż huczały im odgłosy zbiorowego szaleństwa. Gdy przeciskały się przez świętujące tłumy, Hedy widziała, jak Dorothea ciągle powraca wzrokiem do coraz dłuższego pochodu Anglików i doprawia każdej twarzy uśmiechnięte oczy oraz gęste, ciemne włosy Antona. Tak często rozmawiały o tym dniu, marzyły o nim, latami nosiły w sercach jego wyobrażenie. Obecnie myślała tylko o tym, aby wrócić do zacisznego domku Dorothei i odgrodzić się od ogłupiałego świata.

*

– Rümmele, porucznik Kurt Rümmele. Jest inżynierem. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku stacjonował w Lager Hühnlein.

Założyła nogę na nogę i spojrzała na swojego rozmówcę lodowatym wzrokiem. W ciągu pięciu lat gabinet nie zmienił się ani o jotę. To samo biurko obciążone skórą, ten sam zbyt wielki żyrandol, te same równo ustawione kartoteki na półkach. Zapamiętała każdy szczegół pomieszczenia i tamtej rozmowy, i chciała, żeby Clifford Orange był tego świadomy. Biorąc pod uwagę wyraz jego twarzy, chyba wiedział, o czym myślała.

Spoglądała na niego, gdy z morderczą powolnością sporządzał notatki, z wiecznym piórem w czerwonych, łuszczących się palcach. Oczywiście schudł i włosy mu się przerzedziły. Szkarłatny rumieniec niegdyś pokrywający jego policzki, zapewne w wyniku nadużywania alkoholu, ustąpił miejsca egzemie z niedożywienia. Lecz największa różnica, która uderzyła Hedy zaraz po wejściu, polegała na widocznej utracie autorytetu. Wyglądał na mniejszego, nie tylko z postury, ale i z charakteru, jakby ktoś wyskrobał z niego całą arogancję, pozostawiając kadłub uschłego posłuszeństwa. Miała ochotę z niego zadrwić, dać do zrozumienia, że cieszy się z jego upadku. Wtedy pomyślała o Kurcie i nadała twarzy nieprzenikniony wyraz.

Więści już się rozeszły. W oknie miejscowej poczty wywieszono zdjęcia z wyzwolenia Bergen-Belsen, gdzie cudem odnalazł się żywy mieszkaniak Jersey. W kinie, przy wtórce płaczu i krzyku widowni, wyświetlano kroniki. Nikt, nawet Orange, nie mógłby teraz udawać, że nie pojmuje konsekwencji nadania komuś statusu Żyda. Hedy była ciekawa,

czy skurczyło go tak poczucie winy i czy jest świadomy obrzydliwej roli, jaką odegrał w historii. Ale Orange nie dał po sobie nic poznać i podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. Zauważyła, że nie patrzy jej w oczy, tylko wiesza wzrok nieco niżej, w okolicach górnej wargi.

– Cóż, panno Bercu, wygląda na to, że dzięki sprytnej kryjówce w domu pani Weber miała pani nieprawdopodobne szczęście. Pozwoli pani, że pozwolę sobie pogratulować i wyrazić ulgę, że włos jej nie spadł z głowy. Jak widać, nie ma tego złego...

Hedy pomyślała o rodzicach za drutem kolczastym, wiedzionych do komór gazowych. Zastanawiała się, ile osób siedziało na tym krześle, słuchając jego bezdusznych wywodów, bezbłędnie wyartykułowanych i pozbawionych sensu. Lecz prawda wyglądała tak, że władza wciąż znajduje się w rękach panów w szarych garniturach, a ona musi błagać ich o przysługi.

– A porucznik Rümmele?

Orange starannie zakręcił pióro.

– Oczywiście przekażę informacje do odpowiedniego wydziału. Ale prawdę mówiąc, wątpię, czy to coś zmieni.

– Uratował mi życie. Ryzykował własne, żebym była bezpieczna i miała co jeść. Czy pan rozumie, co zrobiliby z nim Niemcy, gdyby odkryli, że chroni Żydówkę? On, wyższy oficer? – Usłyszała, że podnosi głos, i przywołała się do porządku. – Chcę przez to powiedzieć, że nie jest nazistą. Nienawidził niemieckich władz tak jak... – Celowo zawiesiła głos, świadoma kąśliwej aluzji, ale było jej wszystko jedno. – ...każdy przyzwoity człowiek. Moim zdaniem należy wziąć to pod uwagę.

Orange przygładził siwy, nastroszony wąsik dwoma palcami.

– Tak jak powiedziałem, panno Bercu, przekażę tę informację. Ale porucznik Rümmele był... w zasadzie jest... oficerem armii niemieckiej i tym samym znajduje się w gestii brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości. Przykro mi, że nic więcej nie mogę dla pani zrobić.

Drzwi się otworzyły i ze zdziwieniem ujrzała dwóch oficerów brytyjskich, którzy weszli bez pozwolenia. Starszy stopniem, kapitan, kiwnął głową na Orange'a.

– Major wzywa pana do siebie.

Orange machinalnie uniósł rękę do kołnierza, żeby go poluzować.

– Jak panowie widzą, jestem zajęty.

Hedy wstała, zwracając się bezpośrednio do kapitana.

– W zasadzie pan Orange właśnie mnie poinformował, że nie może mi pomóc. Chyba jest już wolny.

– Dziękuję. – Kapitan ponownie spojrzął na urzędnika. – Zapraszam.

Orange powoli dźwignął się z fotela, jakby chciał dać do zrozumienia, że nikt nie będzie go ponaglać, choć Hedy podejrzewała, że trochę mu słabo. Statecznym krokiem podszedł do drzwi i dał się odprowadzić do majora.

Hedy sięgnęła po torebkę i już miała wyjść, kiedy do gabinetu wpadł inny miejscowy urzędnik. Od razu go poznała.

– Przepraszam, deputowany Le Quesne?

Mężczyzna spojrzął na nią ze znużonym uśmiechem.

– W czym mogę pomóc?

– Chciałam spytać... – Hedy się zawahała, pewnie traci czas. Ale ten zmęczony, stary polityk miał w sobie coś, co wzbudzało jej zaufanie. – Po co wojskowi chcą rozmawiać z panem Orange'em?

– Wszyscy przedstawiciele miejscowych władz są przesłuchiwani przez wywiad brytyjski – odpowiedział Le Quesne. – Mamy zdać raport i zostaniemy poddani ocenie.

– Ocenie?

– W celu potwierdzenia, że należycie wywiązaliśmy się z obowiązków. Stwierdzono, że niektórzy urzędnicy... – zawiesił głos, aby podchwycić niedomówienie – ...nieco nadgorliwie wypełniali niemieckie rozkazy. Jeśli zostanie to potwierdzone, poniosą konsekwencje.

Hedy uśmiechnęła się do niego lekko i skinęła głową.

– Dziękuję panu. Miłego dnia.

*

Kurt wepchnął szczoteczkę do zębów do kieszonki plecaka. Pakowanie zabrało mu całe pięć minut. Pięć lat sprowadzone do pięciu minut. Rozejrzał się po ładnym pokoju, który tak długo służył mu za sypialnię. Małe okno wnękowe, edwardiański stojak w kącie, z porcelanową miednicą i dzbankiem. Każdą ryskę kremowego, gipsowego sufitu znał na pamięć. Ileż nocy leżał bezsennie do świtu, wpatrując się weń i martwiąc o Hedy: czy jest bezpieczna, czy ma co jeść, czy jeszcze ją zobaczy. Teraz role się odwróciły i to ona będzie leżeć w wygodnym łóżku, dręczona wyimaginowanymi koszmarami. Zrzucił plecak na ramię i już miał zejść na dół, gdy usłyszał z korytarza głos Hedy.

Był w połowie drogi na parter, kiedy zobaczył, jak dyskutuje z udręczonym brytyjskim sierżantem, który sterczał tam od wczesnego ranka, odhaczając na swojej liście nazwiska i numery niemieckich oficerów.

– Pan nie rozumie! – krzyczała. – Nie mam zamiaru w niczym przeszkadzać. Chcę tylko porozmawiać na osobności z porucznikiem Rümmelem.

– Przykro mi – odpowiedział żołnierz – ale ci ludzie są teraz jeńcami wojennymi. Za pięć minut odjeżdża ciężarówka, która ma ich dowieźć w wyznaczone miejsce.

Kolejne pięć minut, pomyślał Kurt. Lata oczekiwania i śledzenia wskazówek zegara, a teraz wszystko rozgrywa się w pięć minut.

– W porządku, sierżancie. – Dla większego efektu starał się mówić z angielskim akcentem. – Znam harmonogram i osobiście ręczę, że wszyscy wojskowi z tej kwatery

punktualnie znajdą się w samochodzie. Zechcecie dać nam chwilę?

Sierżant z powątpiewaniem zerknął na Kurta i z jeszcze większym na Hedy, po czym wyszedł na ganek, żeby mogli porozmawiać w cztery oczy. Kurt rzucił plecak na parkiet i spojrzał na nią. Wyglądała pięknie jak zawsze, ale zdumiała go jej determinacja. To samo ujrzał w niej pierwszego dnia, gdy przyszła w sprawie pracy tłumaczki. Stał przed nią i czekał.

– Widziałam, jak ustawiają żołnierzy na plaży. Nie byłam pewna, czy już cię zabrali.

– Słyszałaś, co powiedział. Pięć minut.

– Nie zamierzałeś przyjść się pożegnać?

– Od wczoraj nie mogę opuszczać kwatery. I prawdę mówiąc, nie wiedziałem, czy... – Ze zgrozą poczuł ucisk w gardle i musiał przełknąć. – Nie wiedziałem, czy to wytrzymamy.

Przytaknęła.

– Ale zapomniałeś o czymś.

– O czym?

– Mówiłeś, że byłeś w Jungenschaft. I jesteś dobrze wychowany.

– Czyżbym cię obraził? – Poczul, że wzbiera w nim śmiech, lecz nie był pewien, czy nie zamieni się w łzy, więc przełknął raz jeszcze.

– Trochę. Widzisz, ja nadal czekam.

Ten upór i wysunięty podbródek. Najchętniej zdarłby z niej ubranie i kochał się z nią na podłodze, tu i teraz.

– Na co?

– Na pierścionek zaręczynowy.

Prychnął lekko przez nos.

– Racja. Wybacz. W ostatnich dniach nie miałem głowy do zakupów. – Oboje się zaśmiali. Nagle wpadł na pomysł. – Czekaj.

Wybiegł na ganek i podszedł do sierżanta, który nadal ścisnął listę i bez przerwy zerkał na zegarek, jakby zapominał, która godzina.

– Przepraszam, sierżancie, czy mógłbym prosić o jeszcze jedną przysługę? Dacie mi gumkę, którą złączyliście notatki? – Żołnierz cofnął się lekko, jakby uznał, że to podstęp. – Chcę dać ją mojej dziewczynie. – Tamten zrobił zdziwioną minę, po czym chyba zrozumiał. Bez słowa zdjął grubą, brązową gumkę recepturkę i podał ją Kurtowi, który podziękował mu uśmiechem i wszedł z powrotem do domu.

Ujął dłoń Hedy i delikatnie włożył na jej palec gumkę, okręcając ją kilka razy.

– Niekoniecznie miałem to na myśli, ale na razie musi wystarczyć, póki nie pójdę do jubilera. Czyli nieprędko – dorzucił.

Hedy przyjrzała się swojej dłoni i czule dotknęła recepturki.

– Zaczekam. Ta będzie moja ulubiona.

Wpatrywał się w nią, nadal ściskając czubki jej palców. Chciał ją objąć, ale się bał, że nie będzie mógł puścić. Wyobraził sobie, jak siłą go stąd wywlekają, wrzeszczącego i kapiącego jak dziecko. Upokorzenie równało się niemal poczuciu straty, które było nie do zniesienia. Szukał, co by tu powiedzieć, i wysilił się na głupi żarcik. – Ślub latem czy zimą?

– Dzień po tym, jak cię wypuszczą.

– Masz świadomość, że to może być za kilka lat?

– Jak najbardziej.

– Jest dużo szumu wokół obozów koncentracyjnych. Ludzie będą domagać się głów, a politycy może je zetną.

– O tym też wiem.

Nadal pocierał czubki jej palców, jakby próbował wtłoczyć tam wszystkie swoje emocje.

– Co zamierzasz?

Hedy wzruszyła ramionami.

– Chwilę tu zostanę i spróbuję ustalić, co z rodzicami, Riką i resztą rodzeństwa. Europa jest w rozsypce, upłynie trochę czasu, zanim się pozbiera.

– Z czego będziesz żyć?

– Poszukam pracy. Wielu chce wrócić, może państwo Mitchell też. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Możliwe, że nie będę im już potrzebna.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby się tak zdarzyć.

– Dam sobie radę. Jestem twardsza, niż wyglądam.

– Wiem coś o tym.

– Jestem jak Knut: wiem, że nie powstrzymam fal.

Chwycił ją i pocałował, po czym zarzucił plecak na ramię.

– Muszę iść. Nie czekaj, aż statek odpłynie, wracaj do Dorothei.

Zamrugła na potwierdzenie i przygryzła wargę.

– *Auf Wiedersehen.*

Potrząsnęła głową.

– *Bis bald.*

Przytaknął, po czym ruszył pospiesznie do ciężarówki i zajął miejsce, zanim go o to poproszono. Wiedział, że tama pęknie, a gdy to się stanie, chwilowo nie będzie nad sobą panował. Prawie doznał ulgi, gdy drzwi się zatrzasnęły i zatonął w mroku, chłodnym, blaszanym wnętrzu swojej przyszłości.

*

Ma się rozumieć, że poczekała, aż statek odpłynie. Wiedziała, że to zrobi, chociaż obiecała coś przeciwnego. Sterczała za opaską brzegową i marzyła na zimnym, wiosennym wietrze przez dwie godziny, chociaż doskonale wiedziała, że nawet jeśli Kurt stoi na plaży,

nie zdoła wyłowić go z tłumu; spośród zastępów ołowianych żołnierzyków, które ciągnęły się po piasku West Park, niektóre w linii prostej, inne w najdziwniejszych kształtach, jakby setki ludzi próbowały uformować olbrzymią wiadomość na brzegu. Wyglądało na to, że są spokojni: siedzieli lub stali, gawędząc z sąsiadami, paląc, jeśli mieli tytoń, lub patrząc w widnokrąg.

Dziwne, pomyślała Hedy, jaki niegdyś wzbudzali w niej strach. Dziś byli to odrętwiali, zmęczeni chłopcy w przybrudzonych mundurach, którzy tęsknili za domem ze świadomością, że to marzenie rozwiąło się wraz z pozostałymi. Prawie było ich jej żal. Takich jak Kurt musiało być więcej, młodych mężczyzn, zmuszonych do czegoś, w co nie wierzyli. Ale może tyle samo nadal wyznawało ohydłą doktrynę. W tej chwili nie miała siły zastanawiać się nad tym, nawet jej to nie obchodziło. Ogarniało ją potworne zmęczenie i gdyby nie chłodne, rześkie powietrze, być może zasnęłaby na stojąco.

Okręt stał w zatoce na płaskiej, srebrzystej tafli w oczekiwaniu na żywy ładunek. Do wieczora wszyscy odpłyną i na perłowym niebie zostanie tylko niska sylwetka Elizabeth Castle. Na wyspę błyskawicznie wracała normalność. Na ulicach turkotały ciężarówki z węglem, a w witrynach pojawiały się towary, które za kilka dni będą w sprzedaży: buty, ubrania dziecięce, garnki. „Evening Post” doniósł wczoraj, że poczta wznowia działalność. Hedy i Dorothea usiądą wieczorem do pysznej potrawy z tuńczykiem, którą najedzą się do syta, a Kurt będzie w połowie rejsu przez Kanał, na więziennym wikcie.

Patrzyła, jak statek połyka kolejne dokładki, póki wiatr nie przewiał jej na wskroś cienkiego palta aż do kości, po czym wreszcie pogodziła się z tym, że pora iść. Z wolna podążała promenadą przez tłum uśmiechniętych mieszkańców, próbując udzielić stosownej odpowiedzi na każde wesołe pozdrowienie. Jednak gdy zbliżyła się do West Park Avenue, ogarnęły ją złe przecucia. Wmawiała sobie, że to jedynie smutek związany z utratą Kurta wraz z potężnym emocjonalnym trudem powrotu do zapomnianego życia. Ale zanim dotarła do domu, utwierdziła się w przekonaniu, że wydarzy się coś niedobrego. Pchnąwszy frontowe drzwi – przestano je zamykać na klucz, tak jak w czasach przed okupacją – usłyszała głosy dobiegające z kuchni i poszła to sprawdzić.

Dorothea stała plecami do zlewu. Przy stole siedział około czterdziestoletni mężczyzna w brytyjskim mundurze z dwoma białymi paskami kaprała.

Hedy przeniosła wzrok z jednego na drugie.

– Co się dzieje?

Dorothea przemówiła zduszonym, ochrypłym głosem.

– Ten pan przyniósł wiadomość z niemieckiego Ministerstwa Wojny. Ponoć dotarła przed tygodniem, ale ze względu na panujące zamieszanie nie poszła dalej. Dlatego dowódca kazał ją osobiście dostarczyć. – Trzymała w ręku beżową tekturkę. Hedy nie widziała takiej lata, lecz od razu rozpoznała telegram i zamarła.

– Anton?

Dorothea przytaknęła i podała jej wiadomość.

– Po niemiecku, ale treść jest oczywista.

Hedy kilkakrotnie odczytała tekst na białych paskach papieru, nim nabrał sensu: „Z przykrością informujemy, że starszy szeregowy Anton Weber 734659 z 24. Dywizji Piechoty poległ za ojczyznę 14 października 1944 roku”.

Podbiegła do Dorothei i objęła ją w oczekiwaniu na wybuch płaczu, lecz nic takiego nie nastąpiło. Stały objęte w ciszy, zdawałoby się, długi czas. Może tak zżyły się z prawdopodobieństwem śmierci Antona, że nie wstrząsnęła nimi, stając się faktem. Lub pozbyły się wszelkich emocji, którym musiałyby dać ujście. Hedy przywołała wspomnienie jego twarzy: przed kinem, gdy przedstawił jej Dorotheę, kiedy szukali skałoczepów przy Seymour Tower. Ale czuła jedynie pustkę. Dopiero gdy kapral nieśmiało szurnął krzesłem o posadzkę, przypomniała sobie, że w kuchni znajduje się ktoś jeszcze.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzucił z zakłopotaniem. – Ale czy mógłbym jakoś pomóc?

Hedy podeszła do niego i podała mu rękę.

– Nie, dziękuję. Miło z pana strony, że pan przyszedł.

Kiwnął głową.

– To nigdy nie są dobre wiadomości. W zeszłym roku dostałem podobną: siostra z rodziną, zabici przez V2. Jak grom z jasnego nieba.

– Tak mi przykro. – Spojrzała w jego ciepłe, piwne oczy i ogorzała twarz, musiał spędzić część wojny w Afryce Północnej. – Okupacja była bardzo ciężka... ale przynajmniej nie mieliśmy nalotów.

– Wszyscy stoczyliśmy własną wojnę – odrzekł kapral. – Współczuję straty, pani Weber.

– Tak? – wypluła Dorothea. Hedy uniosła rękę, gdyż kapral niczemu nie zawinił, ale machina rozgoryczenia poszła w ruch. – Zginął za Hitlera. Niech pan nie trwoni swojego cennego współczucia.

Wojskowy zwrócił się do niej.

– Mówię szczerze. Miałem do czynienia z przedstawicielami różnych narodowości, walczącymi po obu stronach. Jedno ich łączyło: żaden z gnojków nie chciał tam być. Przepraszam za wyrażenie.

Twarz Dorothei złagodniała.

– Dziękuję, że pan tak mówi.

– Proszę... – Uniósł rękę. – Frank, Frank Flanagan. Szczerze powiedziawszy, mam dość bycia numerem. Najchętniej wróciłbym do Cheshire.

Hedy podchwyciła czułość w jego głosie i aż skrzyknęła ją z zazdrości: mieć dom, dokąd można wrócić, znajome twarze wokół siebie.

Flanagan wziął ze stołu czapkę i ponownie zwrócił się do Dorothei.

– To był dla pani wstrząs, ale przyjaciółka wróciła, więc zostawiam was razem.

Wymknął się do przedpokoju i poszedł. Hedy została z telegramem w ręku, a Dorothea wciąż stała na środku kuchni, jakby nie miała pojęcia, co dalej.

– Kurt pojechał?

Hedy potwierdziła.

– No tak. – Dorothea odgarnęła włosy z oczu i lekko się otrząsnęła. – Chyba wezmę się do gotowania.

– Ja to zrobię.

– Nie, wolę mieć zajęcie.

Zaczęła się krzątać i o szóstej usiadły przy kuchennym stole nakrytym dla dwóch osób, nakładając sobie hojne porcje potrawy z tuńczykiem. W kącie stało radio; w pomieszczeniu rozbrzmiewały dźwięki muzyki oraz ludzkie głosy, łącząc je ze świętującym, dalekim światem. Spiker poinformował, że jugosłowiańscy partyzanci przy wsparciu wojsk brytyjskich pokonali ostatnie siły Osi, a zbombardowanie Nagoi przybliżyło zwycięstwo nad Japonią. Następnie Tommy Handley wzbudził salwy śmiechu jako Minister Spraw Historycznych i Departamentu Znoju. Dorothea zaproponowała Hedy dokładkę, ale ta odmówiła. Żadna z nich nie zjadła nawet połowy tego, co miała na talerzu.

Dostawa wieczornej gazety przyniosła chwilę wytchnienia. Hedy przejrzała proklamację waliwa oraz doniesienia w sprawie przywrócenia waluty, po czym jej uwagę zwrócił mniejszy nagłówek wewnątrz dziennika. Artykuł dotyczył starszych funkcjonariuszy niemieckich, którzy podjęli próbę ucieczki w przebraniu cywilów, podając się za miejscowych. Brytyjscy żołnierze odkryli jednego takiego tchórze w opuszczonym gospodarstwie, ukrytego w stodole. Nie stawiał oporu, ale w chwili aresztowania rozplakał się „histerycznie”. Nazywał się Erich Gerhard Wildgrube i był dawniej członkiem Tajnej Policji Polowej.

Po kolacji pozmywały przy użyciu octu i sody oczyszczonej. Przez otwarte okno słyszały pokrzykiwania i śpiewy u sąsiadów, dzieci biegały po ogrodzie w hełmach z garnków i strzelały do siebie z palców, a dorośli śpiewali chórem *Wszystkie miłe dziewczyny kochają marynarza* i *Bill Bailey*. Kiedy piosenki osiągnęły głośne, chaotyczne punkty kulminacyjne, Hedy i Dorothea musiały się do siebie uśmiechnąć.

Schowały talerze. Słońce miało się ku zachodowi i do holu wnikały snopy złocistego blasku. Dorothea zgasła radio i rozpałała mały ogień, gdy zaczął doskwierać im chłód wieczoru. Ponownie usiadły przy stole, Dorothea z robótką, Hedy z książką. Przez dwie godziny ta pierwsza przyszyła jeden guzik, a druga przeczytała dwie strony. Zegar tykał na ścianie, światło przygasało. W spiżarni czekały dwie nowe świece, lecz żadna z kobiet nie zaproponowała, aby którąś zapalić. Zapadła noc i Dorothea poszła spać.

Nadszedł koniec okupacji. Już po wszystkim. Żyją i są wolne.

Hedy spędziła kolejną godzinę w ciemnej kuchni, wpatrzona przed siebie. A później też się położyła.

EPILOG

1946

Walizka za nic nie chciała się domknąć. Usiadła na niej, żeby docisnąć ją swoim ciężarem, następnie oparła się z jednej strony, aby dopiąć chromowany zatrzask. W końcu się poddała i wyjęła jeden ze swetrów i kapcie, które dostała na Boże Narodzenie. Uznała, że ma inne swetry, a kapcie kupi za pierwszą wypłatę, kiedy otrzyma nowe bony towarowe. Teraz już bez trudu domknęła walizkę, po czym usatysfakcjonowana zdjęła ją z łóżka i zniosła po schodach, bacząc, by nie porysować parkietu z boku wykładziny. Pani Mitchell była bardzo dumna z tych schodów.

Cieszyła się, że o tej porze nie ma rodziny, przerastała ją myśl o kolejnym pożegnaniu. Wydane na jej cześć wczorajsze przyjęcie pożegnalne było bardzo miłe i wzruszające, dostała w prezencie chusteczki i mydło lawendowe, od córki zaś własnoręcznie wykonaną kartkę. Wiedziała, że będzie za nimi tęskniła, i obiecała pisać co tydzień. Wspólne odrabianie lekcji i wycieczki na plażę nie były obciążające i wcale nie miała poczucia, że pracuje; nie męczyło jej nawet sprzątanie, gdyż przepadała za zapachem świeżo wypranej pościeli i pasty do polerowania, a ustawianie kaloszy według rozmiarów stanowiło dla niej czystą przyjemność. Bywało jednak, kiedy spacerowała samotnie i leżała w pustym łóżku, że rozdźwięk między bliskością rodziny i własną sytuacją szarpał jej duszę, w ostatnich tygodniach zaś utwierdziła się w przekonaniu, że na nią już czas.

Włożyła grube, brązowe palto zimowe i kapelusz z różową wstążką do kompletu; była połowa grudnia i trawniki pokryły się grubą warstwą szronu. Stojąc przed lustrem w przedpokoju, zdążyła jeszcze pomalować usta i przypudrować nos, gdy z zewnątrz dobiegł dźwięk klaksonu. Raz jeszcze rozejrzała się po lśniącem holu, po czym wzięła walizkę i wyszła z domu.

Dorothea pomachała do niej z siedzenia pasażera w starym austinie. Frank Flanagan wyskoczył zza kierownicy i pomógł Hedy z walizką, żartując, jaka jest lekka.

– To wszystko, co masz?

– Mój ziemski dobytek – odparła z krzywym uśmiechem. – Myślisz, że powinnam zacząć szykować posag?

– Hm, Dory nie miała posagu i mi to nie przeszkadzało. Zresztą wątpię, że narzeczony będzie zainteresowany twoją pościelą, kiedy wyjdzie.

Hedy ze śmiechem usiadła na tylnym siedzeniu, a Frank uruchomił samochód. Po chwili jechali St Saviours Road w stronę portu. Dorothea wyciągnęła rękę do Hedy nad oparciem fotela, obracając się jak uczennica.

– Co za przeżycie! O której dopłyniesz do Weymouth?

– Jutro o szóstej rano. Potem muszę złapać pociąg... trzy pociągi w zasadzie... aby dotrzeć do Plumpton.

Dorothea uniosła rękę do policzka.

– O raju! Będziesz wykończona. Mogłam wziąć dla ciebie kanapki. Czy nie mówiłam, Frank, że powinnam zrobić kanapki?

– A jakże: obudziłaś mnie, żeby mi to powiedzieć. – Frank uśmiechnął się do Hedy w lusterku i puścił oko.

– A kiedy zobaczysz się z Kurtem?

– Po dopełnieniu wszystkich formalności, w następny wtorek. Dobrze wygląda na zdjęciu, które mi przysłał: odkąd znów go przenieśli, większość czasu pracuje na zewnątrz.

– Pozdrów go ode mnie, dobrze? Będziecie tacy szczęśliwi. – Odwróciła się z powrotem twarzą do kierunku jazdy, a Hedy rzuciła ostatnie spojrzenie na wyspę. Drogi, po których Kurt ciągnął jej wynędzniałe ciało w niemieckim mundurze... Piekarnię pana Reisa, prowadzoną teraz przez kogoś innego... więzienie, gdzie Kurt odbył karę. Wspomnienia napływały jedno za drugim, obrazy tworzyły się i rozwiewały. Kiedy dotarli do portu, miała zawroty głowy.

Frank pojechał zaparkować, a Dorothea stanęła obok Hedy, patrząc na statek. Pasy wielkiego komina odcinały się od ciemniejącego nieba, a lśniące, niebieskie żurawie przenosiły nad burtą rozkołysany ładunek. Daleko w dole woda sięgająca znaku wysokiej wody obmywała wiekową, poczerniałą skałę przystani, niosąc zapowiedź wysokich fal. Hedy spojrzała na Dorotheę, myśląc o dniu, gdy stały tu obie ostatnim razem.

– Anton cieszyłby się twoim szczęściem – oznajmiła, czytając jej w myślach.

Dorothea przytaknęła.

– Wiem. Frank jest taki dobry, to bardzo mi pomogło. Wszyscy w nowym biurze znają mnie tylko jako panią Flanagan. Czasem żałuję, że nie mogę opowiedzieć im o Antonie... jaki był wspaniały... ale...

Hedy pokiwała głową.

– Pewne rzeczy lepiej zostawić w spokoju.

– W każdym razie przenosimy się latem do Cheshire. Frank chce założyć firmę, ma tam znajomości. To będzie dla nas nowy początek.

– Tylko nie zapomnij pisać.

– Głuptasie! Miałabym nie pisać do najlepszej przyjaciółki?

Hedy przytuliła ją na chwilę, stuknęły się rondami kapeluszy. Zjawił się Frank z walizką Hedy i wszyscy troje pogrążyli się w rozmowie, życząc sobie szczęścia i obiecując się wkrótce odwiedzić. Kiedy nie było już nic do powiedzenia, Hedy ucałowała oboje na

pożegnanie i ruszyła na pokład; dwukrotnie odwracała się, żeby im pomachać, póki nie ujrzała, że zawracają do auta. Zeszła dwa piętra w dół do wyznaczonego miejsca, gdzie pozostawiła walizkę, po czym wróciła na górny pokład i znalazła sobie miejsce przy barierce. Niebawem zahuczały silniki pod spodem, aż poczuła wibracje w nogach i stopach. Woda pieniała się w dole i statek mozolnie oderwał się od nabrzeża, by skierować się w stronę wyjścia z portu.

Chwilę obserwowała oddalający się brzeg i podziwiała świetlne refleksy w czarnej toni. Następnie wyjęła z torebki swój największy skarb, przewiązaną wstążką brązową kopertę z ostatnimi listami. Sięgnęła po ten z wierzchu i uśmiechnęła się do dziewczęcych zawijasów Riki; przypomniała sobie dzień, gdy spadł na wycieraczkę Mitchellów, i radość pracodawców na widok jej reakcji. Od razu przeszła do ulubionej części:

...i mieszkam teraz nad morzem w Haderze. Wyobraź sobie zatem moje szczęście na wieść, że nasz ukochany braciszek mieszka niespełna pięćdziesiąt kilometrów dalej w Tel Awiwie! Joschi doskonale sobie radzi i odkąd poczta zaczęła działać, regularnie pisuje do Minny w Londynie. Netty z mężem są zachwyceni Australią i postanowili tam zostać. Uzgodniliśmy, że dowiemy się, co spotkało mamę i papę, czas nie gra roli. Może Czerwony Krzyż nam pomoże.

Hedy z westchnieniem wsunęła list na miejsce. Prawdę mówiąc, wiedziała, że niewiele będzie do ustalenia. Miejsca i daty nie zmienią tego, co już wiedzą. Ale może fakty pomogą im dopiąć sprawę i po latach niepewności w końcu się z nią pogodzić. Ponownie sięgnęła do koperty, wyjmując tym razem kartkę z napisem „HMP Ford⁵”.

Najdroższa, nie mogę uwierzyć, że dzięki nowej pracy znajdziesz się zaledwie kilka kilometrów od miejsca, gdzie teraz jestem. Podoba mi się praca na roli, podobno w ciągu sześciu miesięcy mają mnie zwolnić. Gdy tylko będę znał datę, musisz wybrać obrączkę i zbierać na bilet do Niemiec! Rozłąka z Tobą jest najgorsza ze wszystkiego. Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę.

Kocham, K.

Przycisnęła cienką, przezroczystą kartkę do piersi, po czym ostrożnie umieściła ją z powrotem w torebce. Uśmiechnęła się przy tym do brązowej gumki na palcu i ją ucałowała.

Port zaczął się rozmywać i fale stały się bardziej wzburzone, gdy wypływali na otwarte morze. Wyspa, więzienie wśród skał, wyglądała stąd tak niepozornie. Hedy wiedziała, że dopisało jej szczęście. Tak wielu zginęło tu z rąk okupanta, a wielu innych już nie ujrzy tych brzegów. Ciężko o nich myśleć bez żądy odwetu. Jak łatwo o nienawiść, stwierdziła

w zadumie Hedy. Jakże blisko powierzchni dryfuje to trujące uczucie, czeka na cel i gra na zwłokę, aby rozkwitnąć, podczas gdy przebaczenie tkwi bezwolnie na spodzie duszy: wie, że wołają, lecz brakuje mu werwy, aby spełnić swoje zadanie. Czy ona i Kurt oprą się pokusie? „Nawet jeśli zapomnisz o przeszłości, ona zapamięta ciebie”, powtarzała matka. Kolejne lata pokażą, czy to prawda.

Fale się rozhulały, statek kołysał się tam i z powrotem, sunąc przez południową zatokę, aby okrążyć Noirmont Point. Hedy mocno chwyciła barierkę: czuła, jak niewidzialne siły targają kadłubem i chłoszczą go pod powierzchnią wody. Prądy Kanału spróbują pociągnąć statek na zachód, kiedy skieruje się ku angielskiemu wybrzeżu, i tylko siła stalowych tłoków pod spodem pomoże utrzymać kurs.

Przymknęła oczy, gdy mroźny wiatr szczypał skórę, i uśmiechnęła się w mroku. Poradzą sobie, ona i Kurt. Znajdą sposób, aby porzucić przeszłość, odnaleźć nowe lądy, doświadczyć nowych przygód. Europa się rozsypała, lecz na ratunek spieszą jej tysiące ludzi uzbrojonych w narzędzia, pomysły i prawa, którymi złożą ją w jedną całość. Sto mil dalej dzieci dowiadują się o rychłym przyjeździe Hedy i ktoś ścieli dla niej łóżko w ładnej sypialni na wsi. Za kilka miesięcy Kurt będzie wolnym człowiekiem. A gdzieś za niewidzialnym horyzontem rozciąga się świeży powab portu w Weymouth, rozsiane gospodarstwa i miasteczka, zaorane pola pszenicy ozimej i złociste światło poranka.

5 Więzienie Ford.

PODZIĘKOWANIA

Pomysł napisania niniejszej powieści, a także większość materiałów, z których korzystałam, zawdzięczam doktor Gilly Carr, która wykłada na uniwersytecie w Cambridge i jest autorką wielu książek, artykułów i prac na temat okupacji. W dużej mierze zainspirował mnie artykuł *Żydówka i szmata: życie Hedwig Bercu i Dorothei Le Brocq*⁶ („Journal of Holocaust and Genocide Studies”, vol. 33(2) 2019), a także udział w nadaniu Dorothei Weber (z domu Le Brocq) tytułu Sprawiedliwej wśród Narodów Świata przez Jad Waszem, Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu. Bez pomocy doktor Carr, która wspomniał mi swoje badania, dokumentację oraz bezcenne relacje z pierwszej ręki, to przedsięwzięcie nie doszłoby do skutku i za to Jej z całego serca dziękuję.

Podziękowania należą się Bobowi Le Sueurowi i Bruce’owi Scottowi Dalgleishowi za to, że podzielili się ze mną wspomnieniami; Susannah Waters i Julie Corbin, które pomogły mi przejść ze scenariuszy na prozę; Maurice’owi Granowi, Jo Briggs i Gabbie Asher za opracowanie kwestii i wyrażen żydowskich; genialnej George Aboud, która z dobroci pisarskiego serca pomogła nadać powieści ostateczny kształt, i mojej świętej pamięci babci Grace Lecoat za piosenkę o brukwi (z amatorskiego przedstawienia Green Room Clubu z tamtego okresu).

Dziękuję również Seanowi McTernanowi, mojemu agentowi Johnowi Beatonowi za wiarę w moje możliwości i mojej wydawczynie Alison Rae.

Na koniec dziękuję mojemu wspomniałemu mężowi, który ze stoicyzmem, miłością i humorem przyjmował moje zwątpienie i częste wybuchy.

⁶ *The Jew and the Jerrybag: The Lives of Hedwig Bercu and Dorothea Le Brocq.*

Spis treści

PRZEDMOWA

1. Jersey, Wyspy Normandzkie

2. 1941

3

4

5

6. 1942

7

8. 1943

9

10. Czerwiec 1944

11

12. 1945

EPILOG. 1946

PODZIĘKOWANIA